

Lynn Messina

Moda i sukces

(Fashionistas)

fantazje czerwonej sukienki



RED
DRESS
I M



lynn messina

moda i sukces



Mój pierwszy dzień w pracy

- Vig, jak wygląda twoja współlokatorka?
- Wysoka blondynka o zielonych oczach.
- Ma chłopięcą figurę jak ty?
- Ale...
- Istna tyczka, płaska jak deska, kij od szczotki?
- Ale...
- Dziewczyna ma być kompletnie płaska. Zero okrągłości. Góry i doliny nie do namierzenia, choćby się dysponowało najlepszym sprzętem używanym przez kartografów.
- Ale...
- Jeśli ma choćby śladowe wcięcia i wypukłości, zdecydowanie odpada. Musi być płaska jak równiny stanu Utah. Wzięlibyśmy ciebie, ale zgodnie z regulaminem naszej grupy kapitałowej nie wolno nam zatrudniać własnych pracowników. Mogłabym cię zwolnić, ale wtedy byłoby mnóstwo zamieszania z szukaniem nowej asystentki. Musiałabym poświęcić na to ze dwadzieścia minut, których mi brakuje. Słuchaj, pędź do agencji „Ford” w Soho i powiedz im, że potrzebujemy dziewczyny podobnej do ciebie. Piszemy o druhnach, które mają okropną figurę. Daj im wyraźnie do zrozumienia, że potrzebujemy normalnej dziewczyny przypominającej jedną z naszych czytelniczek, ale nie puszystej. Wy tłumacz im, że duża dziewczyna też będzie potrzebna, ale musi być foremna i mieć ładną buzię. Upewnij się, czy ma miłą buźkę. Nasze pismo nie promuje brzydul. Rusz się, na co czekasz? Zmykaj! Wróć za pół godziny i nie zapomnij o moim lunchu. Chcę tuńczyka na grzankach z ryżowego pieczywa, do tego jeden listek sałaty na spodzie. Dopilnuj, żeby był na chlebie. Nie jestem w stanie przełknąć ani kęsa, gdy sałata leży na wierzchu. Mangia... to nazwa baru. Tam zamów kanapkę. Numer telefonu masz w skorowidzu. No już, przestań się na mnie gapić, tylko weź się do roboty. U nas nie można stać godzinami przy wodopoju, rozmawiając o tym, jakie programy należy obejrzeć w telewizji. Nie zapomnij o mojej kawie. Piję czarną.

Mój 1233. dzień w pracy

Pomieszczenia redakcji czasopisma „Styl i Blask” przypominają ulice San Francisco – z tą różnicą, że zamiast stref mikroklimatu są tam mikrostrefy zapachowe. W pokoikach wszystkich redaktorek płoną świece rozsiwające woń lilii, cynamonu, wanilii, kompozycji zapachowej o nazwie „Kuchnia babuni”. Jeżeli komuś nie podoba się dana woń, wystarczy zrobić parę kroków w lewo, żeby odetchnąć innym powietrzem.

Ale dziś sytuacja wygląda inaczej. Ktoś pali kadzidełko, którego intensywny i mocny zapach pełźnie korytarzem jak przyjemna zhora, wciskając się w szpary pod drzwiami. Zdominował nawet łazienkę, gdzie na co dzień zalatuje środkami do dezynfekcji.

Nie jesteśmy przygotowane na obecność kadzidełek. To ciężka artyleria, strzał z grubej rury, a schronu brak. My z boksów stłoczonych pośrodku jak slumsy znalazłyśmy się na pierwszej linii. Jedyną ucieczką jest dla nas wdychanie cuchnącego dymem z papierosów powietrza za obrotowymi drzwiami na parterze.

– Kadzidło i mirra – mówi Christine, wyglądając ponad ścianką boks.

– Słucham? – Ślęczę nad artykułem o restauracjach należących do wielkich gwiazd, ale mam problemy z koncentracją. Ten zapach mnie rozprasza.

– Pachnie kadzidłem i mirrą – wyjaśnia Christine. Jestem zdumiona jej oświadczeniem i wcale nie wierzę w to, co powiedziała. Jest dwudziesty pierwszy wiek, dawno zapomnieliśmy, jak pachnie kadzidło i mirra.

– Woń mirry jest gorzkawa i przenikliwa – twierdzi Christine.

– To nie mirra – odpowiadam z oczyma utkwionymi w ekranie komputera. – Przecież takie wonności nie istnieją.

– Nie możesz kwestionować istnienia mirry. – Christine napiera na ściankę, która ugina się lekko pod jej ciężarem.

– Mogę. – Spoglądam na nią. – Właśnie to robię.

– Nie mów głupstw. Trzej królowie ofiarowali ją dzieciątku Jezus, kiedy się narodziło.

– I co z tego? – odpowiadam, wruszając ramionami, a potem wspominam mimochodem o ptaku dodo, który dawniej istniał, ale teraz jest wymarłym gatunkiem. Wychodzi tak, jakbym twierdziła, że był jednym z darów trzech króli.

– Oni wcale nie przynieśli do Betlejem ptaka dodo. Czemu gadasz takie bzdury? – mówi z irytacją Christine, szeroko otwierając oczy, ponieważ źle mnie zrozumiała.

– Skąd ta pewność? – pytam, bo za bardzo się mądrzy.

– Tak jest napisane w Biblii – odpowiada, jakby ta sprawa naprawdę była taka ważna. Przecież tylko się z nią droczę. – Nie ma tam żadnej wzmianki o ptaku dodo.

W przeciwieństwie do Christine nie jestem wierząca. Szczerze mówiąc, religia w ogóle mnie nie interesuje, więc bawi mnie to święte oburzenie, chociaż wcale nie chciałam jej urazić. Żeby tylko nie zaczęła walić pięściami w cienką ściankę działową. Wolałabym uniknąć podobnych ekscesów, lecz nie zamierzam przeproszać. Jestem pewna, że mirra nie istnieje. Moje przekonania nie są wprawdzie zbyt mocno ugruntowane, ale tych kilka spraw

mam prawo uważać za pewnik. Bez większych problemów akceptuję istnienie kadzidła, choć drażni mnie nieme „k” i brzęczące „dź, „, ale mirra jest nie do przyjęcia, taka ulotna i nietrwała jak lekkie tchnienie wychodzące z ust.

– Poza tym mam stuprocentową pewność, że mirra nadal istnieje. Uczyliśmy się o niej na kursie gotowania.

Christine kombinuje, jak odejść z naszej redakcji, dlatego postanowiła zostać krytykiem kulinarnym. Chciałaby pisać o jedzeniu i dołączyć do grona dziennikarzy, którym płaci się za tropienie natarczywej woni kminku w sajgonkach. Pragnie włóczyć się po knajpach i chodzić na degustacje z najlepszymi w tej branży. Marzy jej się praca w czasopiśmie nieco bardziej treściwym niż smuga kadzidlanej woni.

„Styl i Blask”

„Styl i Blask” jest czasopismem pozbawionym treści, goniącym za najnowszą modą, zawsze na czasie. Wszystkie jego barwne i błyszczące strony wprost porażają urodą, ale serwowane na nich mądrości to mydlenie oczu kretynek. Wypisuje się tam same bzdury, bo przecież nie ma siły, aby każda miała pięknie zarysowane brwi niczym Gwyneth Paltrow albo idealne loki jak Nicole Kidman.

Tak się jednak składa, że rady dotyczące naśladowania stylu życia ludzi bogatych i sławnych stanowią istotę naszego pisemka poświęconego śledzeniu wyczynów popularnych znakomitości ze szczególnym uwzględnieniem spraw elementarnych, takich jak pożywienie, ubranie i dach nad głową. Wszystko kręci się wokół sław. Popatrzcie: takie kontakty w ścianach są u Jennifer Aniston. Oto adres sklepu, gdzie można je kupić.

Pomysł nie jest nowy. Odkąd Mary Pickford stanęła na czerwonym dywanie, trzepocąc rzęsami wytuszowanymi maskarą od Maxa Factora, dziennikarze rozpisują się o gwiazdach, a gawiedz czyta z wypiekami na twarzy. Ciarki przechodzą mi po plecach, ilekroć myślę, że pracuję w takim czasopiśmie. Mdli mnie, bo smakowite szczególiki, którymi karmią nas nadęci i zarozumiali rozmówcy, podaje się jako prawdziwe wiadomości. „Styl i Blask” to sanktuarium sław, a dziennikarze pieczołowicie wynoszą je na ołtarze, aby zewsząd były widoczne.

Pracuję tu od pięciu lat i nie pamiętam artykułu, w którym obyłoby się bez wzmianki o jakiejś znakomitości. A już niewiele brakowało, gdy pisałam o ochronie i upiększaniu zębów (nowe klamry, metody wybielania, plomby). Tekst był rzeczowym katalogiem porad, jakie pojawiają się w innych kobiecych czasopismach, łącznie z przydatną listą stomatologów odwiedzanych przez zwykłych pacjentów, lecz artykułowi towarzyszył ranking pięciu najpiękniejszych garniturów uzębienia gwiazd Hollywoodu. Praktyczna tabelka z wyszczególnieniem chorób dziąseł została brutalnie wykreślona. „Styl i Blask” pisze o takich dolegliwościach jedynie wówczas, gdy cierpią na nie gwiazdy.

Mnóstwo czasu spędzam przy telefonie, śledząc najnowsze trendy i dowiadując się, co jest grane. Ustalanie, kto gdzie chodzi, czego używa i co nosi, jest wyczerpującym zajęciem. Gryzę palce, czekając, aż oddzwonią dyrektorzy ośrodków spa, właściciele salonów wystawienniczych i kierownicy sprzedaży wiodących sklepów. Odpowiedzi są zdawkowe, niekiedy wymijające. Potrzeba trzech przykładów, żeby ogłosić nowy trend; dwa to raczej zbieg okoliczności. Czasami muszę się porządnie naszukać, żeby mieć trzy dowody. Dlatego obok fotografii Julii Roberts często daję zdjęcie mało znanej aktoreczki z ubożuchnym dorobkiem.

„Styl i Blask” dobrze się sprzedaje i ma wzięcie wśród reklamodawców, ale jest czasopismem pozbawionym istotnych treści. Reklamujemy się w prasie jako epicentrum najnowszych trendów, lecz nasze zajawki można włożyć między bajki. Ta wyraźnie wyczuwalna stagnacja z pewnością nie jest ciszą panującą w oku cyklonu.

Marguerite Tourneau Holland Beckett Velazquez Constantine Thomas

Poniedziałkowe zebrania redakcyjne są koszmarnie nudne. Pięćdziesiąt osób z kubkami napelnionymi kawą siada wokół ogromnego stołu w sali konferencyjnej, żeby gadać o druku, fotkach, sesjach zdjęciowych, stylizacji, harmonogramach oraz wszystkich odmóżdżających duperelach niezbędnych do wydania kolejnego numeru. W takich naradach powinno uczestniczyć góra siedem, osiem osób, a jednak wszyscy muszą przychodzić i odcierpieć swoje. Każdy musi przywlec spracowane, nieruchawe cielsko do sali konferencyjnej i wysłuchiwać, jak ludzie z działu graficznego kłócą się, na którym zdjęciu Cate Blanchett, chwilowo cała w loczkach, wygląda najlepiej.

Rzadko dyskutuje się o tekstach, bo kiedy o nich mowa, sprawdza się jedynie, czy zostały oddane, a jeśli nie, to kiedy można się ich spodziewać. Raz w miesiącu, zwykle w drugi, rzadziej w trzeci poniedziałek, deliberujemy bez końca nad stroną współpracowników, umieszczaną tuż za notą redakcyjną i najczęściej pomijaną przez czytelniczki, przechodzące od razu do lektury listów. Nie obchodzą ich osiągnięcia wyrobników ze świata mody. Z drugiej strony jednak ci ludzie są przewrażliwieni na swoim punkcie, więc trzeba zdrowo kombinować, żeby ich nie urazić, i dlatego ich stronę układamy z aptekarską dokładnością, jakbyśmy szykowali su flet: troszkę stylistów, ociupinkę tekściarzy. Ilekroć w zebraniu nie uczestniczy Jane, oczy same mi się zamykają.

Walczę z sennością, aż tu nagle otwierają się drzwi sali konferencyjnej. Wchodzi dziewczyna w klasycznej malej czarnej, ma torebkę od Chanel. Wygląda jak Audrey Hepburn: papieros w długiej fifce, sznur pereł, smukła i wysoka sylwetka. Zatrzymuje się w drzwiach, jakby nie była pewna, czy chce zostać, czy woli raczej wezwać taksówkę i odjechać. W sali konferencyjnej nie ma jednak postoju taksówek.

Lydia, nasza sekretarz redakcji, przerywa strofowanie kolegów, którzy nie dostarczyli niezbędnych materiałów, i podnosi wzrok. Widzi smugę dymu rozchodzącą się po sali i kaszle ostentacyjnie. Palić można tylko w swoim gabinecie, i to za zamkniętymi drzwiami.

– Spóźniłam się? – pyta nieznajoma, która jednak postanowiła zostać.

Lydia kaszle ponownie i kręci głową.

– Ależ skąd – odpowiada z przymilnym uśmiechem, który wszyscy mamy na ustach w obecności Jane, teraz jednak widzi obcą babę, więc ten uśmiech jest nie na miejscu. – Czekać na ciebie, niezobowiązująco rozmawialiśmy o tym i o owym.

– Doskonale. – Ślicznotka wypuszcza kłęb papierosowego dymu z dwudziestocentymetrowej plastikowej fifki i siada na prawo od Lydii.

Christine pochyla się w moją stronę.

– To ona paliła dziś rano kadzidelka – szepce mi do ucha.

– Skąd wiesz? – pytam.

– Poszłam za wonią. Moim zdaniem to nowa zastępczyni szefowej.

Prawdziwa rewelacja!

– A co z Eleanor?

– Zwolniona w Paryżu w ubiegłym tygodniu. Nie znam szczegółów.

– Eleanor usiadła na miejscu Jane w czasie pokazu Anny Sui – wtrąca Delia, asystentka redaktora kroniki towarzyskiej. Siedzi za nami, na ławce ustawionej pod ścianą sali konferencyjnej, i pochylona szeptem nam dalej na ucho: – Jane była zmuszona usiąść w ostatnim rzędzie, więc ledwie pokaz dobiegł końca, bez namysłu wywalila Eleanor, choć ta przekonywała, że zaszło nieporozumienie i ktoś jej wskazał to miejsce. Jane nie dała wiary tym zapewnieniom. Przypadkiem był tam i nasz wydawca, a obok niego siedziała dawna znajoma, idealna kandydatka na wakujące stanowisko, więc natychmiast ją zatrudnił.

– Skąd wiesz to wszystko? – Przyglądam się Delii, zaskoczona, że w ciągu paru godzin zdołała zebrać tyle informacji.

– Słucham, co ludzie mówią. – Delia wzrusza ramionami i opiera głowę o ścianę. Już mam jej odpowiedzieć, ale Lydia znowu kaszle. Nowa zastępczyni szefowej przekłada firkę z prawej do lewej ręki. Nie pozwoli, żeby ostentacyjne kasłanie uszło tamtej na sucho.

– Chciałabym przedstawić nową osobę w naszym zespole – mówi Lydia bez entuzjazmu. – Przybyła do nas z Sydney, gdzie przez sześć lat pełniła obowiązki naczelnej tamtejszej edycji „Vogue’a”. Przywitajmy Marguerite Tourneau Holland Beckett Velazquez Constantine Thomas.

Rozlega się cichy pomruk i głosy mówiące: „cześć”.

– No nie! – szeptem do ucha Christine.

– Ależ tak – odpowiada z uśmiechem.

– Nie – powtarzam, tym razem nieco pewniej. – To niemożliwe. Kto by włókł za sobą nazwisko długie jak lista płac?

– Moim zdaniem pięciokrotnie wychodziła za męża.

– Ale...

– Wszystkich mężów szczerze kochała.

– Wyobrażasz sobie, jak takie nazwisko będzie wyglądać w stopce? Zajmie trzy linijki. Na miłość boską, przecież to doświadczona redaktorka! Potrafi robić skróty.

Christine uśmiecha się, ale milczy. Z wyjątkowym zainteresowaniem obserwuje dramat rozgrywający się na jej oczach. Wszyscy siedzący wokół stołu nagle się ożywili, choć do tej chwili zainteresowanie okazywali jedynie fotoedytorzy.

– Dzięki, Lydio, że mnie tak... – Marguerite zawiesza głos, jakby zastanawiała się nad odpowiednim przysłówkiem, ale po chwili namysłu rezygnuje z poszukiwań – ... przedstawiłaś. Miło z twojej strony. Cóż... – Wydmuchuje smugę dymu prosto w twarz Lydii, a potem zwraca się do ludzi siedzących wokół stołu. – Jestem szczęśliwa, że będę tu pracować. Od dawna podziwiam „Styl i Blask”. Cieszę się na współpracę z zespołem tworzącym tak wspaniałe czasopismo.

Nie przywykliśmy do komplementów wypowiedzianych przez szefostwo, więc niektórzy reagują na tę niespodziankę stłumionym chichotem.

– Chciałabym poznać wszystkich, którzy siedzą przy tym stole – zapewnia, sprawiając wrażenie dość szczerzej – a ponieważ czas to pieniądz, moglibyśmy chyba zacząć natychmiast. Powiedzcie mi wasze imiona i krótko wyjaśnijcie, czym się zajmujecie w redakcji.

Takie prezentacje następują u nas z niepokojącą regularnością. Odbywamy je, ilekroć pojawiają się nowi pracownicy albo ktoś z działu kadr przychodzi integrować się z zespołem. Można przywyknąć, a jednak nie znoszę tego. Wściekam się, mówiąc: „Jestem Vig Morgan, młodsza redaktorka”. Nie znoszę słuchać, gdy wszyscy inni się przedstawiają. To równie żenujące jak prezentacje kandydatek do tytułu miss.

Na pierwszy ogień idzie David Rodrigues z działu graficznego. Marguerite zamiast niedbale kiwnąć głową jak ludzie z działu kadr, zadaje pytanie. Zainteresowała się jego koszulką, brązowym Tshirtem z intrygującym logo. David odpowiada, że sam ją zaprojektował. Nasza nowa zastępczyni szefowej uznaje, że wyrósł nam tutaj następcza Williama Morrisa, i zamawia jedną dla siebie. Podobnie zagaduje kolejno wszystkich zgromadzonych wokół stołu, gawędząc przyjaźnie z pracownikami. Każdemu dostaje się przynajmniej jeden komplement. Pyta Christine o jej kursy kulinarne, a ja dowiaduję się, że dzięki mojemu artykułowi zastanawia się nad wybieleniem zębów.

Marguerite Tournéau Holland Beckett Velazquez Constantine Thomas okazała się czarująca. Potrafi to wykorzystać, toteż jesteśmy pod jej urokiem.

Popołudniowe zebranie trwa do pół do czwartej, ale nikt nie jest tym zirytowany prócz Lydii, która niczym mała dziewczynka obserwująca unoszony silnym wiatrem latawiec patrzy, jak odbiera się jej przewodnictwo. Ma na twarzy osobliwy wyraz całkowitej bezradności. Kilkakrotnie próbuje odzyskać kontrolę, bo jest twarda i mocno się trzyma, ale Marguerite obojętnie dmucha na nią dymem z papierosa, który pali się chyba bez końca.

Na koniec omawiamy krótko sesje zdjęciowe. Lydia nie ma pojęcia, jak zaawansowana jest praca nad większością materiałów do numeru listopadowego. Będzie musiała ostro wziąć się do roboty. Z grafiką i terminarzem w ręku obejdzie wszystkie redaktorki, żeby pogadać z nimi w cztery oczy i wszystko uporządkować.

Ale nikt się tym nie przejmuje. Lydia jest całkiem fajnym sekretarzem redakcji i dobrze pracuje, ale do głowy by jej nie przyszło, żeby postawić się szefowej i bronić swoich ludzi. Płaszczy się przed nią, bijąc pokłony. Stale potakuje, jakby nie miała własnego zdania. Jeśli nawet ktoś przez trzy noce z rzędu ślęczał do drugiej w nocy, bo Jane o szóstej uznała cały numer za koszmarny, nie powinien się wiele spodziewać. Nie oczekujcie podwyżki ani pochwał, ani odręcznej notatki z podziękowaniem. Nie spodziewajcie się, że Lydia uświadomi naczelnej, że szósta to nie jest odpowiednia pora, żeby wywracać numer do góry nogami. Najlepiej porzucicie wszelką nadzieję.

Początek intrygi

Allison kojarzy mi się z niezliczonymi, dość luźno powiązаныmi opowieściami, które dobiegają zza cienkiej przegrody dzielącej nasze pomieszczenia. Te historie są tak różnorodne, że chwilami Allison sprawia wrażenie nie tyle żywej osoby, lecz postaci literackiej, której jedynym zadaniem jest powodować nagle zwroty akcji, całkiem jak *deus ex machina* w antycznych tragediach.

Allison i ja pracujemy w tym samym czasopiśmie, więc regularnie widzimy się podczas zebrań redakcyjnych oraz kolo łazienki, ale nie wyszliśmy dotąd poza zdawkowe kiwnięcie głową i sztuczny uśmiech. Wstyd mi na nią spojrzeć, bo znam mnóstwo szczegółów z jej życia; słyszałam o facetach, którzy nie dzwonią, o koszarnej babie, z którą związany jest jej ojciec, o nieudanych wakacjach, uporczywej i trudnej do zdiagnozowania drożdżycy. Nie powinnam wiedzieć takich rzeczy. Sama trzymałabym je w tajemnicy, nie gadałabym o nich w pracy, a gdybym musiała do kogoś zadzwonić, wyszłabym z redakcji i poszukała budki telefonicznej, żeby się wyzalić. Nieustannie mam bolesną świadomość, że oddzielająca nas cieniutka ścianka przypomina muślinową zasłonkę, a przy zapalonym i odpowiednio ustawionym świetle praktycznie mogłoby jej wcale nie być.

Dlatego jestem zdumiona, gdy Allison wysuwa małą blond główkę ponad dzielącą nas barierę i mówi:

– Vig, możemy pogadać? Spotkajmy się, co?

Ta prośba całkiem mnie zaskoczyła, więc potrzebuję kilku sekund, aby zebrać myśli. Wprawdzie Allison zwróciła się bezpośrednio do mnie, i to po imieniu, lecz w pierwszej chwili odniosłam wrażenie, że mówi do kogoś innego. Pewnie jest w redakcji druga Vig. Podnoszę wzrok, jakbym spodziewała się ujrzeć stojącą obok własną imienniczkę, ale jestem sama w swoim kantorku. Przestaję stukać w klawisze.

– Znajdziesz chwilę? – wdzięczy się Allison, lekko przechylając głowę. – To nie potrwa długo.

Przez dwa lata ją podsłuchiwałam i nie mam złudzeń. U niej wszystko się ślimaczy. Nagła i szybka wymiana zdań, umożliwiająca samodzielnym redaktorom sprawne funkcjonowanie, nie istnieje w jej świecie. Allison nie może się oprzeć pokusie rozwlekłych dygresji, więc często odbiega od tematu, i to na wiele kilometrów. Zamiast szybko wrócić do meritum, z trudem wlecze się krok po kroku. Trudno powiedzieć, jak znoszą to jej telefoniczni rozmówcy, ale ja muszę czasami wyjść i napić się wody, żeby ochłonać.

Mam co robić do szóstej, ale jestem zbyt zaciekawiona, żeby odmówić. To precedens, że Allison się mną zainteresowała, ale nie mogę pozwolić, żeby ten incydent się powtórzył. Wydaje mi się, że to jedna z tych rzeczy, które powinny się w życiu zdarzyć raz, tylko raz.

– Zgoda – odpowiadam, spoglądając na nią wyczekująco.

– Nie tu. Mogłybyśmy... – Ruchem głowy wskazuje kierunek.

Dyskrecja nie należy do jej zalet, więc przez moment boję się, że postanowiła mnie wykopać z pracy, lecz po chwili namysłu przychodzi opamiętanie. Obie jesteśmy zwykłymi

redaktorkami, więc nie jest władna mnie zwolnić. Szczerze mówiąc, nie ma żadnej władzy.

Jest mi wszystko jedno, gdzie pogadamy, więc idę za nią na korytarz. Pomieszczenia redakcyjne są ciemne i ponure. Naturalne światło rozjaśnia tylko gabinety szefostwa za zamkniętymi drzwiami. Mijamy recepcję i pokoje działu ogłoszeń. Nigdy tu nie zaglądałam i jestem mocno zdziwiona, że tak u nich ładnie. Lśniące podłogi, rozproszone światło, a nie zwykłe jarzeniówki. Pokonawszy kilka zakrętów i rozwidleń, stajemy przed drzwiami z napisem „Toaleta damska”. Allison otwiera je, wystukując kod. Jesteśmy w łazience szefostwa z trzema staromodnymi kabinami; w niezbyt obszernym przedsionku leży dywan i stoi kryta czarną skórą kanapa. Siedzi na niej Kate Anderson z działu dodatków oraz fotoedytorka Sara Cohen. Na widok mebla, dywanu i towarzystwa jestem nieco zbita z tropu. Oddaliłam się zaledwie parę kroków od znajomych kątów, a mam wrażenie, jakbym wpadła do króliczej nory.

– Cześć – rzucam niepewnie.

Można by pomyśleć, że usiadłam w stołówce przy niewłaściwym stoliku. Na szczęście od lat nie odwiedzam takich miejsc, więc usiłuję szybko odzyskać panowanie nad sobą. Spoglądam na Allison, oczekując wyjaśnień, a ona z kolei zerka na Sarę i Kate, które zrywają się na równe nogi.

– Dzięki, że przyszedłaś – mówi Sara, kładzie mi dłonie na ramionach i popycha na kanapę. Siadam z ociąganiem.

– Po co mnie tutaj ściągnęłyście?

– Będziesz wtyczką – decyduje Kate.

– Wtyczką?

– Owszem – przytakuje Allison.

– Co to znaczy? – Patrzę z ciekawością na całą trójkę.

– Wtyczka może się podłączyć – wyjaśnia Sara.

– Do czego mam być podłączona?

– Do naszego planu – odpowiada Allison.

– Słucham? – rzucam pytająco.

– Mamy plan – oznajmia z satysfakcją Allison.

– Jaki? – domagam się wyjaśnień, jakby tych planów było tyle, że całości nie ogarniam.

– Genialny plan, jak się pozbyć Jane McNeill.

Jane McNeill

Jane McNeill to wyrazista osobowość: twarda sztuka, ale jest w porządku. Trochę narwana, ale zna się na swojej pracy i potrafi dobrze sprzedać tytuł. Można się od niej sporo nauczyć.

Nie dajcie się nabrać. Jane McNeill wcale nie jest w porządku. Szybko traci nad sobą panowanie, brak jej cierpliwości: wszystko musi być na wczoraj. Uprzejmość traktuje jako wadę typową dla słabeuszy. Gdyby ktoś poprosił o tydzień urlopu, żeby doglądać umierającej matki, zżymałaby się przy wszystkich, jakby chodziło o zwykłe osobiste zachcianki, stanowiące dla niej wielkie utrapienie. Chętnie upokarza ludzi w obecności całego zespołu. Gdy zna się odpowiedź na jej pytanie, które zazwyczaj jest kompletnie od czapy i dotyczy na przykład długości modnych w latach pięćdziesiątych, gdy ktoś potrafi wygłosić na ten temat błyskotliwą mowę, Jane tak długo grzebie w swoim worku z chytrymi sztuczkami, aż trafi na supertrudną zagadkę; pyta, dajmy na to, jak była ubrana Martha Washington na uroczystości zaprzysiężenia George'a Washingtona.

Zebrania redakcyjne są koszmarne i pełne napięcia.

Każdy czuje się jak przestępca, który nie wie, co przeskrobał i czemu postawiono go przed sędzią sądu najwyższego. Wszystkie tematy dozwolone. Ni stąd, ni zowąd pada pytanie: jakie są trzy powody kryzysu produkcji jedwabiu w Górnej Wolcie. Paskudna zagrywka; w Górnej Wolcie nie ma prawie żadnej produkcji. Pod rządami Jane redakcja przypomina izbę tortur, a my jesteśmy posłusznymi trybikami w gładko działającej maszynie.

Jane niewiele czasu spędza w Nowym Jorku, ale jej powroty przypominające trzęsienia ziemi da się wyliczyć z matematyczną dokładnością. Straty zależą od długości jej pobytu i rosną w postępie geometrycznym. Jeśli spędza w redakcji dwa dni, skutki są sto tysięcy razy groźniejsze niż wówczas, gdy wpada tylko na jeden. Krajobraz po bitwie, a nasze poczucie własnej wartości, już wcześniej mocno stłamszone z powodu mizernych efektów harówki, wyparowuje jak poranna mgła.

Przez dwa długie lata musiałam jako stażystka znosić jej fochy, nim awansowałam na samodzielną redaktorkę. Ponad osiemnaście miesięcy mamiła mnie wizją awansu, który jak marchewka zawieszona na długim kiju stale dyndał mi przed nosem. „Wytrzymaj jeszcze trochę, Vig. U nas trudno zostać samodzielną redaktorką”.

Kiedy odczuwałam nieprzepartą ochotę, żeby rozwalić siekierą komputer i uciec z tego kamieniołomu, Jane wezwała mnie do gabinetu, żeby oznajmić dobrą nowinę. No i zostałam w redakcji. Jestem nadal wystawiona na jej wściekłe ataki i ostre docinki, ale nie znajduję się na pierwszej linii. Przy moim biurku siedzi teraz inna mądrała o rozległej wiedzy, zdecydowana pisać w górę na własną rękę, więc na nią spadają ciosy. Stała się moją tarczą, za to jej płacą. Co za szczęście, że nie jestem na jej miejscu, ale wstyd mi z powodu odczuwanej ulgi, więc odwracam wzrok, ilekroć mijam tamto biurko.

Jane potrafi zadbać, żeby tytuł dobrze się sprzedawał, ale nie przesądzają o tym jej

odkrywcze idee, tylko podatność czytelników na sugestię. Co roku upiera się, żebyśmy publikowali artykuł o klasycznym stylu Jackie Kennedy-Onassis albo wrodzonym uroku Grace Kelly, jakby wcześniej nikt o tym nie pisał. Takich kawałków są przecież dziesiątki, a zdjęcia wszystkim się opatrzyły; towarzyszyły im zresztą lepsze teksty.

Jane upatruje swoją szansę w tym, że wybiera odpowiedni moment i, wykorzystując koniunkturę, nawiązuje współpracę z pismem, które ma dobrą passę, więc nieuchronnie zwiększa sprzedaż. Zaliczyła już „Face” oraz „Voyagera” i powtórzy tę sztuczkę, gdy na horyzoncie pojawi się nowy pokupny tytuł. Jest geniuszem autoreklamy i uosobieniem taniego blichtru uwielbianego przez wydawców kolorowych pism.

Nie tylko ja liczę dni...

Intryga przybiera realny kształt

Toaleta po redakcyjnej stronie siedziby naszego pisma nie należy do miejsc, gdzie można usiąść wygodnie i się zrelaksować. Odwiedza ją mnóstwo ludzi, więc trudno pobyć tu na osobności. Drzwi kabin są niskie, więc można zobaczyć czubki głów koleżanek zapinających dzinsy. Jeżeli ktoś chce zostać sam, polecam windy. Czasami udaje się przejechać w pojedynkę dwadzieścia dwa piętra.

Allison, Sara i Kate czują się w redakcyjnej łazience jak u siebie w domu. Gdy pilnuję drzwi, żeby nie zaskoczył nas ktoś z kierownictwa, siadają na blatach i poprawiają fryzury, przeglądając się w bezlitosnych lustrach.

– Już czas – zaczyna Sara.

– Na co? – pytam, uświadamiając sobie, jak mało wiem. Nie mam pojęcia, dlaczego moment jest odpowiedni, czemu mam być wtyczką ani co wykombinowały moje koleżanki, żeby pognać Jane.

Allison kiwa głową i sięga po jeden z niezliczonych produktów do pielęgnacji włosów, którymi zastawiony jest blat. Pochyla się do przodu, odgarnia włosy i spryskuje pasma. Ma dziś na sobie szare lniane spodnie i białą bluzkę bez rękawów. W tym stroju powinna wyglądać modnie i elegancko, a jednak sprawia wrażenie, jakby włożyła byle co, ponieważ wszystkie inne rzeczy trafiły właśnie do pralki. Odgarnia kosmyki zasłaniające oczy i mówi:

– Nadeszła pora, aby zaatakować.

Odrywam wzrok od drzwi. Jesteśmy tu od dziesięciu minut i ani razu się nie otworzyły. Zaczynam wierzyć, że pozostaną zamknięte na zawsze.

– Dobra – odpowiadam.

– Nadarza się sposobność – wyjaśnia Kate.

– Co ty mówisz? – Allison pochyla głowę i ponownie spryskuje włosy. Kiedy się prostuje, wygląda tak samo jak przedtem, tylko policzki ma trochę bardziej zaczerwienione.

– Mamy niewielką szansę – uprzedza Sara na wypadek, gdybym zakładała, że sukces jest murowany.

– Nie ma co się łudzić, że Marguerite Tourneau na dłużej zagrzeje u nas miejsce jako zastępca szefowej – mówi Allison, odstawiając lakier do włosów po ostatnim, decydującym psiknięciu. – Z pewnością Jane pozbędzie się jej w ciągu najbliższych dwóch miesięcy.

– Tak długo? Ha! – Sara przewraca oczami. – Moim zdaniem uwinie się w tydzień.

– Nie da rady – wtrąca Kate. – Raczej w miesiąc.

– Wytrzyma aż tyle? – Sara ma wątpliwości.

– Dział kadr potrzebuje około trzydziestu dni na załatwienie papierkowej roboty – argumentuje logicznie Kate. – Nie można zwolnić pracownika, który nie został oficjalnie zatrudniony.

Takie rozumowanie trafia do przekonania wszystkim trzem dziewczynom, które odwracają się i spoglądają na mnie. Siedzę na miękkiej kanapie ze skórzaną tapicerką, zajęta własnymi myślami. Wtyczka, genialny plan, sposobność rokująca pewne nadzieje, pora na

atak... Słuchałam z uwagą, pilnie nadstawiałam uszu.

Czuję na sobie ich zachłanne, wyczekujące spojrzenia.

– Co jest?

– Pomożesz? – mówią chórem jak panienki z kółka recytatorskiego.

– Nie wiem. Jaki macie plan?

Allison spogląda na dwie pozostałe. Kate unosi brwi, jakby odradzała. Sara nie jest taka dyskretna i kręci głową. Allison wzdycha.

– Nie możemy cię wtajemniczyć, póki nie obiecasz nam pomóc.

– Nie mogę wam tego przyrzec, dopóki nie wiem, co kombinujecie. – Działanie na oślepie to nie mój styl. Mogłabym napytać sobie biedy.

Złości je moja stanowczość. Patrzą po sobie, wymownie trzepocąc rzęsami. Kusi mnie, żeby przeprosić i wyjść na chwilę. Niech się naradzą w swoim gronie. Z drugiej strony jednak kanapa jest bardzo wygodna i dlatego ani myślę się z niej ruszyć. I tak wiem, co z tego wyniknie. Mogą sobie do woli unosić brwi, ale prędzej czy później zdradzą mi swój plan. Nie mają wyjścia. Jestem wtyczką.

Allison Harper

Allison Harper nie wygląda na redaktorkę działu urody. Jej pospolita powierzchowność nie pasuje do typowych wyobrażeń o stylu i elegancji. Stara się, bo nosi modne sandaalki (Jimmy Choo), dobre spodnie (Emanuel Ungaro), używa fajnej szminki (Lip Glass, MAC), ale z tych elementów składowych nie powstaje właściwy produkt końcowy. Każdy z osobna jest w porządku, na manekinie ciuchy wyglądają świetnie, ale jej osobowość to wszystko odrzuca.

Allison ma trzydzieści dwa lata, o trzy więcej niż ja. W ostatnich miesiącach jej nastrój, zwykle pogodny, zmienił się w totalne ponuractwo. Została po raz kolejny pominięta przy awansie na stanowisko starszej redaktorki. Szefostwo podkupiło kogoś innego w konkurencyjnej redakcji. Allison właśnie zaczyna się orientować, co jest grane. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jej przyszłość nie wygląda wcale tak różowo, a ładne oczy nie stanowią gwarancji, że będzie drugą Elżbietą Bennett. Allison Harper nie jest główną bohaterką swojej historii, tylko postacią drugoplanową jak Charlotte, która wyrzeka się marzeń, idąc na kompromis, niepewna, czyjej się uda, czynnie. Znika dawna, dziecinna próżność sprawiająca, że Allison uważała się za Kleopatę, a teraz odkrywa, że była nikim, bezimienną niewolnicą, której życie minęło niezauważone.

Okropna przypadłość, więc nie chcę na to patrzeć, a idąc do łazienki, nadkładam drogi, żeby nie przechodzić obok jej kantorka. Późno wieczorem, gdy redakcja niemal pustoszeje, słyszę Allison relacjonującą najlepszej przyjaciółce utrapienia minionego dnia. Jej głos brzmi zagadkowo, kiedy oznajmia, że komu innemu przydzielono temat „Rozmowy o kosmetykach”. Interlokutorki odpowiadały na pytanie w rodzaju: najpierw eyeliner, potem maskara, czy odwrotnie? Ominął ją także wywiad dotyczący stylu intelektualistów oraz ich ubraniowych preferencji: skóra czy zamsz i dlaczego? Z irytacją skarży się Grecie, że dostał jej się znowu reklamowy chłam, klecony z firmowych ulotek. Nie po to się tu pchała.

Allison całkiem słusznie wini Jane za całkowity zastój swojej zawodowej kariery. Szefowa w przeciwieństwie do prawdziwych zawodowców nie podejmuje decyzji, biorąc pod uwagę zdolności i zasługi. Zatrudnia ładne dziennikarki, które nie umieją pisać, i wywała utalentowane brzydule. Stażystki wybiera, jakby angażowała modelki, więc stanowimy doborowy zespół: same wysokie i szczupłe szatynki o prostych włosach sięgających karku.

Redakcja „Stylu i Blasku” funkcjonuje jak francuski dwór w siedemnastym wieku. Nikt się nie odzywa niepytany, w obecności Jane każdy spuszcza oczy. Jej potrzeba dominacji jest niemal patologiczna, więc gdyby to nie było sprzeczne z kodeksem pracy i przepisami bhp, bez wątpienia kazałaby nam padać na kolana. Jej zainteresowanie pracą w „Stylu i Blasku” potrwa tak długo, jak długo sprzedaż będzie rosła. Odejdzie, ledwie wyniki trochę spadną. Ucieknij z tonącego okrętu, a porzucony tytuł zacznie się staczać po równi pochyłej.

Dowodem na to są trudności „Voyagera”, „Face” również walczy o przetrwanie. Jane nie jest zainteresowana inwestowaniem w zdolnych ludzi ani tworzeniem stabilnych fundamentów gwarantujących wieloletnie powodzenie tytułu. Po Jane choćby potop...

Czeka ją jednak niespodzianka: pospólstwo się buntuje.

Wtyczka

Mam zostać wtyczką z dwóch powodów: Jane podobno darzy mnie szacunkiem, natomiast Aleks ma wobec mnie dług wdzięczności.

– Ależ skąd – mówię.

– Ma, ma – upiera się Allison.

– Wręcz przeciwnie – powtarzam. Jako młodsza redaktorka nawet sobie nie mogę pomóc, a co dopiero mówić o innych.

– A jednak coś ci zawdzięcza. Chodzi o majowe metamorfozy! – woła z kabiny niewidoczna Sara.

– Majowe metamorfozy? – Daremnie próbuję sobie przypomnieć jakiś szczegół tamtego materiału dotyczący Aleksa Kellera, lecz nic mi nie przychodzi do głowy.

Słysząc szum wody ze spluczki i zaraz pojawia się Sara w obcisłych spodenkach z nogawkami sięgającymi kostek.

– Właśnie, majowe metamorfozy – potwierdza stanowczo, odkręcając kran i myjąc ręce.

Rzeczywiście w maju oprócz standardowych artykułów na temat bali i pikników poszedł również materiał o wielkiej metamorfozie, która rzekomo ma odmienić całe życie, ale Keller pilnował swojej działki, a ja swojej.

– Nic mi nie zawdzięcza.

– Carla Hayden – mówi Kate, spoglądając na mnie wyczekująco.

– Carla Hayden? – To brzmi znajomo, lecz z niczym konkretnym mi się nie kojarzy. Znana aktorka, wzięta stylistka, nowa koleżanka z redakcji? Nie mam pamięci do nazwisk.

– Owszem – mówi Sara, potakująco kiwając głową. Wyciera ręce papierowym ręcznikiem, rzuca go do kosza i osuwa się na kanapę tuż obok mnie. Czuję zapach jej perfum; kwiatowa mieszanka, zapewne droga.

– Niska. Dość pulchna. Szatynka, włosy o burawym odcieniu – dodaje Allison, jakby oczekiwała, że przechowuję takie dane w pamięci.

Moim zdaniem, opis pasuje do połowy kobiet na tym świecie. Bezmyślnie gapię się na dziewczyny.

– Uczestniczyła w majowej metamorfozie – podpowiada Kate.

Zniecierpliwiona Sara patrzy na mnie z westchnieniem.

– Wybrałaś dla niej kreację Chloe z dekoltem w szpic i kazałaś zrobić jasne pasemka.

– Ach, ta w sukni od Chloe – doznaję olśnienia. To ich wina, że tak długo nie wiedziałam, o co chodzi. Gdyby przyniosły majowy egzemplarz, przed pięcioma minutami wiedziałabym, w czym rzecz. – Nazywała się Carla Hayden?

– Carla – Hayden-Keller – mówi Allison.

– Carla Hayden-Keller? – powtarzam.

– Zgadza się. – Kate kiwa głową.

– On jest żonaty? – Próbuję sobie wyobrazić kobietę gotową wyjść za pryszczatego awanturnika o manierach trolla. Niska, dość pulchna szatynka z włosami o burawym odcieniu

raczej mi na taką nie wygląda.

– To jego siostra – tłumaczy roześmiana Sara. – Skróciła nazwisko z obawy, że Jane wyczuje pismo nosem.

– Keller ma siostrę? – Nie raczył wspomnieć o rodzeństwie, więc nikt z nas nie podejrzewał go o posiadanie siostrzyczki, która pojawia się teraz jak diabeł z pudełka. Ale niewychowany! Nie wolno tak ludzi zaskakiwać, lecz to dla niego typowe. – Nic o tym nie wiedziałam – dodaje zaskoczona. – Powinien nas o tym uprzedzić.

– Nawet dwie – wtrąca Kate.

– Ale krętacz – odpowiadam, zdziwiona rewelacjami, które nijak się mają do tego, co już o nim wiem. Siostry powinny były w młodości wychować tego gbura. – Na pewno są znacznie starsze i podłe jak te z „Kopciuszka”. Zdominowały go w dzieciństwie.

Sara kręci głową.

– Są młodsze.

– Cholera. – W głowie mi się nie mieści, że taki koszmarny facet ma co najmniej dwie młodsze siostry. To chyba niemożliwe.

– Już rozumiesz, dlaczego ma wobec ciebie dług wdzięczności? – pyta Kate.

W ciągu roku robię trzydzieści metamorfoz. Do tej pory nikt mi za to jakoś szczególnie nie dziękował.

– A skąd!

– Odmieniłaś jej życie – tłumaczy Sara.

Właśnie takie idiotyzmy wypisuje „Styl i Blask, „ ale to nieprawda. Szczęście nie zależy od tego, jakiej używamy maskary.

– Zmieniłam jej fryzurę.

– Dwa dni po metamorfozie Carla Hayden-Keller odmieniona za sprawą jasnych pasemek i kiecki od Chloe dostała pracę w telewizji. Prowadzi teraz program „Generation Y”. Tam poznała Alistaira Concorana, znanego finansistę i udziałowca wielkich holdingów, który zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Po dwóch miesiącach wzięli ślub, kupili dom w Westchester, a teraz spodziewają się dziecka – powiedziała Allison, uśmiechając się szeroko.

– Sama widzisz – dodaje Kate – że Aleks Keller naprawdę ma wobec ciebie dług wdzięczności.

Aleks Keller

Cała redakcja zna opowieści o Kellerze. Nikt wprawdzie nie widział tego zatwardziałego mizantropa, lecz znamy jego awanturnicze usposobienie. Rozwścieczony ciska słuchawkę i wysyła obraźliwe emaile z natarczywymi żądaniem albo notatki pełne napastliwych komentarzy, całkowicie porażających.

Drzwi do gabinetu Kellera zawsze są zamknięte na głucho. Przez matową szybę nie widać zapalonego światła. Gdyby nie głośny łomot tanecznej muzyki, można by uznać, że pokój jest pusty. Jeśli mamy do Kellera sprawę, musimy korzystać ze skrzynki kontaktowej – w dosłownym znaczeniu tego wyrazu! Należy włożyć notatkę do specjalnego pudełka, zapukać dwa razy i odejść. Ledwie się odwrócisz, kartka znika. Całą sprawę okrywa mgła tajemnicy. Niekiedy czuję się jak Czerwony Kapturek pukający do drzwi babcinej chatki, za którymi czyha zły wilk.

Aleks Keller redaguje w „Stylu i Blasku” kronikę towarzyską. Co miesiąc zapelnia mniej więcej dwanaście stron fotografiami z premier, bankietów, promocji i uroczystych inauguracyj. Te wszystkie radosne uroczystości są identyczne, więc kiedy się ogląda materiały, właściwie trudno wyczuć, czym się różni bal dobroczynny na rzecz walki z rakiem piersi od pokazu mody firmy Givenchy. Wystarczy popatrzeć na zdjęcia pstryknięte w czasie krojenia tortu ze wszystkich zaliczonych wesel, dodać z tysiąc świec dla większego splendoru i już wiadomo, jak wygląda dział Aleksa Kellera. Obrazki są standardowe, zmieniają się tylko nazwiska vipów.

Marne fotki, niewiele lepsze od zdjęć ze szkolnych uroczystości, opatrywane są podpisami dotyczącymi relacjonowanych wydarzeń. Zwięzły styl Kellera – kolokwialny, często dowcipny, rzadko nudnawy – przypomina odzywki felietonistów plotkarzy, ale bez napastliwości i pieprzonych anegdot.

Rozświetlona blaskiem eleganckiego życia egzystencja Kellera nie usprawiedliwia jawnej wrogości, a zatem otwiera się przed nami szerokie pole do rozmaitych spekulacji. Mądrzymy się do woli na temat jego rodziców (ojciec mięczak, dominująca matka), wzrostu (kompleks Napoleona) oraz doświadczeń erotycznych (żadnych). Nienawiść odczuwana przez niego wobec bliźnich da się wytłumaczyć tylko w jeden sposób: Keller to kurdupel niezdolny zapanować nad agresją, który nie może nikogo poderwać. Jako że nie wyłazi ze swojej nory, aby sprostować plotki, te z każdym rokiem stają się coraz dziwniejsze. W miejsce żywego człowieka pojawiła się legendarna postać, a jej sekrety stały się nam dobrze znane. Czasami zapominamy, że są zmyślane.

Tak było z Sarą, Kate i Allison, gdy układały swój plan. Umknęło im, że Aleks Keller wcale nie musi być gburowatym karłem i psychicznym kastratem dyszącym żądzą zemsty na kobietach uosabiających władczą matkę. Wiem, bo raz go widziałam. Jest na co popatrzeć.

Intryga

Nie sądzę, aby słowo „szacunek” było najwłaściwszym określeniem uczuć żywionych wobec mnie przez Jane, ale zachowuję to dla siebie, bo chcę usłyszeć, co planują dziewczyny. Lada chwila powiedzą mi, w czym rzecz.

– Allison tak błyskotliwie wszystko wymyśliła – mówi Kate. – Niech ona decyduje.

Allison uśmiecha się i rumieni. Nie przywykła, żeby jej pomysły określano jako błyskotliwe.

– Sama nie wiem... – waha się, spoglądając na koleżanki z redakcji. – Umówiliśmy się wcześniej, że zdradzimy jej szczegóły wyłącznie wtedy, jeśli zgodzi się pomóc.

– Na pewno pomoże – nalega Kate, która nie może się doczekać, żeby wszystko wypaplać. – Kiedy pozna nasz plan, włączy się, jestem tego pewna.

Sara nie wygląda na przekonaną, lecz z wyraźnym zadowoleniem zwała odpowiedzialność za ostateczną decyzję na Allison.

– Mnie jest wszystko jedno. Róbcie, jak uważacie. Allison ugina się pod brzemieniem samodzielności i spogląda na mnie.

– Dobra, ale musisz przysiąc, że jeśli odmówisz współpracy, nikt się nie dowie, co planujemy.

Zgadzam się, bo podejrzewam, że wszystko, na co je stad, to dosypanie do szamponu Jane jakiegoś paskudztwa, które sprawi, że szefowa nam wyłysieje i złoży rezygnację, nie mogąc znieść takiego upokorzenia.

– Jedna z renomowanych galerii sztuki w Soho organizuje wkrótce nową wystawę – zaczyna z ociąganiem Allison, jakby nie była całkiem pewna, czy postępuje właściwie. – Pokazywane będą prace młodego brytyjskiego artysty Gavina Marshalla. To jeden z oszołomów, którzy napełniają krowimi wnętrznościami nadmuchiwane fotele z plastiku i twierdzą, że to dzieła sztuki. Jego najnowsza wystawa nosi oficjalny tytuł „Odłot lilii”, ale brytyjscy krytycy nazwali ją „Madonna na prochach”. I słusznie, bo figury Madonny poprzebierał w odłotowe ciuchy wielkich krawców, zarówno kobiece, jak i męskie – opowiada Allison. – W Anglii wystawa odniosła wielki sukces, ale wzbudziła też ogromne kontrowersje, więc z pewnością nie stanowi tematu dla miłego kolorowego pisemka takiego jak nasz „Styl i Blask”. Będą protesty i wezwania do bojkotu. Gdyby Jane zamieściła entuzjastyczną relację z wernisazu, nasz wydawca z pewnością wywalilby ją na zbity pysk, żeby się przypodobać reklamodawcom oraz religijnym konserwatystom.

– Jak zamierzacie przekonać Jane, żeby przyjęła taki materiał? – pytam.

Ich plan wydaje się ciekawy i śmiały, ale raczej wątpię, żeby się powiodł. Jane McNeill jest wprawdzie autokratyczną egoistką, ale nie urwała się z choinki. Wydawała dostatecznie dużo czasopism, żeby wiedzieć, kiedy zawartość numeru stanowi dla niej zagrożenie. Jest w branży od lat i wie, że mnóstwo vipów nie ma ochoty pokazywać się w kolorowym szmatławcu obok Marii Panny odzianej w mini od Diora.

– To będzie twoja rola – mówi Sara.

– Moja?

– Owszem – przytakuje Kate.

– Moja? – obruszał się. Trudno powiedzieć, na jakiej podstawie sądzą, że mam wpływ na Jane.

Allison kiwa głową.

– Jesteś wtyczką.

Mam powyżej uszu tej gadki o wtyczce, toteż patrzę na nią, jakbym nie wiedziała, o co chodzi.

Allison długo milczy, zastanawiając się wyraźnie, ile może mi zdradzić ze swego planu, mimo że nie przystąpiłam do sprzysiężenia.

– Chcemy, żebyś skłoniła Kellera do opublikowania wzmianki o planowanym wernisażu wystawy Gavina Marshalla. Niech włączy ją do listopadowej kroniki towarzyskiej, gdy będziemy planować numer.

– Musi koniecznie wymienić wszystkich zaproszonych vipów – dodaje Kate. – W przeciwnym razie Jane nie zwróci uwagi na imprezę. Ją interesują wyłącznie sławy i znakomitości.

Istotnie wystarczy wspomnieć o vipach z okładek, żeby wzbudzić zainteresowanie Jane, lecz plan ma poważne wady.

– Ona nie da się do tego przekonać.

– Spokojnie, to dopiero pierwszy etap – uspokaja Allison.

– Pierwszy? Sara kiwa głową.

– Jest ich więcej.

– Ile?

Allison przymyka oczy, rachując pracowicie.

– Cztery – odpowiada po dokonaniu obliczeń. – Rozpisałyśmy plan na cztery etapy. Drugi polega na tym, żeby zainteresować Jane osobą i dokonaniem Marshalla.

– Otóż to, ale musisz tak pokierować sprawą, żeby rzecz wyglądała naturalnie. Jane nie może się zorientować, że go jej podsunęłaś.

– Chcemy, aby myślała, że odkryła wielki sekret – tłumaczy Kate. Cała zamieniam się w słuch.

– Jak to się odbędzie?

– Jane odkryje przypadkiem, że jej nowa zastępczyni chce zaproponować, by „Styl i Blask” został patronem medialnym wernisażu Gavina Marshalla, a nawet przymierza się do sporej publikacji na ten temat... Jane na sto procent spróbuje ukraść pomysł.

To mi wygląda na jej typowe zachowanie, ale w rozumowaniu dziewcząt tkwi pewien błąd.

– Wystarczy rzut oka na materiały dotyczące Gavina Marshalla, żeby odrzuciła materiał. Ten facet jest dla niej zbyt kontrowersyjny.

– Owszem, tak by się zachowała, gdyby jedna z nas zaproponowała patronat medialny „Styl i Blasku” i włączenie się w promocję wystawy – przyznaje Sara – ale będzie innego zdania, gdy pomysł wyjdzie od Marguerite.

Domyśliłam się, że jest kilka rzeczy, o których nie wiem.

– Dlaczego?

– Od piętnastu lat z okładem ze sobą rywalizują – wyjaśnia Allison. – Obie były zwykłymi redaktorkami w „Parvenu”. Podkradały sobie wywiady, tematy artykułów, newsy. Każdej z nich marzyło się szefowanie działowi, ale kiedy powstał wakat, Marguerite dostała posadę i odtąd przy rozdawaniu tematów Jane dostawała najgorszy chłam. Winiła za to Marguerite. Pół roku później odeszła.

To jest dla mnie prawdziwa rewelacja.

– Skąd o tym wiecie?

– Strategiczna zasada wojenna numer jeden: poznaj swojego wroga – odpowiada z uśmiechem Allison.

Nie wiedziałam, że jesteśmy w stanie wojny.

– Sama widzisz, że jeśli zdołamy przekonać szefową, jakoby Marguerite knuła za jej plecami, żeby zarobić u wydawcy dodatkowe punkty, tamta zrobi wszystko, co się da, żeby dokopać rywalce – tłumaczy roztropnie Kate. – A gdyby nawet miała jakieś wątpliwości, czy wernisaż Marshalla pasuje do naszego wizerunku, odrzuci je natychmiast, ledwie wyczuje, że Marguerite jest zainteresowana tematem.

– Przestanie trzeźwo myśleć – dodaje z naciskiem Sara. – Oczekując ataku, skupi się na obserwowaniu wroga.

– Głowę dam, że tak będzie – wpada jej w słowo Allison.

Lepiej nie składać pochopnych deklaracji, ale czasami warto odsunąć na bok zastrzeżenia. Według mnie, upadek Jane McNeill wcale nie jest przesadzony, ale plan wydaje się dobry, znacznie lepszy, niż się spodziewałam po moich koleżankach. Ale zbyt wiele zależy od niepewnych ludzkich zachowań. Kto wie, jak Jane zareaguje na obecność Marguerite? Dziesięć lat minęło, odkąd pracowały razem w „Parvenu”. Wtedy była redaktorką, teraz kieruje jednym z najpopularniejszych magazynów kobiecych w historii takich publikacji. Czas i odniesione sukcesy leczą dawne rany.

Mówię moim koleżankom, że potrzebuję paru dni do namysłu, bo nie chcę im zrobić przykrości. Oczywiście zależy mi na upadku obecnego reżimu, ale nie będę pierwsza nadstawiać głowy.

Życie jest bez sensu

Dot Drexel mówi, jakby cytowała tytuły z gazet. Jej wypowiedzi są zawsze kategoryczne i mają formę równoważników zdań. Widzi się niemal dodające ekspresji znaki przestankowe.

– Biegówki i krok łyżwowy: twoje nowe sportowe hobby! – zwraca się do mnie, ledwie przekraczam próg jej gabinetu.

Od pięciu lat jest starszą redaktorką w „Stylu i Blasku, „, a jednak jej boks pozostał taki jak przed awansem; panuje w nim porządek, brak osobistych akcentów. Gdyby okazała się tajną agentką służb specjalnych i musiała nagle zniknąć, spakowałaby się w kilka sekund i nie pozostałby żaden ślad jej obecności. Nie wlokłaby ze sobą niezliczonych fotografii oprawionych w ramki oraz wielu innych bezużytecznych osobliwości zagrających biurka większości koleżanek i kolegów.

Siadam i daremnie próbuję sobie uświadomić, jakie było moje poprzednie sportowe hobby, które przed chwilą ustąpiło bieganiu na nartach krokiem łyżwowym.

– Zapomnij o snowboardzie – podpowiada Dot, wręczając mi folder przedstawiający zimowy krajobraz oraz salę kominkową do odpoczynku po nartach. – Oto nowa seksowna forma spędzania czasu, do której masowo garną się gwiazdy.

Wprawdzie snowboard nigdy mnie nie pociągał, więc łatwo mogę machnąć na niego ręką, lecz wątpię, żebym przez dłuższy czas zaprzętała sobie głowę nową seksowną formą spędzania czasu. Nowe trendy wchodzą do mojego świata i wychodzą z niego obrotowymi drzwiami. Na okrągło jest ruch w interesie.

– Świetnie.

– Super – odpowiada, ujęta moją spolegliwością.

– Napisz mi pięćset słów o topowej modzie dla amatorów biegania na nartach. Zadzwoń do projektantów i dowiedz się, jakie vipy kupują ciuchy z ich kolekcji. Sfotografujemy kreacje, dodając znane nazwiska. Zaczynij od Versace. Moim zdaniem, przygotowali już sportową kolekcję. Zwróć uwagę na kolekcje młodzieżowe. Trzeba hołubić czytelniczki poniżej dwudziestego piątego roku życia.

Króciutka narada skończona. Podnoszę się z krzesła, szczerze zdziwiona, że w ogóle zdążyłam usiąść.

– Już się do tego zabieram – mówię skwapliwie, jakby to była sprawa nie cierpiąca zwłoki, od której zależy przyszłość świata. Można by pomyśleć, że Lois Lane ratuje zagrożonych obywateli Metropolis. Czasami zapominam, że nasza praca niewiele ma wspólnego z prawdziwym dziennikarstwem.

– Czym jest w biegu narciarskim ten krok łyżwowy?

– pytam przed wyjściem z gabinetu.

Zwykle podczas takich spotkań skrętnie ukrywam swoją niewiedzę dotyczącą zagadkowych dziedzin, które omawiamy. Potem buszuję po Internecie, szukając odpowiedzi, lecz dziś nie mam głowy do takich sztuczek i chcę, żeby mi wyjaśniono, o co chodzi. Nie wiem, czemu przypisać ten buntowniczy nastrój, więc zastanawiam się, czy nie jestem

przypadkiem u kresu wytrzymałości. Być może pięć lat babrania się w błahostkach to wszystko, na co mnie stać.

Dot wzdycha ciężko nad moją ignorancją.

– Najlepszą możliwą rozrywką, niedostępną dla ciebie – odpowiada po namyśle, podnosząc słuchawkę telefonu.

Myli się, niestety. Bieganie na nartach krokiem łyżwowym wcale nie jest najlepszą możliwą rozrywką, niedostępną dla mnie. Gdybym mogła wybierać, zdecydowałabym się na swobodną i niezobowiązującą włączkę po kraju połączoną ze wspinaczką w górach.

Poznajmy się

Marguerite Tourneau Holland Beckett Velazquez Constantine Thomas zaprasza mnie do swego gabinetu na rozmowę. Christine, Kate i Allison były tam przede mną, więc spodziewałam się wezwania i umyślnie odwlekałam przerwę obiadową. Idę korytarzem do pokoiku sąsiadującego przez ścianę z szybem windy. Słyszeć ją wyraźnie, gdy przejeżdża obok.

To nie jest dawny gabinet Eleanor Zorn, która urzędowała w obszernym narożnym pokoju, gdzie nie brak miejsca dla gości, a wielkie okna wychodzą na Szóstą Aleję i Czterdziestą Dziewiątą Ulicę. Rano zagląda tam słońce, a wieczorem tęczowe refleksy neonu Radio City Music Hall. Marguerite nie ma takich luksusów. Jej gabinecik jest tak maleńki, że ledwie mieści się tam biurko i krzesło. Nie ma mowy o wstawieniu kanapy i stolika. Goście muszą się na razie zadowolić składanym krzeselkiem bez jednej nogi.

Marguerite ma okno, ale jest ono podobne do opisywanych we francuskich powieściach przygodowych szpar w murze, które przypominają bohaterom o istnieniu świata zewnętrznego, lecz nie pozwalają go zobaczyć. Widać jedynie brunatną fasadę budynku po drugiej stronie ulicy. Ten widok zamknięty ramą okienną jest niczym współczesny obraz.

Kolejny dowód żywiołowej niechęci Jane.

Spotkanie zostało wprawdzie określone jako niezobowiązująca pogawędka, ale na wszelki wypadek zabrałam połowę zawartości mojej kartoteki oraz archiwalne numery ze swoimi artykułami. Przezorny zawsze ubezpieczony, zwłaszcza że nie wiem, czego się spodziewać.

– *Bonjour* – odzywa się pierwsza Marguerite, trzymając w ręku staromodną konewkę. Właśnie podlewa kwiaty. Jest u nas drugi dzień, a już zdążyła zagospodarować się w gabineczku, ustawiając doniczki z afrykańskimi fiołkami, kwitnącym geranium i zwisającą pasiflorą. Parapet okienny wygląda jak półka w ogrodzie zimowym.

– Dzień dobry – odpowiadam, siadając.

Plastikowe krzeselko chyboce się pod moim ciężarem, więc chwytam brzeg biurka, żeby odzyskać równowagę. Na blacie widzę kilka numerów „Styl i Blasku” otwartych tam, gdzie są moje artykuły. Na samym wierzchu znajduje się najpoważniejsze z moich dziennikarskich osiągnięć: długi na tysiąc pięćset słów wywód dotyczący leczenia zębów oraz ich pielęgnacji.

Marguerite również spogląda na tę stronę.

– Owszem, właśnie zapoznałam się z kilkoma twoimi tekstami. Ten jest *tres magnifique*. „Styl i Blask” powinien publikować więcej tego rodzaju artykułów, nie sądzisz?

– Z pewnością nie przyniosłoby nam to żadnej szkody – przyznaję ostrożnie. Jane pyta podwładnych o zdanie, żeby się potem nad nimi pastwić, więc po jej zastępczyni spodziewam się tego samego.

– Doskonale – odpowiada, podlewając ostatni kwiatek, dorodną azalię. Potem siada przy biurku. – Chciałabym, żebyś przygotowała mi listę tematów wartych omówienia na łamach „Styl i Blasku, „dobrze? Zobaczą, co da się zrobić.

Z radością zajęłabym się sensownym poradnictwem zamiast wypisywać bzdury o vipach, ale nie tracę głowy. Potrafię wyczuć, kiedy mnie ktoś kaptuje do swego obozu. Obiecanki, cacanki...

– Naturalnie.

– Jak długo tu pracujesz?

– Pięć lat.

– Zaczynałaś jako asystentka Jane?

– Owszem. Byłam stażystką. Terminowałam dwa lata.

– Dwa lata! – Marguerite unosi brwi. – Jak wytrzymałaś z tą zołą... No cóż, dwuletni staż wydaje się nieco przydługi. U mnie trwałby najwyżej piętnaście miesięcy. Sama rozumiesz, trzeba zachęcać ludzi, żeby pieli się w górę. – Obrzuca mnie taksującym spojrzeniem. – Ty i Jane musicie być... *tres compatible*.

Wzruszam ramionami. Trudno powiedzieć, żebyśmy istotnie były zgodne czy idealnie dopasowane, z drugiej strony jednak brak mi słów na zwięzłe określenie wzajemnych zależności między szefową i mną. Nie da się opowiedzieć, czym jest współpraca z Jane, trzeba tego doświadczyć.

– *Bień*. No cóż, mam jednak nadzieję, że będzie się nam dobrze pracować. – Na moment odwraca się ku oknu. – Tak długo siedziałam w Sydney, że zapomniałam, jak ekscytujące jest to miasto.

– Długo tam byłaś? – pytam, żeby podtrzymać rozmowę, dowiedzieć się czegoś o niej i zakosztować przyjemności miłej pogawędki z przełożoną.

Marguerite się rozgadała, więc spędziłam w jej gabinecie jeszcze dwadzieścia minut. Na odchodnym słyszę, abym koniecznie sporządziła listę tematów wartych szerszego omówienia, więc przyrzekam, że o niej nie zapomnę.

Marguerite sprawia wrażenie przyjaznej i bezpośredniej. Nie widzę żadnej rysy na jej wizerunku, trudno również podejrzewać ją o nieszczerłość, ale pozostaję nieufna. Jej wewnętrzna potrzeba poznania zespołu wydaje się autentyczna, z drugiej strony jednak wolę się mieć na baczności. Marguerite za bardzo przypomina zwiadowcę zbierającego informacje na tyłach wroga. Z tego wniosek, że Jane istotnie powinna się pilnować i mieć na nią oko. Mania prześladowcza nie wyklucza realnego zagrożenia.

Jane CarolynAnn McNeill

W środę z samego rana wszyscy dostajemy wiadomość. Marguerite jest w redakcji niespełna czterdzieści osiem godzin, a Jane przystępuje już do ataku. Bierze wszystkich za twarz i przybiera władczy ton.

– Jak myślisz, o co tu chodzi? – pytam, opierając się o cienką przegrodę dzielącą mnie od Allison, która spogląda w górę z jawnym zdziwieniem, bo pierwszy raz wystawiam głowę ze swojej komórki, żeby pogadać.

– W czym rzecz?

– Mam na myśli wiadomość od Jane.

– Jeszcze nie przeglądałam poczty. – Zaciekawiona sięga do wypełnionej kartkami teczki, wyjmując arkusz leżący na samym wierzchu i czyta głośno: – Informujemy, że Jane McNeill, redaktor naczelna czasopisma „Styl i Blask”, będzie odtąd używać także pozostałych imion, występując jako Jane Carolyn-Ann McNeill we wszystkich oficjalnych i nieoficjalnych wzmiankach i publikacjach dotyczących kierowanego przez nią periodyku. Z góry dziękujemy za przestrzeżenie wyżej wymienionego zalecenia.

– Kazała Jackie wysłać to do wszystkich mediów w mieście.

– Ktoś, lecz nie wymieniamy nazwisk, bo mam na myśli kilka, powinien chyba mieć się na baczności – odpowiada z uśmiechem Allison. Zapewne uważa, że się waham, bo ścisza głos i dodaje: – Trzeba atakować natychmiast. Taka sposobność się nie powtórzy. Przemysł to. – Prostuje plecy i z miną niewiniątka zagłębia się w lekturze porannej gazety.

Siadam przy biurku i próbuję się skupić na artykule, który właśnie piszę. Dotyczy obrączek i pierścionków zaręczynowych. Zwróciliśmy się do kilku wziętych jubilerów, którzy zwykle sami się napraszają, żeby fotografować ich biżuterię, gdy gwiazdy paradują w niej po czerwonych dywanach, tym razem jednak zachowali dziwną powściągliwość i przysłali nam tylko opisy egzemplarzy zakupionych przez vipy, toteż moje podpisy pod zdjęciami przypominają notatki w naukowych czasopismach antropologicznych, co brzmi następująco: „Zakładamy z dużym prawdopodobieństwem, że edwardiański pierścionek Madonny przypomina ten widoczny na fotografii. Klejnot Jennifer Aniston ozdobiony czteroipółkaratowymi diamentami szlifowanymi jak szmaragdy wydaje się podobny do tego pierścienia od Tiffany’ego. „

Można by pomyśleć, że zamiast pisać o biżuterii zajmuję się dinozaurami, próbując na podstawie zachowanych kości odtworzyć ich historię.

Usiłuję nadać pozory prawdopodobieństwa opisowi pierścionka należącego do Anne Heche, gdy słyszę Dot wołającą mnie po imieniu. Stoi z naręczem czasopism na progu swego gabinetu.

– Następane spotkanie o jedenastej – mówi i wchodzi do środka, zamykając za sobą drzwi.

Wzdycham, znużona moją zgadywanką, i ponownie czytam wiadomość od Jane. Oto pierwszy widomy dowód paranoi, chociaż do zgody na objęcie patronatu nad kontrowersyjną wystawą jeszcze daleka droga. Po raz pierwszy myślę jednak, że plan dziewczyn jest

sensowny i może przynieść oczekiwany skutek; zło zostanie pokonane, a redakcja „Stylu i Blasku” stanie się miejscem, gdzie będzie miło pracować. Allison ma rację. Naprawdę się waham.

Drinki w barze Paramount

Maja zamawia cosmopolitan w szklance. Barman tak długo gapi się na nią tępym wzrokiem, że marszczy brwi.

– Poproszę w szklance. Lubię tak pić cosmopolitana – dodaje. Barman znów się jej przygląda, a następnie odchodzi na bok, żeby wlać do shakera wódkę, cointreau i sok żurawinowy. Maja woła za nim: – Bez cukru na brzegu szklanki! Nieustająco tropię w swoim życiu takie elementy, które mi nie służą, i staram się je eliminować. Ostatnio zdecydowałam się na jasny, nierafinowany cukier – tłumaczy, krojąc plasterk brie i kładąc na krakersie. – Powoli wprowadzam znów węglowodany do swojej diety.

Barman stawia przed nią na serwetce cosmopolitan w szklance, a mnie podsuwa dżin z tonikiem. Siedzimy w barze hotelu Paramount. Zasztywamy się tutaj, ilekroć Maja przeżywa trudne chwile.

Ostatnio wpadliśmy do ciemnej sali z niskim sufitem zaledwie przed miesiącem. Maja naprawdę potrzebowała pociechy, bo jej agentka, Marcja, przeniosła się do nowej agencji, ale nie odnowiła umowy z moją przyjaciółką.

– Popatrz, tutaj są prawdziwe łyzy wściekłości, o których często się słyszy, a rzadko widuje – powiedziała wówczas, teatralnym gestem wręczając mi uprzejme, ale bezwzględne pismo.

Nie chodziło jedynie o ton listu.

– Kim jest Dylan? – pytam, choć mam w tej kwestii pewne podejrzenia.

Chyba wiem, co się stało. Marcji tak spieszno było pozbyć się starych, mało dochodowych klientów, że wysłała im listy o niemal identycznej treści, a na skutek przeoczenia akapit, w którym zapewnia, że dotychczasowa współpraca była prawdziwą przyjemnością, skierowany jest nie do Mai, tylko do jakiegoś Dylana.

– Trudno uwierzyć, prawda? – jęczy ponuro Maja, zwieszając głowę, aż bursztynowe loki opadają na blat baru. – Co za upokorzenie! Nie jestem nawet warta osobnego listu.

– Wiesz przynajmniej, że nie tylko ciebie spławiła – podkreśliłam.

– Masz rację – odpowiedziała, jeszcze bez uśmiechu, ale przynajmniej oczy miała suche.

Nie jestem dobrą pocieszycielką, lecz było jasne, że mi się udało, więc nawijam dalej w tym stylu:

– Zresztą ten incydent zmienia straszliwą tragedię w absurdalną komedię.

– Ale to naprawdę tragedia – odparła Maja, trzema haustami wychylając cosmopolitana. Nienawidzi szerokich kieliszków, bo pijąc łąpczywie, zawsze obficie poplami swoje bluzeczki od Donny Karan. – Zaczynam wszystko od początku. Znajduję się dokładnie tam, gdzie byłam półtora roku temu, z tą różnicą, że jestem półtora roku starsza.

Maja bała się nadchodzącej trzydziestki. Podeszły wiek nie byłby dla niej większym problemem, gdyby nadal miała agentkę. Na znalezienie nowej dała sobie czas do urodzin, a kalendarz był nieubłagany: miała zaledwie piętnaście dni, żeby wyszukać kogoś, kto w jej imieniu rozmawiałby z wydawcami. Trudne zadanie, więc była spięta, jakby oczekiwała

mocnego ciosu. Tak się dzieje, ilekroć ku czemuś zmierzamy i pragniemy coś osiągnąć. Życiowe cele stają się dla nas samym realnym zagrożeniem.

Pomimo moich starań łzy spływały po policzkach Mai, która poddała się w końcu i zaczęła szlochać rozpaczliwie. Rozumiałam powody jej rozżalenia. Na krótko wyrwała się ze sfory wolnych strzelców biegających po redakcjach z artykułami pod pachą. Przez jakiś czas wyróżniała się spośród nich, a teraz została znowu wepchnięta do chóru jako szeregową szansonistka, chwilowo bez szans na solówkę.

Zamówiłam następną kolejkę, wcisnęłam Mai w dłoń kilka chusteczek i mamrotałam pocieszająco, że nie ma przypadków, a wszystkie zdarzenia mają ukryty sens. Sądziłam, że wypięła za dużo, aby się zorientować, że nagle zaczęłam nawijać jak spikerka prowadząca koncert życzeń, lecz jeszcze się całkiem nie upięła. Była na tyle trzeźwa, że stanowczo odmówiła słuchania moich banalnych pocieszeń, chociaż próbowałam stanąć na wysokości zadania. Wobec tego zaczęłam jej męcić w głowie. Sytuacja wydawała się beznadziejna, a tonący brzytwy się chwyta.

– Dobrze na tym wyjdiesz. Marcja to fatalna agentka.

– Była świetna. – Maja zmięła chusteczkę w zaciśniętej dłoni. Nie to chciała usłyszeć.

– He twoich powieści sprzedała wydawcom?

No i proszę, bezmyślnie uświadomiłam Mai, że nie tylko straciła agentkę, lecz także zawiodła jako autorka. Znowu zalała się łzami. Gdy zaczynała zdanie, sprawiała wrażenie dość opanowanej, ale pod koniec tak łkała, że ledwie rozróżniałam słowa.

– Marcja czytała i... odrzucała moje prace. Nie mogłam... wymagać od niej... niczego więcej.

– Bzdura! – sprzeciwiłam się, oburzona takim podejściem do sprawy. Trzeba stale zwiększać wymagania, zwłaszcza jeśli mamy przed sobą wyznaczony cel. – Znajdziesz agentkę lepszą niż Marcja. Nie bądź taka niecierpliwa. Ta nowa z pewnością nie pomyli cię z jakimś Dylanem.

Logika mego wyводу trafiła Mai do przekonania. Mało prawdopodobne, żeby kolejna agentka – o ile taka się znajdzie – miała również podopiecznego imieniem Dylan.

– A jeśli nie trafi się nikt chętny, by prowadzić moje sprawy?

Powiedziałam jej, żeby przestała się wygłupiać, ale po kilku próbach poprawienia jej nastroju i dodania otuchy zorientowałam się, że wcale nie chce wyjść z dołka. Wręcz przeciwnie: wołała posypać głowę popiołem i poddać się czarnej rozpacz. Nie miałam prawa jej tego odmawiać. Niech pogrąży się w oceanie łez, a ja wraz z nią. Mówi się, że trudniej znaleźć agenta niż wydawcę, ale Maja wie, że to nieprawda. Z agentem nie jest łatwo, ale z wydawcą o wiele gorzej, zwłaszcza skromnym chórzystom.

Dziś przyszliśmy do baru, bo Maja zerwała ze swoim chłopakiem.

– To już koniec – oznajmiła, gdy podniosłam słuchawkę. Żadnego cześć, żadnych pytań o zdrowie i samopoczucie, zero wstępu. I bardzo dobrze.

– A co z pierścieniem? – zapytałam.

– Do cholery z nim.

– Jak się czujesz?

- Fatalnie.
- Chcesz się napić?
- Przyjdź tu za piętnaście minut.

Wczesne popołudnie, ale co mi tam. Nie jestem niczyją asystentką, więc zakładam optymistycznie, że mogę pracować, kiedy zechcę. Często wymykam się w ciągu dnia na zakupy albo do kina niedaleko redakcji. Żeby uspić czujność podejrzliwych, zostawiam włączony komputer, żakiet na wieszaku w kącie i zapaloną świeczkę.

Kończę dżin z tonikiem, gdy zjawia się barman i pyta, czy podać następną kolejkę. To jedna z największych zalet tego baru. Nie dadzą człowiekowi opróżnić kieliszka. Zaraz proponują następny.

– Muszę przyjąć do wiadomości, że nic z tego nie będzie – odzywa się Maja po odejściu barmana. – Kocham go i będę za nim tęsknić, ale nie mogę tego ciągnąć. Nie wiem, dlaczego kupił ten cholerny pierścionek, ale z pewnością nie miał zamiaru mi go dać. – Łza spływa jej po policzku. Przykra jest świadomość, że nas nie chcą.

Mówimy o pierścionku z dwukaratowym brylantem, który Maja przed pięcioma miesiącami znalazła na dnie szuflady w jednej z kuchennych szafek Rogera. Przez dwa tygodnie była radosna, niecierpliwa i podekscytowana, przez dwa kolejne tygodnie kipiała energią. Czternaście następnych dni minęło jej w nieustannym oczekiwaniu na ważną deklarację, która nie nastąpiła. Pięć miesięcy później zorientowała się, że czeka daremnie, bo nic z tego nie będzie. Zaręczynowy pierścionek Rogera przypomina rekwizyt z marnego przedstawienia teatralnego. Wiadomo przecież, że strzelba, która w pierwszym akcie wisi na ścianie, pod koniec spektaklu powinna wypalić. A tu nic. Maja nie ma ochoty dłużej czekać.

Od samego początku nie lubiłam Rogera Childe'a. Przedstawił się jako przedsiębiorca. Normalny człowiek tak o sobie nie mówi. To gazetowy żargon. Zresztą Roger jest prezesem drobnego interesiku w Jersey, na który łoży jego ojciec.

Roger ma też inne dziwactwa: rzuca znanymi nazwiskami, nosi swetry z monogramem, w towarzystwie dyskutuje o kinematografii zamiast normalnie gadać o filmach, ale Mai to nie przeszkadzało. Dla niej liczyło się, że jest przystojny, prawi mile komplementy i nosi markowe ciuchy.

Jakoś bym zniosła przesadną dbałość o wygląd i nienaganną aparycję, choć nie przepadam za taką elegancją, ale drażniła mnie poza chłopaczka z prywatnego gimnazjum, całkiem nie na miejscu w dwudziestym pierwszym wieku. Roger znał wszystkich, których należy znać; bywał tam, gdzie warto bywać; mógł sobie pozwolić na wszystko, co należało kupić; bez wątplenia przestrzegał w życiu wszelkich należnych reguł.

Mają zachwyciła jego pewność siebie. Nim straciła agentkę, oczyma duszy widziała Rogera i siebie wśród stu topowych par rokujących największe nadzieje na przyszłość. Jej książki miały zmienić sposób myślenia całych generacji, a jego programy komputerowe powinny zrewolucjonizować codzienność owych pokoleń. Maja chciała ujrzeć na okładkach nowojorskich czasopism ich wspólne zdjęcie, na którym miała sprawiać wrażenie pięknej oraz inteligentnej.

- Miesiąc temu było mi wszystko jedno, czy się oświadczy – ciągnie – ale teraz mam

trzydziestkę na karku, więc nie mogę żyć jak beztroska dwudziestoparolatka. Nakreśliłam sobie ramowy szkic.

– Proszę? – Po dżinie z tonikiem moje szare komórki pracują wolniej niż na trzeźwo, lecz odnoszę wrażenie, że zwrot „ramowy szkic” to językowa osobliwość.

Maja sięga do skórzanego plecaka i wyjmuję biały arkusz papieru. Jest zmięty, więc kilkakrotnie przesuwa po nim rękoma, żeby się wyprostował, ale rogi nadal są pozaginane.

– Dzisiaj zaczynam nowe życie – oznajmia niemal sentencjonalnie. – Oto rozpisany na kolejne lata plan dokonań, które mam nadzieję urzeczywistnić w czwartej dekadzie życia.

Te przełomowe zdarzenia rozpisane są nie tyle na lata, co na miesiące, a w niektórych przypadkach także na dni. Punkt pierwszy ramowego planu dotyczący rozmowy z Rogerem i ustalenia, co jest grane, oznaczony został co do minuty.

– Zbywał mnie – odpowiada Maja, gdy pytam o przebieg konfrontacji. – Chciałam wiedzieć, dokąd zmierzamy i jaki to ma sens. Nie muszę od razu dostawać tego pierścionka, ale chcę wiedzieć, na czym stoję, tymczasem on się wykręca, kluczy i mówi, że trzeba się temu przyjrzeć. Można by pomyśleć, że nie chodzi o wspólną przyszłość, tylko o kupno samochodu, który może mieć ukryte wady.

Aha, Roger bierze jednak pod uwagę możliwość poślubienia Mai, ale rozważa wszelkie za i przeciw. Zbiera informacje i roztrząsa, czy mu się to opłaci. Jeszcze nie ma pewności, czy taki związek poprawi jego notowania. Maja dobrze się zapowiada, ale to niepewna inwestycja.

Oto kalkulacja Rogera. O takich rzeczach czyta się w powieściach Edith Wharton, ale trudno uwierzyć, że we współczesnym świecie coś takiego jest możliwe. Roger przypomina dobrą klasyczną rzeźbę. Z daleka można się nabrać i wziąć go za żywego człowieka, ale kto się zbliży, od razu wie, że pozory mylą, a facet ma kamienne serce. Wystarczy go dotknąć, żeby poznać prawdę.

– Od początku było wiadomo, że to pomyłka – mówię, odsuwając na bok zmiętą kartkę stanowiącą widomy dowód szaleństwa Mai. Nie chcę mieć nic wspólnego z tym ramowym szkicem. Moim zdaniem, po jednym rozczarowaniu nie można sobie natychmiast stawiać czterdziestu nowych celów. To mi przypomina leczenie kaca na zasadzie klin klinem. – Jedna fundamentalna reguła: nie umawiaj się nigdy z mężczyzną, który nie przestał być chłopcem, jak ten Roger Childe.

– Wiem, wiem – odpowiada, kładąc głowę na barze. – Sama się wrobiłam, prawda?

Przyznaję jej rację i zamawiam następną kolejkę.

Mój 102. dzień w pracy

Trzeci miesiąc byłam asystentką Jane, gdy dostałam supernowoczesny faks z mnóstwem ikonek i dzwonek. Przywiózł go przedstawiciel firmy, która nie zadaje sobie trudu, żeby dostarczyć przesyłkę odbiorcy, tylko zostawia awizo i ma problem z głową. Musiałam pofatygować się na pocztę, następnie czekać dwadzieścia minut, aż znajdą paczkę na zapleczu, a w końcu osobiście zataścić ją do domu.

Nikt mnie nie uprzedził, że mam otrzymać faks. Gdy spytałam Harveya, naszego dyrektora administracyjnego, o co chodzi, wzruszył ramionami i wymamrotał, że musi natychmiast zamówić spinacze. Miałam pewne podejrzenia, bo wcześniej Jane wydzwaniała do mnie późnym wieczorem, życząc sobie, abym faksem przesyłała rozmaite pisma jej, naszemu wydawcy, autorom, projektantom oraz jej rodzicom. Ilekroć przypominałam, że nie mam faksu, była zdumiona, jakby uważała go za niezbędny człowiekowi na równi z jedzeniem i pić. Postanowiła naprawić dziejową niesprawiedliwość.

– Och, nie musisz mi dziękować. To prezent – oznajmiła i natychmiast zaczęła traktować moje mieszkanie jako dodatkowe pomieszczenie biurowe redakcji „Stylu i Blasku”.

Polecenia zaczynały się sypać około północy.

– Jem obiad w Tokio – informowała mnie beztrzesko.

Po tygodniu harówki przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przestałam odbierać telefony. Nieufna Jane wykorzystywała automatyczną sekretarkę, zostawiając mi rozwlekłe wiadomości.

– Odbierz, Vig. Jesteś tam, Vig? No, rusz się, sprawa jest ważna. Od tego zależy przyszłość naszego pisma. Nie drocz się ze mną, Vig. No dobra, Vig, posłuchaj, co masz dla mnie zrobić, gdy tylko wrócisz do domu, o ile rzeczywiście wysłaś, bo podejrzewam, że siedzisz tam i słuchasz, jak do ciebie mówię... – Następnie dyktowała listy, które miałam spisywać z taśmy, drukować i natychmiast wysyłać faksem do szefów agencji fotograficznych i organizatorów rozmaitych imprez. Ale nie dałam się zwariować i wykonywałam polecenia Jane dopiero następnego dnia w pracy. Nigdy się nie zorientowała.

Potem zaczęła przysyłać mi faksem zwykłą, codzienną robotę: kontrakty, umowy, notatki, artykuły. Oczekiwała, że następnego dnia rano będą opracowane i gotowe do dalszej obróbki.

– Gdzie jest sprawozdanie finansowe? Muszę je mieć przed dziesiątą – mówiła. – Przynieś tabele, które wysłałam ci wczoraj wieczorem. Zaraz mam spotkanie! – wołała. – Zanieś listę zaproszonych gości do działu reklamy. Już na nią czekają – niecierpliwiła się.

Gdy zrozumiałam, co się dzieje, uznałam, że trzeba położyć temu kres. Wyłączyłam faks i z miną niewiniątka wpatrywałam się w Jane, gdy wypytywała, dlaczego urządzenie nie działa. Sześć godzin później do moich drzwi zapukał fachowiec. Natychmiast postawił właściwą diagnozę, umieścił w gniazdku swobodnie dyndającą wtyczkę i cierpliwie tłumaczył, że większość urządzeń elektronicznych trzeba podłączyć do prądu, żeby mieć z nich pożytek. W milczeniu wysłuchałam upokarzającego wykładu, a gdy ponownie zaczęłam manipulować przy faksie, po prostu wyrwałam kabel. Błyskawicznie przysłany został kolejny

fachowiec, który nie mógł się nadziwić, jak to się stało, że brakuje przewodu. Wypytywał, czy nie mam przypadkiem psotnego siostrzeńca albo siostrzenicy. Ostrzegał, że dzieci lubią się bawić kolorowymi drucikami.

Przez kilka miesięcy systematycznie manipulowałam przy faksie, jakby to był przydomowy parkometr, w którym trzeba trochę pogrzebać, żeby bez płacenia wydawał karteczki. Jane traciła cierpliwość i stawała się coraz bardziej podejrzliwa. Rzucała na mnie rozmaite oskarżenia, ale nie miała dowodów. Kiedy płyta główna całkiem padła, a ja z kamienną twarzą tłumaczyłam fachowcowi, że nie mam pojęcia, jak lepka pomarańczowa substancja dostała się do urządzenia, facet uznał mój faks za bubel i poszedł.

Jane straszyla, że dostarczy mi kolejny, ale nie spełniła groźby, chociaż często rozmawiała ze mną o nowych modelach. Uznała pewnie, że nie warto mnie uszczęśliwiać takim prezentem. Nie byłam już amatorką. Miałam spore doświadczenie w dewastacji faksów i latami mogłabym je unieszkodliwiać. Lepiej dać za wygraną niż wygłupić się po raz drugi.

Wahanie

Maja pracuje z obcymi ludźmi. Jest wolnym strzelcem i robi korekty tekstów w rozmaitych czasopismach. Miesiąc w miesiąc tyra w pocie czoła dla tych samych osób, a mimo to czuje się wyobcowana, bo ledwie dostrzegają jej istnienie. Nikt jej nikomu nie przedstawia podczas długich, nudnych zebrań redakcyjnych, jej życie i sposób spędzania czasu są przygodnym znajomym całkiem obojętne. Nikt nie mówi komplementów, gdy ma na sobie nowy fajny sweterek.

– Gdybym włożyła byle co, nie byłabym taka rozżalona – tłumaczy, kończąc trzeciego cosmopolitana.

Przez drewniane rolety zasłaniające półkoliste okna baru Paramount widzę światła ulicznych lamp. Zapada zmierzch. Kusi mnie, żeby wpaść do redakcji, wyłączyć komputer i zgasić świeczkę, ale barman podchodzi z następną kolejką, więc siedzę na stołku jak przymurowana. Jeśli pochodząca ze Środkowego Zachodu Christine przekonana, że człowiek plus zapalki równa się pożar, nie zdmuchnie płomyka, zrobi to sprzątaczką.

– Sweterek jest świetny – ciągnie Maja. – Ma fajne supełki i jest lamowany lśnięcymi różowymi cekinami. Naprawdę fantastyczny.

– Żadnego komentarza?

– Ani słowa – odpowiada smutno. – A zaplanowałam przecież cały dialog. Oni mówią: Fajny sweterek. Ja na to: Dziękuję. Kupiłam na wyprzedaży w butik Donny Karan. Oni: Wpadłaś tam w ostatni weekend, co? Ja: Tak, zajrzałam przy okazji, bo odwiedzałam kolegę. Byliśmy na ślizgawce. Oni: Jeździsz na łyżwach? Ja: Owszem, bardzo często.

Maja dawniej pracowała też dla nas. Skontaktowałam ją z szefową korekty. Zrezygnowała po kilku miesiącach, bo nie odpowiadał jej nasz styl pracy. Nie znosi rozwlekłych dyskusji na temat każdego słowa i przecinka. Wszyscy przygotowujący materiały, piszący i redagujący muszą się wypowiedzieć. Maja dostaje szału, gdy musi omówić każdy skrót, zmianę wyrażenia albo szyku. Korekta to odmóżdżające zajęcie, które wymaga skupienia na drobiazgach i nie daje żadnej satysfakcji. „Styl i Blask” posuwa się w tej dziedzinie do absurdu, więc nuda jest nie do zniesienia.

– W redakcji było ciepło, ale nie zdjęłam swetra, bo miałam nadzieję, że ktoś zauważy, jaki jest fajny.

– Nadzieja matką głupich – odpowiadam machinalnie.

W innych okolicznościach Maja odcięłaby się dowcipnie, ale dziś mimo wrodzonego optymizmu jest trochę przygaszona, bo zawiodła się na Rogerze i Marcji, więc z ponurą miną kiwa głową.

Zapada długie milczenie.

– Przystąpiłam do spisku – mówię nagle. Od dwudziestu czterech godzin myślę o tym nieustannie, więc potrzebuję się zwierzyć. Muszę powiedzieć to na głos albo zdusić rzecz w zarodku.

– Co? – Maja opanowana poczuciem beznadziejności zapomniała, że tu jestem.

Jestem niemal pewna, że nikt z redakcji nie wpada do tego baru, ale rozglądam się na wszelki wypadek.

– Przystąpiłam do spisku, który ma na celu obalenie szefowej – szepczę, pochylając się lekko.

– Intrygujesz? – Maja znowu na mnie patrzy.

– Zgadza się.

– Co to za spisek? – wypytuje, także pochylona i szczerze zainteresowana. Wzmianka o intrydze wyrwała ją z ponurego zamyślenia.

Bardzo ogólnie przedstawiam nasz plan. Przerywa mi, wypytując o szczegóły.

– Gavin Marshall? – powtarza, jakby daremnie szukała w pamięci tego nazwiska.

– Ja też dopiero teraz o nim usłyszałam, ale w Anglii jest bardzo sławny – mówię. – Dzisiaj przejrzałam kilka artykułów na jego temat. To syn księcia. Dorastał w pałacu, który jest narodowym zabytkiem. O ile dobrze pamiętam, prapradziadek tego Marshalla był premierem w czasie wojny krymskiej. Sam Gavin kończył najlepsze szkoły i uczelnie: Eaton, Oxford, Royal Academy of Art – opowiadam, wyliczając jego atuty. – Moim zdaniem jedyna trudność, z którą przyszło mu się w życiu zmierzyć, to przekonanie taty, żeby pozwolił w czasie happeningu wypatroszyć krowę w wiktoriańskiej fontannie.

Maja długo milczy, jakby porządkowała przesłanki i wyciągała wniosek.

– Myślisz, że się uda?

– Ależ skąd. – Wybucham śmiechem. – Pewnie wyleją mnie, ale i tak w to wchodzę. – Ledwie powiedziałam na głos te słowa, ogarnęło mnie wielkie poruszenie. Nie ma to jak męska decyzja.

– Zaryzykujesz posadę? Radośnie kiwam głową.

– Nie zrozum mnie źle. Jestem równie zaskoczona, jak ty. Jeszcze dziś rano wydawało mi się, że lubię swoją pracę.

Maja upija łyk cosmopolitana i przechyla głowę.

– Co się stało?

– Sama nie wiem. W czasie dzielącym spotkanie z nową zastępczynią szefowej, zainteresowaną tematami nietypowymi dla „Styl i Blasku”, a jedną z dyrektorek działów, od której dostałam standardowe zlecenie, nabrałam odrazy do tej roboty. My przecież niczego nie tworzymy. Co miesiąc wykorzystujemy trzy podstawowe wątki: gwiazdy, modę i urodę, tkając z nich rozmaite wzory. Można umrzeć z nudów – tłumaczę, myśląc o temacie, który dziś mi przydzielono. – Mam wytropić sławnych amatorów biegania na nartach krokiem łyżwowym. Zagadnienie jakby nowe, lecz podejście schematyczne. Dajcie mi parę dni, a z równą łatwością udowodnię, że należy się trzymać poczciwego snowboardu. Wystarczy pięćset słów. Będę nadużywać przymiotników i wykrzykników, dając do zrozumienia, że nie ma alternatywy, ale nie dajcie się nabrać. To zwykle pustosłowia. „Styl i Blask” chce nam wmówić, że vipy mają lepiej, a mężczyźni wolą blondynki. Pamiętasz, jak się cieszyłam, kiedy dostałam tę pracę? – pytam.

Maja kiwa głową. Jasne, że pamięta. Razem wtedy mieszkaliśmy. Sypiałam na jej kanapie.

– Byłyśmy zaledwie dwa lata po studiach, ale wydawało się, że do trzydziestki będę parzyć kawę redaktorze z „Bierlyville Times”. Wtedy sądziłam, że lokum na Manhattanie i opisywanie życia vipów to szczyt marzeń. – Upijam łyk dżinu z tonikiem i wzdycham ciężko.
– Naiwność panienki z prowincji, co?

Maja nie robi żadnych uwag na temat mojej prostolinijności, typowej dla dziewczyny ze Środkowego Zachodu. Wychowała się w Connecticut, na przedmieściu, mniej więcej czterdzieści minut stąd. Wielkie miasto świeciło dla niej złudnym blaskiem. Nie miała się czym zachwycać. Jeździła tam w sobotni wieczór, żeby się upić.

– Szefostwo na bruk! – skanduje i unosi zaciśniętą pięść, bez przekonania naśladowując rewolucyjnych bojowników. – Nie martw się, jeśli powstanie upadnie i zostaniesz wywalona, zawsze możesz być wolnym strzelcem. Pomogę ci zacząć. Roboty jest mnóstwo.

Mimo wyobcowania Maja zawsze chwali sobie niezależność. Przypomina imigrantów przybywających do Nowego Świata, którzy slali do domu listy o swoim bogactwie i powodzeniu. Dawniej protestowałam, słysząc jej przesadzone zachwyty. Dobrze wiem, że pieniądze nie leżą na ulicy, a w zamożnym kraju nie wszyscy są bogaczami. Jestem tego świadoma i dlatego trzymam się kurczowo tradycyjnej drogi, ale czasami nie mamy wyboru. Niekiedy wydarzenia zmuszają nas do przekroczenia oceanu. „Styl i Blask” staje się dla mnie plagą na miarę Wielkiego Głodu nękającego Irlandczyków.

Dochodzi szósta. Przed godziną było w barze zaledwie parę osób, a teraz robi się tłoczno. Mężczyzna w klapkach od Gucciego wślizguje się na stół między nami i gestykułuje z ożywieniem, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę. Takie gierki rzadko mają wzięcie w nowojorskich barach.

– Poproś o rachunek – radzi Maja. Upredziłam ją, bo nawiązałam już kontakt wzrokowy z barmanem, który właśnie nas podlicza.

Maja protestuje, ale upieram się, że zapłacę za nas obie. Nie chcę jej ranić, więc udaję, że to gest współczucia, lecz w istocie świętuję, ponieważ Roger znika z naszego życia. Siedemdziesiąt pięć dolarów stanowi znaczną część sumy, którą co miesiąc przeznaczam na drinki, ale dzisiejsza radość jest tego warta.

W holu Maja biegnie do łazienki, a ja stoję w kącie, obserwując ludzi, którzy wprowadzają się do hotelu. Właśnie przyjechała spora grupa japońskich turystów. Mężczyźni zbici w gromadkę czekają na klucze do pokoi, natomiast ich żony krążą po holu. Jedne zatrzymują się przy kiosku i kartkują czasopisma, inne sadowią się na kanapach i w fotelach. Wnętrze sprawia wrażenie dość chaotycznego: nitowane aluminiowe krzesła, szereg długich jasnozielonych ław dzielących pomieszczenie na pół, szerokie pomarańczowe oparcia z ozdobnymi zawijaszami w burdelowym stylu, fotele z obiciami w pieśni. Elementy tak odmienne stylistycznie nie powinny się znaleźć w jednym pomieszczeniu. Należy unikać podobnych zestawień i gdzie indziej byłyby nie do pomyślenia, ale tu na szarym tle nieźle się prezentują.

Maja wychodzi po kilku minutach i natychmiast pada ofiarą Japonki, która prosi o zrobienie zdjęcia sobie i koleżankom upozowanym na imponujących schodach. Prośba zostaje ochoczo spełniona, chociaż spora ilość wypitego alkoholu fatalnie wpływa na fotograficzne

talenty Mai, która zasłania kciukiem obiektyw. Japonki są zbyt uprzejme, żeby jej to wytknąć. Dziękują wylewnie, ale trwają na stanowisku. Po naszym wyjściu wołają jedną z rodaczek stojących przy kiosku z gazetami i proszą o pamiątkowe zdjęcie.

Pierwszy etap

Życie Carli Hayden Keller zmieniło się całkowicie, gdy została jedną z bohaterek naszych metamorfoz, lecz trudno mi uwierzyć, żeby Keller miał wobec mnie dług wdzięczności, a także zechciał przyjąć to do wiadomości. Mimo wszystko postanowiłam spotkać się z nim twarzą w twarz. Nie będę załatwiać tej sprawy przez telefon. Poczta elektroniczna również odpada. Chcę zobaczyć minę Kellera, gdy usłyszy, w czym rzecz. Czasami to jedyny sposób, żeby sprawdzić, czy należy iść za ciosem, czy lepiej się wycofać.

Dzwonię do jego asystentki, Delii Barker, i proszę, żeby mnie umówiła.

– Aleks nie ma wolnych terminów – rozlega się w słuchawce jej głos. – Mogę cię z nim połączyć.

Nie chcę rozmawiać przez telefon.

– Naprawdę w ciągu najbliższego tygodnia nie znajdzie dla mnie paru minut?

– Aleks nie ma wolnych terminów – świergoce Delia. – Mogę cię z nim połączyć.

Gada jak papuga albo automatyczna sekretarka powtarzająca stałe te same słowa. Odkładam słuchawkę i ruszam do jej biura, głównie po to, żeby się upewnić, czy jest osobą z krwi i kości. Istotnie siedzi w pomieszczeniu pachnącym wanilią. Gęste ciemne włosy związała w koński ogon. Gdy stoję w drzwiach, sięga po kalendarz.

– Aleks nie ma wolnych terminów – mówi. – Sama możesz sprawdzić.

Sięgam po niego i przyglądam się harmonogramowi Kellera: obiady, inauguracje, podwieczorki, spotkania, sesje fotograficzne, przymiarki, kolejne spotkania. Delia wypełniła mu czas niemal co do minuty nie na siedem dni, lecz na siedem miesięcy naprzód. To niemożliwe. Z pewnością istnieje normalny kalendarz. To pokazówka dla inspektorów z działu norm i efektywności pracy. Uważnie przyglądam się Delii. Nie odpuści. Aleks nie ma wolnych terminów, ale ona może mnie z nim połączyć.

Ukrywam drwiący uśmiech, dziękuję za pomoc i zastanawiam się nad innym sposobem działania. Najrozsądniej byłoby pójść za radą Delii, ale to na nic. Zamiast jej posłuchać, chowam się w składziku po drugiej stronie korytarza i czekam. Muszę pilnie dzwonić do projektantów odzieży sportowej, ale nie zamierzam się tym przejmować. Mam tylko jeden jedyny cel: spotkać się twarzą w twarz z Alekssem Kellerem.

Pięć godzin później nadal tkwię w składziku. W tym czasie dwukrotnie wpada tu Lydia. Za każdym razem bierze wyściełaną kopertę i listę obecności. Dziwnie mi się przygląda. Sięgam wówczas po pudełko ze spinaczami i kontempluję je z prawdziwym zaciekawieniem.

Uważna obserwacja ujawnia tajemnice systemu przejmowania korespondencji opracowanego przez Kellera. Po dwukrotnym pukaniu Delia uchyla drzwi biura, wysuwa głowę i wyjmuje kartki z pudełka Aleksa. Robi to błyskawicznie, a ekonomią wysiłku sugeruje bicie światowego rekordu. Wystarczy mrugnąć okiem, żeby wszystko przegapić.

Już mam zrezygnować, ale słyszę, jak Delia mówi starszej redaktorce, że Aleks przyjmuje u siebie bardzo ważnych gości, lecz zadzwoni do niej zaraz po zakończeniu narady. Doznaję olśnienia. Skoro Aleks z kimś się tam spotyka, nasuwa się wniosek, że od samego rana ma to

ważne posiedzenie. Coś tu nie gra. Kiedy przed pięcioma godzinami próbowałam się umówić, nie padła żadna wzmianka o dzisiejszym spotkaniu. Czekam, aż Delia wyjdzie z sekretariatu. Odprowadzam ją wzrokiem, gdy maszeruje do toalety, i wkraczam do gabinetu Aleksa.

Spodziewam się przerwać bardzo ważne spotkanie, ale pomieszczenie jest puste. Keller zostawił włączony komputer, lampę i wieżę. Na blacie stoi nawet kubek z niedopitą kawą. To fajny pomysł, ale nie dam się nabrać. Doskonale wiem, co jest grane. Sama tak postępuję, ale nigdy na taką skalę. Zapalam świeczkę i znikam na kilka godzin, natomiast on w ogóle się nie pojawia.

Na potwierdzenie owej tezy mam tylko opróżniony do połowy kubek kawy, ale i tak wiem, że dobrze kombinuję. Nie istnieje inne wyjaśnienie widmowej obecności Kellera, skoro można z nim często pogadać, ale nigdy się go nie widuje.

Wychodzę z gabinetu przed powrotem Delii, współpracownicy i kłamczuchy podrabiającej podpisy Aleksa na dokumentach. Wracam do swojego boksu. Mam przed oczyma dwadzieścia fotografii pierścionków zaręczynowych, listę projektantów sportowej odzieży oraz numer telefonu do kwatery głównej Sanrio w San Francisco. Dostałam trzydzieści dwa emaile, pulsuje lampka automatycznej sekretarki, a Dot zostawiła mi do wysłania cztery wiadomości, jedną mniej czytelną od drugiej. Przez tę moją działalność szpiegowską mam straszliwe opóźnienie, więc z pracy wyjdę po dziewiątej.

Siadam z ciężkim westchnieniem i myślę, że gdybym miała asystentkę, która by mnie kryła, chyba też w ogóle nie przychodziłabym do pracy.

Kontynuacja pierwszego etapu

Christine poetyckim językiem opisuje kumguaty.

– Można powiedzieć – zaczyna niepewnie – że kraby w miękkiej okrywie tak się mają do homarów jak kumguaty do pomarańczy. – Spogląda na mnie wyczekująco.

Skinieniem daję znak, że rozumiem porównanie, ale kręci głową, obruszona brakiem entuzjazmu. Jej zdaniem nie pojęłam, w czym rzecz.

– Wróć! – mówi. – Uważaj teraz. Kraby w miękkiej okrywie tak się mają do homarów jak kumguaty do pomarańczy.

– Nie trzeba ich obierać. – Wzruszam ramionami.

– Ciepło! – przyznaje, a następnie wyrzuca z siebie prawidłową odpowiedź. – Jada się je ze skórką! Ale rewelacja, nie?

– Owszem. – Chętnie bym odpowiedziała, że znam ciekawsze nowiny, ale zrobiłabym to bez przekonania.

– Proszę, poczęstuj się. – Daje mi kumguata. – Są niesamowite.

Miąsz jest gąbczasty i słodki. Kiedy go żuję, sok spływa mi na wargi, ale nie jest to jakieś nadzwyczajne odkrycie.

– Smaczny – mówię obojętnie, nie siląc się na fałszywy entuzjazm.

– Wczoraj zrobiliśmy z nich suflet na zimno pod morelami. – Christine jest rozczarowana moją reakcją, lecz peroruje dalej. – Był pyszny.

– Naprawdę? – pytam dla podtrzymania konwersacji, choć szkoda mi czasu na pogawędkę o kumguatach.

Jest piątek, a przed weekendem chciałabym jeszcze zrobić kilka rzeczy, między innymi znaleźć adres Aleksa Kellera. Nie mam pojęcia, gdzie szukać takich danych. Keller jest bardzo skryty, więc chyba będę musiała zakraść się do działu kadr, albo coś w tym rodzaju, i pogrzebać w kartotece.

Mimo wszystko zadaję pytania i okazuję zainteresowanie, bo wiem, że nieliczni przedstawiciele ludzkiego gatunku mają w ogóle jakiegokolwiek zainteresowania, więc byłoby zbrodnią ich nie podsycać.

Ze szczegółowego opisu wynika, że suflet na zimno to zwykle lody waniliowe podane w białych ceramicznych miseczkach. Nieważne. Z uśmiechem kiwam głową i powstrzymuję się od komentarzy. Raz już zawiodłam Christine, gdy perorowała o kumguatach, więc nie chcę jej powtórnie zasmucić.

Gdy podaje przepis na morelową pierzynkę (najpierw dusimy morele, potem dodajemy cukier), układam plan działania. Najpierw muszę ustalić, co jest dla mnie ważniejsze: sama praca czy fajna praca. Włamanie do działu kadr i szperanie w aktach pozwoli znaleźć adres Aleksa Kellera, ale w razie wpadki na pewno skończy się natychmiastowym zwolnieniem. Po co się narażać? Trudno oczekiwać, że Keller z błyskiem w oczach i uśmiechem na ustach zaproponuje pomoc. Nawet jeśli uda mi się zdobyć jego dane, nic z tego nie wyniknie. Kiedy zapukam do drzwi, każe mi spadać i rozeźlony zatrzaśnie mi je przed nosem. Wielokrotnie

słyszałam w słuchawce telefonicznej jego głos, więc nie powinnam się łudzić.

Mam doskonałą wymówkę, żeby wycofać się ze spisku. Zastanawiam się, czy nie powiedzieć Aliison i pozostałym, że rezygnuję. Na serio myślę, żeby opuścić pokład okrętu. Niech sobie poszukają innej wtyczki. Namierzanie Aleksa Kellera to zbyt wielkie ryzyko. Przez takich jak on rozpadały się imperia i znikwały fortuny.

Mam już gotową mowę pożegnalną, a jednak nie potrafię jej wypowiedzieć. Obalenie Jane McNeill wydaje się marzeniem ściętej głowy, ale grzechem byłoby nie spróbować. A nuż się uda?

Mój 15. dzień w pracy

Pamiętam dobrze pierwszą kłótnię z Alekssem Kellerem. Poszło o kolorową kserokopiarkę. Zostawił pod klapą biały arkusz papieru, który wyjęłam i położyłam obok maszyny.

– Coś ty zrobiła! – wrzasnął, gdy odebrałam telefon. Uznałam, że złości się, bo podniosłam słuchawkę, więc natychmiast ją odłożyłam. Po sekundzie telefon zadzwonił ponownie. Uznałam, że facet nie wie, czego chce.

Odczekałam do czwartego sygnału i dopiero wtedy odebrałam.

– Halo – powiedziałam miłym głosem, jakbym nie domyślała się, kto dzwoni.

– Nie waż się przerywać połączenia, póki sam się nie rozłączę, bo stracisz posadę – zagroził władczy głosem.

Nie znoszę konfliktów, ale chociaż byłam wtedy zwykłą asystentką, nie dałam się zastraszyć.

– Z kim mam przyjemność? – zapytałam, udając kretynkę. Nie znałam wtedy jego głosu ani numeru telefonu, ale słyszałam tyle plotek, że natychmiast wydedukowałam, z kim mam do czynienia.

– Mówi Aleks Keller. Redaguję kronikę towarzyską i właśnie używam kserokopiarki stojącej przy drzwiach do kuchenki, a ty mi weszłaś w paradę. Wyjęłaś spod klapy kopiowany przeze mnie tekst. To ogromnie ważny dokument. Nie życzę sobie, żeby go dotykały osoby postronne. Na przyszłość uważaj.

Z irytacją przewróciłam oczyma. Ani mi było w głowie czytać jego tekst, lecz niechcący rzuciłam okiem i wiem, że z pewnością nie był to oryginał Deklaracji Niepodległości. Takie rzeczy u nas nie chodzą. Zajmujemy się samymi bzdurami.

– Sądziłam, że skończyłeś – odparłam, zdecydowana się bronić.

– Dopóki nie zobaczysz, że osobiście wyjmuję tekst spod klapy kserokopiarki, tak długo jej używam! – oznajmił, jakby był normalnym człowiekiem, którego można zobaczyć gołym okiem, a nie odmieńcem przemykającym sekretnymi korytarzami i przejściami.

– Dobra – odparłam.

Bez pożegnania rzucił słuchawkę.

Keller w ogóle nie mówi „do widzenia” i wrzeszczy, ilekroć nadarza się sposobność. Ludzie się wycwanili i nie odbierają, widząc na wyświetlaczu jego numer, więc zamiast używać automatycznej sekretarki i zostawiać wiadomości, wysyła gniewne emaile z poleceniami.

Nigdy nie dziękuje. Gdy z rzadka ktoś ma do niego prośbę, nadzwyczaj uprzejmie wysyła zawsze podziękowanie. To jest przypomnienie, przytyk oraz subtelną wymówkę. Wiadomo, że Keller dostaje szału, gdy otrzymuje grzecznego emaila. Skąd wiemy? Bo gdy mu się dziękuje pierwszy raz, odpowiada stanowczo, żeby więcej tego nie robić, ponieważ ludzie zasypują go korespondencją.

Wtedy należy odpisać: OK. Potem naciskamy „wyślij”.

Ciąg dalszy pierwszego etapu

Stacy Shoemaucher robi przyjazne wrażenie. Czarne włosy sięgają nasady szyi, szminka zjedzona. Nosi źle skrojony jasnoniebieski kostium, podkreślający mankamenty figury, a karnacji nadający sinawe zabarwienie. Gdyby nie pracowała w naszym wydawnictwie, byłaby idealną kandydatką do przyszlórocznych metamorfoz. Zawsze szukamy niezgrabnych dziewczyn o ziemistej cerze.

Na jej biurku panuje miły nieład, ściany gabinetu ozdobione są plakatami, których szczerść budzi pewne zakłopotanie; typowe dla biur działu kadr urokliwe krajobrazy opatrzone hasłami: „Z bliska góry wydają się wyższe” albo „Sukces czeka na ciebie”.

Stacy gestem wskazuje mi krzesło. Siadam naprzeciwko niej przy okrągłym stoliku umieszczonym w rogu. Sprawiam chyba wrażenie niepewnej (w końcu to moja pierwsza wyprawa do działu kadr), więc Stacy uśmiecha się zachęcająco. Kąciki ust unoszą się przyjaźnie, a wokół oczu widzę przyjemne zmarszczki. Wierzę, że mówi szczerze, kiedy pyta:

- W czym mogę pomóc?
- Chcę złożyć doniesienie. Chodzi o paragraf C.
- Paragraf C? – Stacy rzednie mina.
- Tak. Paragraf C, podpunkt 2.
- Jesteś pewna? – dopytuje się.
- Naturalnie.

Wzdycha, a przyjemne zmarszczki znikają bez śladu.

– Naruszenie zasad dotyczących stroju jest u nas traktowane bardzo poważnie. – Sięga do szafki pod ścianą po formularz i kładzie go przed sobą na stoliku. Jeszcze nie dojrzała do tego, żeby mi go dać. – Jesteś absolutnie pewna, że to nie są buty? Ta obecna moda... Czasami trudno powiedzieć... A nasza redakcja jest przecież trendy. Jedna z redaktorek złożyła kiedyś skargę na koleżankę ubraną rzekomo w bikini, okazało się jednak, że tamta miała na sobie markowe szorty. – Stacy chichoce nerwowo.

- To były kaptcie – odpowiadam z naciskiem. – Jestem pewna.

Z wyraźnym ociąganiem wręcza mi formularz. Nim przyszłam do działu kadr, przeczytałam od deski do deski wielostronicowy regulamin obowiązujący pracowników wydawnictwa, jestem więc dobrze zorientowana i szybko wypełniam rubryki. Stacy je przegląda.

- Chyba wszystko dobrze... Coś jeszcze?
- Możemy zajrzeć do jego akt? Obawiam się, że to już drugie jego wykroczenie.

Zrywa się na równe nogi, zagląda do kartoteki z danymi osobowymi i wyciąga teczkę Aleksa Kellera.

– To mi się w głowie nie mieści. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś dwukrotnie złamał zasady dotyczące stroju!

W jego cieniutkiej teczce znajduje się tylko życiorys, informacje o tym, kiedy i gdzie można go zastać oraz karta z aktualnym adresem i numerem telefonu.

- Jest czysty – mówi z dumą Stacy.

Próbuję zapamiętać bardzo długą sekwencję cyfr: 4738640507411 A, ale sprawa mnie ciekawi.

– Jesteś pewna? – Niewiele brakowało, żebyś wyrwała jej teczkę z rąk.

– Tego, że jest czysty? Naturalnie, mam to czarno na białym. Żadnych skarg, wyjąwszy twoją dotyczącą paragrafu C, podpunktu 2, która nie zostanie oficjalnie wpisana do akt, póki nie przeprowadzimy drobiazgowego śledztwa.

– Niemożliwe – upieram się. Aleks Keller pomiata ludźmi od sześciu lat i nikt nie złożył na niego skargi?

– Nie zamierzałam sugerować, że Stacy coś kombinuje, a jednak właśnie to zrobiłam, więc podejrzliwie mruży oczy.

– Keller jest napastliwym arogansem i zbyt łatwo wybucha. Trudno mu nad sobą panować – dodaję, przytaczając niektóre z jego wad, żeby ją ugłaskać.

Twarz jej się wypogadza, ale ton nieufności pozostaje.

– Jeśli masz na myśli konkretny przypadek, możesz teraz złożyć oficjalną skargę.

Mogłabym opisać wiele takich sytuacji i chętnie przez cały dzień pisałabym donosy na Aleksa Kellera, lecz nie mogę tu przesiadywać, bo powoli zapominam sekwencję cyfr.

Kłody pod nogi

Każdego ranka Anna Choi wchodzi do redakcji, rozkłada własny strój na czynniki pierwsze, a następnie podsumowuje wygląd wymownym komunikatem. Dzisiaj ubrała się w stylu retro. Spodnie: Antique Boutique, 45 dolarów; koszula: H&M, 11 dolarów; marynarka: Hasidic, 30 dolarów; turban: Bendel's, 220 dolarów; buty: Fausta Santini, 72 dolary.

Anna kpi z tropiących podobne ciekawostki dziennikarzy lokalnego tygodnika, którzy robią sondy uliczne na ten właśnie temat, ale niewolniczo ulega znalezionym tam wskazówkom dotyczącym kontrolowanego luzu. Spodnie niemal zawsze kupuje na pchlim targu, bluzki pochodzą z pudeł, do których u Domseya wrzuca się przeceniony towar. W dziewięciu sytuacjach na dziesięć uzupełnia całość jednym szaleńczo drogim dodatkiem, na przykład paskiem lub torebką.

Anna prowadzi u nas dział „Styl i Dom”, a jej zadaniem jest opisywanie vipów krzątających się po kuchni urządzonej w stylu prowansalskim. Odwiedza domy rozmaitych znakomitości, przez dwie godziny zwiedza wnętrza, notując pilnie, jak promienie słońca wlewają się przez świetliki, a potem wraca do swojej klitki w East Village. W mikroskopijnej kuchence nie ma gdzie schować garnków, naczyń i rękawic ochronnych, dlatego wariuje na punkcie szafek. Rozkleja się, oglądając lniane ścierki starannie ułożone w wąskiej witrynie. Serce jej kołacze na widok zapasów umieszczonych w spiżarni. To jej święte ołtarze, ale trudno się dziwić, że co miesiąc szefowa bezlitośnie skreśla jej po pięćset słów; wypadają akapity poświęcone schowkom, garderobom, wieszakom i półkom.

„Styl i Dom” to obszerny dział z cudownymi zdjęciami urodziwych, otulonych białymi puszystymi szlafrokami gwiazd, które jedzą croissanty na obrośniętych bluszczem werandach albo całują się w drewnianych łódkach pływających po stawie zarośniętym nenufarami, albo grają III Koncert Bacha na białym pianinku. Kartkując artykuły, odnosi się wrażenie, że zdjęcia są nie ryle pozowane, co reżyserowane. Owe scenki istnieją tylko przez chwilę, kiedy zwalnia się migawka aparatu fotograficznego Canon Rebel EOS 5. Trudno się oprzeć wrażeniu, że ich bohaterowie patrzą na zdjęcia z równą tęsknotą, co zwykli czytelnicy czasopisma. John Malkovich chce być jak John Malkovich!

Opisywane siedziby gwiazd rozrzucone są na ogromnej przestrzeni: rancza w Nowym Meksyku, wille w Malibu, kamienice na Manhattanie, a jednak poświęcone im artykuły wykazują ogromne podobieństwo. Wygląda na to, że wszyscy mają za domem wiekowy okrągły głąz z jakiegoś sanktuarium albo posążek Nefretete na podjeździe. Anna odwała kawał dobrej roboty, tak miesza wątki, że gdy prezentuje księgozbiór złożony wyłącznie z oprawnych w skórę pierwszych wydań, ma się wrażenie, jakby nie widziała dotąd podobnej biblioteki. Naprawdę dobrze pisze. Z radością popuszcza vipom cugli i chętnie cytuje powiedzonka, które padły z ich ust. Nie marudzi nawet wówczas, kiedy jakiś aktor pokazuje jej miejsce na zboczu wzgórza, gdzie przychodzi, aby pełnym głosem wykrzyczeć monolog Hamleta „Być albo nie być... „ Ktoś inny na jej miejscu powiesiłby się, gdyby znalazł dostatecznie długi sznur. Jest pół do czwartej i wszystkie wróble ćwierkają, że czas zbierać

się do domu, ale nas czeka zebranie redakcyjne. Tego jeszcze nie było, więc Anna (podobnie jak wszyscy zebrani w sali konferencyjnej) jest zupełnie nieprzygotowana. Ma krótką listę vipów, których domy wskazali jej agenci, ale nie są to gwiazdy pierwszej wielkości. Gdy pada tytuł „Moda na sukces”, Jane krzywi się z obrzydzeniem. Nie piszemy o aktorkach występujących w operach mydlanych.

– Co jeszcze? – pyta, sprawdzając, czy minęła czwarta.

Nie ona jedna raz po raz zerka na zegarek. Połowa obecnych chciała wyjść przed trzecią.

Anna zagląda do notatek. Denerwuje się, ale nie daje tego po sobie poznać. Jak zwykle sprawia wrażenie, że jej nic nie rusza. Ma na sobie chałat tak zniszczony i sfatygowany, że nawet pobożny chasyd nie chciałby go włożyć, a jednak świetnie się na niej prezentuje. Nawet wystrzępione mankiety stanowią dodatkowy atut.

– Do wtorku zdobędę więcej danych – odpowiada, dyskretnie przypominając nieugiętej szefowej, że zebranie jest nagłe i niespodziewane. – Agenci mają się do mnie odezwać po weekendzie.

Jane sama zwykle przeciąga sprawy, trzymając agentów i redaktorów w niepewności podczas wolnych dni, ale nie lubi, gdy inni tak z nią postępują. Wzdycha z irytacją; najchętniej zmyłaby Annie głowę, ale powstrzymuje się, bo na zebraniu jest Marguerite. Siedzi naprzeciwko niej i uśmiecha się przyjaźnie, a Jane usiłuje ją naśladować. Przez krótką chwilę zapragnęła być lubiana. Jej motywy są przewrotne, ale dzięki temu Annie się upiekło.

– Ej ty, panno z przyszłości, nad czym pracujesz? – Jane skupia uwagę na praktykance zatrudnionej na czas wakacji.

Upokorzona studentka przez kilka sekund jąka się i coś mamroce o markowym obuwiu sportowym. Druga praktykantka uczestnicząca w zebraniu ma na nosie krostę wielką jak cytryna, więc pochyla głowę, kryjąc twarz. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Jane postanowiła zwołać zebranie, gdy odkryła, że Marguerite chce złapać ostatni samolot do Bangor w stanie Maine, który o czwartej odlatuje z lotniska Kennedy’ego. Multimilioner obracający gruntami zaprosił ją na prywatną wyspę, gdzie podczas weekendu miał się odbyć bankiet. Jane postanowiła udaremnić to świętowanie. Marguerite mogła, rzecz jasna, darować sobie niespodziewaną nasiadówkę, ale ma powody, aby w niej uczestniczyć. Zdaje sobie sprawę, że jej pozycja w redakcji nadal jest niepewna. Jane powinna teraz mknąć ekspresowym pociągiem do Montauk, ale pokrzyżowanie weekendowych planów rywalki uznała za ważniejsze od swojego wyjazdu. Będzie musiała pojechać mikrobusem i stać w korku na autostradzie albo wsiądnąć do późniejszego pociągu, który zatrzymuje się na wszystkich stacjach. Ale niech będzie, byle tamtej dokopać.

Gdy kończy znęcanie się nad przyszłymi, jest za kwadrans czwarta. Przetrzyła nas do ostatniej sekundy. Jest skrupulatna, więc dopilnuje, żeby Marguerite nie miała żadnych szans. Choćby w ostatniej chwili złapała latający dywan, z pewnością nie zdąży na samolot. Jackie, sekretarka Jane, od drugiej dzwoni do informacji portu lotniczego i ma przykazane natychmiast informować szefową o wszelkich opóźnieniach. Jane przetrzyła nas tutaj, jak długo będzie trzeba, nawet gdyby miała do północy czytać nazwiska z książki telefonicznej.

– Co z propozycjami tematów? – pyta Jane, spoglądając na podwładnych siedzących

wokół stołu. – O ile się nie mylę, wysłałam do wszystkich list z prośbą o przedstawienie trzech ciekawych i odkrywczych propozycji. Mieliśmy je omówić w czasie popołudniowego zebrania.

A to już zupełna konfabulacja. Zebranie redakcyjne zostało zwołane przed dziesięcioma minutami, więc siłą rzeczy żadna wiadomość nie mogła być nam wysłana, ale nikt o tym nie wspomina. Siedzimy cicho na krzeselkach, czekając, aż ktoś inny podniesie rękę. Czujemy się jak nieprzygotowani do zajęć studenci pierwszego roku anglistyki.

– Mam kilka sugestii dotyczących planowanego numeru poświęconego ślubom i weselom – wyrywa się Marguerite.

Oddawanie jej pola nie było zamiarem Jane.

– Zapewne – odpowiada, spoglądając na rywalkę – lecz wolałabym zacząć od młodszych...

– Moglibyśmy dać materiał o sukniach ślubnych – ciągnie Marguerite, jakby w ogóle nie słyszała szefowej, którą po prostu zamurowało, bo po raz pierwszy ma do czynienia z tego rodzaju taktyką.

Spostrzeżliśmy jej zmieszanie i próbujemy ukryć złośliwe uśmiešky. Parę osób nie wytrzymuje, lecz Jane jest tak wściekła, że tego nie spostrzega.

– Uświadomiłam sobie, jak często mówi się, że suknię drużny można by jeszcze ponosić – ciągnie niezrażona tym Margeurite. – Nawet gdy kreacja jest wyjątkowo paskudna, ktoś, zazwyczaj panna młoda, przekonuje, że gdyby ją skrócić i ufarbować na czarno, będzie idealna na wieczór. Zgromadźmy kilka takich sukien i dajmy je do przerobienia znanym projektantom. Może być Michael Kors, Tom Ford, Marc Jacobs, Donna Karan.

– Wepchnęłam do szafy sześć takich kreacji w idealnym stanie – informuje Christine. – Czekam na sygnał.

Wszystkim zebranych wokół stołu przypadł do gustu pomysł Marguerite. Przed trzydziestką każda dziewczyna ma już przynajmniej jedną mocno wydekoltowaną różową kreację.

– A ja przechowuję ciemnozieloną kieckę w stylu Marian, żony Robin Hooda – dodaje Allison.

Wiem wszystko o tej sukni. Allison tygodniami usiłowała namówić siostrę do zmiany decyzji. Najpierw przekonywała, następnie zachęcała, w końcu błagała. Wszystko na próżno. Starsza panna Harper wymyśliła sobie stylowy ślub i wesele w średniowiecznych kostiumach, nie zważając na to, że turnieje rycerskie zostały definitywnie zakazane w osiemnastym wieku. Podśluchałam jednak, że za kilkaset dolców nadal można znaleźć śmiałków gotowych dosiąść konia i wymachiwać trzymetrową kopią.

– Suknia Marian, żony Robin Hooda? – powtarza jedna z redaktorek, zdumiona, że panna młoda tak daleko może się posunąć. – Rany boskie, sądziłam, że nie ma nic gorszego niż błękitna kreacja w stylu cesarstwa i mirtowy wianuszek, który mi kazała włożyć kuzynka.

Allison wybuchła śmiechem.

– Chętnie bym się zamieniła na suknię w stylu...

– Ciekawy pomysł – przerywa Jane, usiłując odwrócić naszą uwagę od znakomitego

pomysłu Marguerite – ale regulamin wydawnictwa zabrania nam angażować jego pracowników do celów związanych bezpośrednio z publikacją czasopisma.

Wspomniana zasada dotyczy osób, a nie paskudnych kiecek noszonych przez drużny, lecz Marguerite ma już lepszy koncept.

– Naturalnie, Jane – odpowiada, jakby przewidziała tamtą uwagę. – Znam regulamin. Pomyślałam, że możemy wykorzystać suknie czytelniczek.

– Czytelniczek? – pyta Jane, oburzona sugestią, jakby nie miała pojęcia, o kim mowa.

– Owszem. Zorganizujemy swego rodzaju konkurs i poprosimy, żeby przysłały zdjęcia kreacji, w których wystąpiły jako drużny – tłumaczy Marguerite. – Wybierzemy najpaskudniejsze sukienki i damy je projektantom.

– Fantastyczny pomysł – mówi jedna z fotoedytorek. Zachwycona ideą zapomniała na chwilę o zdrowym rozsądku. Kto chce utrzymać się w redakcji, nie powinien komplementować ludzi, których Jane zabija wzrokiem. – Zrobimy fotki przed przeróbką i po niej.

W corocznym numerze poświęconym ślubom i weselom zaplanowano już materiał o sukniach druhen, zwykłych śmiertelniczek. Nie ma mowy, żeby Jane zgodziła się na drugi artykuł dotyczący podobnego tematu. Zwykle kobiety traktuje tak samo jak aktorki grające w operach mydlanych. Dla niej jedne i drugie niczym się nie różnią.

– Tak, bardzo ciekawe. Taki materiał bez wątpienia zainteresowałby przeciętną Australijkę. – Jane obdarza Marguerite fałszywym uśmiechem. Na szczerzy w ogóle nie potrafi się zdobyć. – Ale „Styl i Blask” nie zajmuje się strojami odpowiednimi dla kangurzy. Nasze czytelniczki są nieco bardziej wymagające.

– Nasze czasopisma też nie są adresowane do kangurów – odpowiada uprzejmie Marguerite, próbując zbagatelizować atak, jakby ją to w ogóle nie obeszło, ale dłonie ma przyciśnięte do boków.

– Zapewne, prędzej do koali. Mniejsza z tym. Twój pomysł jest fajny, ale dla nas się nie nadaje. Gdy dłużej u nas popracujesz, nabierzesz wyczucia, co pasuje do pisma, a co jest nie do przyjęcia. Moim zdaniem, na razie intuicja cię zawodzi. Przeczytaj jeszcze kilka numerów, a potem zgłoś się do mnie.

– Tak zrobię. – Marguerite zdobywa się na wymuszony uśmiech. – Chciałabym coś jeszcze zaproponować. W liście była mowa o trzech tematach, prawda?

Jane zaprzecza z obawy, że znienawidzona zastępczyni wystąpi z kolejną efektowną sugestią. Przed trzema minutami słyszeliśmy inną wersję.

– Nie, z pewnością wspomniałam tylko o jednym. Dajmy szansę innym. – Rozgląda się. – Lydio?

– Może napiszemy o panterkach? Styl militarny uchodzi za *trend de jour*.

Trend de jour stanowi ulubione wyrażenie Lydii, którego nadużywa bez poczucia autoironii, jakby pewne tendencje rzeczywiście były bardziej na czasie od innych.

Jane kiwa głową. Lubi tego rodzaju tematy, bo nie wymyśliła ich Marguerite i już o nich pisaliśmy. Chętnie drepce po znanym terytorium i trudno ją za to winić. Nasi czytelnicy, o których ledwie pamięta, nie zwracają uwagi, o czym piszemy, bylebyśmy tylko publikowali

zdjęcia sławnych ludzi. Lydia bez trudu znajdzie trzech vipów noszących się w stylu militarnym i będzie po sprawie.

– Dobrze. Zajmij się tym. Kto następny? – Siedzę obok Lydii, nic dziwnego, że spogląda na mnie. – Vig?

Mam kilka fajnych pomysłów, ale wiem, że nie spodobają się Jane, więc próbuję wykombinować jakiś *trend de jour*, żeby sprostać wyzwaniu. Nagle słyszę brzęk drobnych. To znak, że nadchodzi Jackie, sekretarka Jane. Po chwili staje w drzwiach i zwrócona ku szefowej dyskretnie kiwa głową. W samolocie do Bangor zamknięto drzwi. Zebranie skończone.

– No cóż... – zaczynam. – Pomyślałam, że moglibyśmy napisać o...

Wiedziałam, że Jane mi przerwie. Zrywa się na równe nogi.

– Bardzo ciekawe, Vig, ale muszę lecieć. Zapomniałam o bardzo ważnym spotkaniu. Do zobaczenia we wtorek – mówi, ale przypomina sobie o Marguerite. Nie zostawi nas na długo sam na sam ze swoją zastępczynią i jej wywrotowymi pomysłami dotyczącymi kreacji dla druhen. – Raczej w poniedziałek. A więc do poniedziałku.

Jak strzała mknie do drzwi, a podwładni, odczekawszy zwyczajowe pięć sekund, rzucają się naprzód, deptając jej po piętach. Dopadają biurki, chwytają walizki na kółkach i pędzą z nimi do windy.

Pięć minut później jestem w redakcji całkiem sama.

Supermenka

Zdaniem Mai pociągają mnie emocjonalni popaprańcy.

– Pracoholicy, oszuści, maminsynki. Istny cyrk odmieńców i związkofobów, a ty zapraszasz ich na arenę – oznajmiła, gdy mój ostatni związek rozpadł się definitywnie w alejce z owocami supermarketu na rogu Bleecker i La Guardia. Przyglądałam się Michaelowi rozważającemu zalety i wady kiści zielonych bananów. Miał na nie ochotę, ale czy nadal będzie chciał je zjeść za kilka dni, kiedy dojrzeją? Nagle uderzył mnie całkowity bezsens tego związku. Pojęłam, że nic z tego nie będzie. Doznałam olśnienia, poraziło mnie. Powiedziałam do widzenia i wyszłam ze sklepu. Michael nawet nie zauważył. Był zbyt zajęty; robił bananom wykład o poczuciu tożsamości.

– Wygląda na to, że dysponujesz psychiczną supersiłą – ciągnęła Maja. – Wyczuwasz popaprańca z odległości pięćdziesięciu kroków, nawet przez betonowe ściany. Taka już twoja specyfika. Chodzi mi o to, że w pomieszczeniu, gdzie jest mnóstwo fajnych, wolnych facetów o dobrym charakterze i wrodzonej odwadze, nieuchronnie polecisz na takiego, który po czterech latach wspólnego życia niespodziewanie zerwał ze swoją dziewczyną na parkingu.

Owszem, ma rację. Poznałam Michaela, gdy Maja, nie zważając na moje protesty, dwa tygodnie przed walentynkami wyciągnęła mnie do knajpy. Michael przyjechał po siostrę. Wątpię, żebym miała w sobie nadprzyrodzoną moc. To raczej przekleństwo wymyślone, gdy wszelkie dobre moce zostały już wyczerpane. Przypominam kominiarza, który siebie nie potrafi uszczęśliwić.

– Musi istnieć sposób, żeby spożytkować twoją moc – dodała Maja ze śmiechem, ale dobrze kombinowała. – Na przykład mogłabyś wynajmować się na godziny i towarzyszyć kobietom, które nim się zaangażują, chcą sprawdzić, czy nowa znajomość rokuje nadzieje. Albo zacniemy organizować masowe randki. Coś jak śluby na dwa tysiące par, specjalność wschodnich sekt. Ustawimy panie i panów w szeregu, a ty będziesz defilować przed nimi, sprawdzając, którzy cię pociągają. – Obrzuciła mnie znaczącym spojrzeniem, jakbym siedziała z nią w okopach, planując śmiałą akcję. Nic z tego. Tkwiłam w świecie rzeczywistym, a bezużyteczna supersiła przysparzała mi wyłącznie bólu i rozczarowań. – Twoich faworytów, rzecz jasna, trzeba by wykluczyć z gry, choć z drugiej strony można ich potraktować jak towar niepełnowartościowy i oferować po obniżonej cenie.

Maja papie w tym stylu jeszcze przez kilka minut, perorując o nowych wzorach Tshirtów i wyglądzie Oprah, ale jej nie słucham. Wyłączam się, bo oczyma wyobraźni oglądam nadzwyczaj wyrazistą paradę byłych narzeczonych. Michael wieki całe deliberował nad zielonymi bananami. Scott, który nie był w stanie wykrztusić słowa „randka”. Ethan, dla którego zawsze byłam Jevig, bo jego dawna dziewczyna miała na imię Jennifer. Dwight, Thaddeus, Kevin, Rob. Długi szereg nieudaczników.

– Zmieńmy temat – powiedziałam, zabierając jej serwetkę. Rysowała na niej nasze logo: amorka celującego we własne serduszko.

Teraz zastanawiam się nad tym, co powiedziała. Wspominam jej złośliwe sugestie, bo

widziałam Aleksa Kellera. Blond włosy, jasnozielone oczy i miły uśmiech. Od razu wpadł mi w oko, lecz nie jestem głupia, a zdrowy rozsądek podpowiada, że nic z tego nie będzie.

Człowiek i jego legenda

Nie spodziewałam się po Aleksie Kellerze entuzjastycznego powitania. Mimo wątpliwości po pracy ruszyłam prosto do niego, chociaż mogłam w tym czasie robić wiele innych rzeczy. Jestem zdecydowana tak długo mącić mu w głowie, aż wpuści mnie do mieszkania. Nie brałam jednak pod uwagę, że otworzy drzwi i poprosi, żebym weszła.

– A, jesteś – mówi, uśmiechając się szeroko. – Świetnie. Zapraszam. – Ma na sobie beżowe szorty i rdzawy T-shirt z nazwą drużyny sportowej. Koszulka jest stara i znoszona, a tkanina wygląda jak kawałek papirusu, który rozsypie się w proch, gdy ktoś go dotknie. Keller chodzi boso. – Przyszłaś trochę za wcześnie, ale zaraz będę gotowy. Proszę, usiądź.

Salon Aleksa Kellera nie jest zagrażony: granatowa kanapa, trzynastocalowy telewizor, wiekowy stolik pod telefon. Najbardziej rzuca się w oczy świeżo wycyklinowana drewniana podłoga, częściowo przykryta niewielkim bładoniebieskim dywanem. Mój rozmówca wskazuje stojącą na ukos kanapę, więc do niej podchodzę. Wtedy dopiero widzę, że za nią jest miejsce na drobny sprzęt: żelazko, mikser, staromodny telefon z tarczą. Prowizoryczny schowek nasuwa podejrzenie, że Aleks tak samo jak Anna nie ma szafek.

– Redbullek wróci za kilka minut – mówi. Chwyta sportowe buty i skarpetki, idzie do otwartej kuchni, siada na składanym drewnianym krzeselku. Z kanapy mam widok na czarno-żółtą tapetę i mikroskopijną lodówkę. Obserwuję go, kiedy wkłada skarpetki. Widzę poruszające się mięśnie. Aleks Keller ma bicepsy. Prawdziwa niespodzianka. Sfatygowana koszulka wytrzymuje napór, zamiast rozsypać się w proch.

– Sąsiadka pomaga mi w potrzebie.

Zaszło chyba nieporozumienie. Czekał na kogoś innego. Od razu się domyśliłam, gdy portier na dole wpuścił mnie, nie pytając o nazwisko. Zaraz mu powiem, kim jestem, ale nie w tej chwili. Na razie chcę popatrzeć, jak wkłada buty. Prawdziwą niespodzianką jest urokliwa życzliwość Kellera, więc nie mam ochoty przerywać tego doświadczenia. Za minutę podam mu swoje nazwisko. Lada chwila ujawnię całą prawdę, więc serdeczność zniknie. Keller robi kwaśną minę i obrzuci mnie najgorszymi obelgami. Lepiej to odwlec.

– Polubisz Redbullka – mówi, wiążąc sznurowadła adidasów na podwójną kokardkę. – Ma oczy bezradnego szczeniaka. Wystarczy, że na ciebie popatrzy, i już robisz, co chce.

Trudno wyczuć, czy Redbullek to imię ukochanego psa, czy ksywa syneczka. W nieskazitelnym aktach Kellera był tylko adres i numer telefonu. Nie wiem, czy ma kogoś na utrzymaniu.

– Świetnie – odpowiadam wymijająco.

Keller uśmiecha się. Śliczny uśmiech, trochę nieśmiały, z dołeczkami.

– Musisz być stanowcza. Odrobina dyscypliny nikomu nie zaszkodzi.

Ta uwaga Kellera, zazwyczaj wściekłego jak diabli, a teraz wskazującego potrzebę zdyscyplinowania, jest niczym kubeł zimnej wody. Czar pryska. Mniejsza o dołeczki, bicepsy i wesołe zielone oczy. Otwieram usta, żeby się przedstawić, lecz nim zdążyłam się odezwać, słyszymy dzwonek, a Keller zrywa się na równe nogi.

– No, wrócił mój chłopczyk.

Znika w korytarzu. Słyszę, jak gawędzi z sąsiadką.

– Sprawiał kłopoty?

– Ależ skąd, jest taki kochany – odpowiada łagodny, zmysłowy głos. – Śliczna pogoda, więc miło spędziliśmy czas, wygrzewając się na słońku.

– Świetnie. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

– Dla mnie to przyjemność. Jutro zjemy razem kolację, prawda?

Nie widzę jej, ale domyślam się, że jest zgrabną blondynką o ładnym nosku i buzi w kształcie serca. Te ze zmysłowym głosem zawsze tak wyglądają.

– Jasne – odpowiada Keller. – O ósmej?

– Przyjdź o siódmej. Zrobię drinki – proponuje sąsiadka. W jej głosie pobrzmiewa doskonale mi znany zalotny ton. Co sobota słyszy się go w modnych klubach, gdzie ostry podryw jest normą. Właśnie dlatego unikam takich miejsc.

– Świetny pomysł. W takim razie do zobaczenia – odpowiada Keller, kończąc rozmowę.
– Jeszcze raz dzięki za pomoc.

– Naprawdę cała przyjemność po mojej stronie. No pewnie. Każda babka chciałaby, żeby facet taki jak Keller miał u niej dług wdzięczności.

Słyszę odgłos zamykanych drzwi i przygotowuję się na spotkanie z Redbullkiem. Jeśli to chłopczyk, moja sytuacja będzie podwójnie trudna. Nie dość, że muszę ugłaskać chimerycznego, emocjonalnie popapranego kolegę z pracy zdradzającego objawy rozdzielenia osobowości, to na domiar złego będę mieć do czynienia z maluchem, a moja wiedza na temat postępowania z dziećmi, zwłaszcza niedużymi, jest znikoma.

Redbullek okazuje się brunatnym labradorem. Ogromne bydlę, zajmuje więcej miejsca od stojącej w rogu kanapy. Stąpa ciężko i wolno, jakby namyślał się długo, ilekroć stawia łapę. Merda ogonem na powitanie, co przypomina ruch wachlarza w omdlewającej dłoni. Zero pośpiechu.

– Imię do niego nie pasuje – wypowiadam na głos pierwszą myśl, która przyszła mi do głowy. Nie jest to chyba uwaga, którą można zjednać sobie właściciela.

Keller uśmiecha się, pokazując cudne dołeczki i zdradzając urokliwą nieśmiałość. Łapię się na tym, że zapatrzyłam się na niego jak kretyńka. Przytomnieję i powtarzam sobie w duchu jak mantrę, że to emocjonalny popapraniec. Lepiej takich unikać. Legendarne wybuchy złości najwyraźniej nam teraz nie grożą, więc przestałam się nimi przejmować.

– Słuszna uwaga. Redbullek nie jest gejerem energii. Ma siedem lat, ale jako szczeniak też był leniuszkiem – wyjaśnia Keller. – Zabrałem go do weterynarza, żeby sprawdzić, czy ciśnienie krwi nie jest zbyt niskie, ale badania wypadły dobrze. Sądzę, że moje psisko jest po prostu nieruchawe, zupełnie jak Nero Wolf, kompletne beztalencie, jeśli chodzi o tropienie tajemnic.

Nie mam pojęcia, o kogo chodzi. Kim jest Nero Wolf? Żywym człowiekiem? Fikcyjną postacią? Mniejsza z tym.

– W takim razie dlaczego nazywa się Redbull? – pytam, zamiast rozwikłać zagadkę.

Na dźwięk swojego imienia brunatny labrador podchodzi i przytula się do moich nóg.

Delikatnie głaszczę miękką sierść. Trudno powiedzieć, czy domaga się pieszczot, czy traktuje mnie jako podpórkę.

– Po pierwsze, miewa krótkotrwałe przypiły energii, a wtedy szaleje z radości. Po drugie, kiedy byłem małym chłopcem, mieliśmy dwa psy, które wabiły się Pepsi i Sprite, więc chciałem podtrzymać rodzinną tradycję. Rozważałem wiele możliwości. Przez kilka dni wołałem na niego Sevenup, ale dziwnie to brzmiało, zupełnie jakby nie miał imienia, tylko numer. Inni psiarze dziwnie mi się przyglądali. Jedna pani zamierzała chyba złożyć na mnie skargę w Towarzystwie Kynologicznym.

Zdumiewające, że człowiek, który robi wszystko, aby zrazić do siebie kolegów z pracy, troszczy się, co sobie o nim pomyślą obcy ludzie. Drapię Redbullka po grzbiecie, a on bez przekonania merda ogonem. Wiem, że powinnam wyznać Kellerowi, kim jestem, ale chwila minęła; ogarniają mnie wątpliwości.

Emocjonalny popapraniec. Emocjonalny popapraniec.

– Dobra, chłopcze – mówi Keller. Podnosi leżącą na podłodze smycz, przypina do obroży i łagodnie ciągnie Redbullka w stronę drzwi. – Znowu idziemy na spacer. Kelly jest twoją nową znajomą. Musisz ją przedstawić kumplom z wybiegu. Mówię o psach. – Keller mruga do mnie porozumiewawczo i zniża głos do szeptu. – Nie powinien się domyślać, że płacę ci za wyprowadzanie, bo poczuje się urażony i uzna, że go zaniedbuję.

– Naturalnie – przytakuję, oczarowana takim sposobem myślenia.

– Proszę, ty go prowadź. – Wręcza mi uchwyt smyczy. – Powinniście się zaprzyjaźnić.

Sięgam po nią, owijam kilkakrotnie wokół dłoni i stanowczo ciągnę Redbullka. Staram się wyglądać jak profesjonalistka, ale on nie daje się nabrać. Podnosi głowę, ziewa, pokazując długie żółtawe zęby, i wyprowadza mnie z mieszkania.

Idę za nim do windy, naciskam guzik, a tymczasem Keller zamyka drzwi na klucz. Spoglądam na zegarek. Dochodzi pół do szóstej. Dopiero teraz zaczynam się zastanawiać, o której ma przyjść prawdziwa Kelly. Wiem, że powinnam się wytłumaczyć, ale teraz poza dołeczkami i bicepsami w grę wchodzi też inne czynniki. Mniejsza o koszmarny wstyd, który poczuję, ujawniając prawdę. Przede wszystkim muszę uwzględnić stan ducha Redbullka. Właśnie zaczynamy się zaprzyjaźniać. Nie mogę go brutalnie odrzucić.

Niespełna dwie przecznice dzielą mieszkanie Kellera od parku Riverside. Po drodze Redbullek jest bardzo grzeczny i udaje, że go prowadzę, chociaż jest na odwrót. Jak na psa leniucha wydaje się bardzo silny.

– Lubi wszystkich z wyjątkiem faceta, który wyprowadza psa Julie Andrews – mówi Keller, gdy przecinamy West End Avenue.

Jest połowa sierpnia; piękny, słoneczny, umiarkowanie ciepły dzień z lekkim wiatrem. Każda panna młoda zanoszą modły o taką pogodę. Oddycham głęboko i cieszę się latem. Nie trzeba mieć domu na Fire Island, żeby je docenić.

– Tej Julie Andrews? – pytam. Nie mam pojęcia, czemu się tak zdziwiłam. Każdy mieszkaniec Nowego Jorku ciągle spotyka gwiazdy. Na skrzyżowaniu czekają obok na zmianę świateł albo stoją za nami w kolejce, robiąc zakupy.

– Aha. Trudno wyczuć, dlaczego tamten facet mu podpadł. – Keller czule głaszczę

Redbullka po głowie. – Adam twierdzi... Adam dawniej z nim wychodził. Podobno tamten z miejsca zraził się do Redbullka, więc nie poczyj się dotknięta, jeśli na twój widok szpetny kurdupel z pudlem na smyczy pogalopuje w przeciwnym kierunku. Moim zdaniem facet ma kompleksy. Chyba nie potrafił się dogadać z mamą.

Wyjaśnienie przypomina redakcyjne legendy na temat Kellera, więc odwracam głowę i uważnie mu się przyglądam, daremnie szukając oznak świadczących, że mnie rozpoznał. Zielone oczy patrzą w dal na drzewa w parku.

– Jesteśmy na miejscu, mój chłopcze – mówi do Redbullka, gdy mijamy furtkę wybiegu dla psów. Labrador obojętnie przyjmuje nowinę. Nie przyspiesza ani nie okazuje strachu.

Wybieg jest ogrodzony, ale boję się spuścić Redbullka, bo wokół buszuje mnóstwo psów. Rozbuchane, krzepkie, silne i energiczne zwierzęki biegają jak szalone, więc lękam się o jego bezpieczeństwo. Naprawdę przychodzi tu codziennie?

– Troskliwy rodzic musi wiedzieć, kiedy dać pociesze trochę luzu – mądry się Keller, szepcząc mi do ucha.

W historii moich amatorów nie pojawił się ani jeden mężczyzna świadomy, co rodzic, zwłaszcza troskliwy, powinien wiedzieć o pociechach. Jak urzeczona wpatruję się w Kellera. Emocjonalny popapraniec, powtarzam sobie w duchu. Emocjonalny popapraniec.

Kłęka na jedno kolano i odpina Redbullkowi smycz, a ten zamiast od razu pognać jak dziecko, biegnie do piaskownicy, człapie zakosami w cienisty róg i układa się wygodnie. Czas na drzemkę.

Siadamy na zielonej ławce ustawionej przy płocie. Inni właściciele i wyprowadzacze obsiedli pozostałe, opalając się i rozmawiając. Wiatr wieje od nas, więc nie czujemy przykrych zapachów.

– I co? Myślisz, że dasz sobie z nim radę? – pyta Keller, zamykając oczy i wystawiając twarz do słońca.

Mogę bezkarnie podziwiać jego urodę. Prawie zapomniałam o drugim Kellerze podobnym do ogra ryczącego na wieśniaków, ilekroć wleżą na jego bagna.

Milczę, bo nie wiem, co odpowiedzieć. Naturalnie uważam, że poradziłabym sobie z Redbullkiem, lecz choć nie lubię swojej pracy, zmiana zawodu nie wchodzi w grę. Na razie nie zamierzam się poddać, z drugiej strony jednak Keller stanowi dla mnie nieodpartą pokusę. A gdyby tak odejść z redakcji i codziennie wyprowadzać do parku jego psa?

– Jak wspomniałem podczas rozmowy telefonicznej, bardzo mi ciebie poleciano, więc bez obaw powierzam ci Redbullka. Wiem, że jesteś rozrywana, ale chodzi tylko o trzy dni w tygodniu. Nie musisz spacerować z nim godzinami. – Wybuchła śmiechem. – Jak widzisz, i tu, i w domu mój leniuszek tylko się wyleguje.

Słuszna uwaga, ale nie do końca. Redbullek śpi, leżąc na boku, ale tu ma towarzystwo. Przysunął się do niego kundelek, mieszaniec collie i golden retrievera. Zachowują się spokojnie.

– Muszę, rzecz jasna, zajrzeć do mojego harmonogramu – odpowiadam wymijająco, zadowolona, że dzięki jego uwadze mam się czego ucześcić. – Chyba znajdę wolną godzinę, ale teraz nie obiecuję niczego, bo najpierw muszę się upewnić.

To jest właściwa odpowiedź. Keller promienieje.

– Bardzo słusznie.

– Co się stało z Adamem? – mówię, przerywając milczenie.

Mam świadomość, że teraz jest odpowiedni moment, aby powiedzieć prawdę, lecz nie chcę przerywać tego sam na sam. Nie siedziałam nigdy w cudowny letni dzień na wybiegu dla psów obok przystojnego mężczyzny, który zna zasady obowiązujące troskliwego rodzica. Może taka chwila już się nie powtórzy?

Rozmówki mieszczuchów z prowincji

Maja mieszka w budynku zwanym Future, który ma trzydzieści pięć pięter i srebrzystą fasadę. Stoi na rogu Trzydziestej Alei i Trzydziestej Drugiej Ulicy i przypomina futurystyczne obrazy przedstawiające sceny z życia nowoczesnej rodziny odzianej w plastikowe kombinezony i osiadłej na Marsie w dwudziestym pierwszym wieku. Future jest prototypową, eksperymentalną wspólnotą przyszłości. Ta wizja zafascynowała Maję, która uwielbia kicz w każdej postaci. Idąc do kina, minęła ten budynek i od razu straciła głowę. Inni ludzie zakochują się od pierwszego wejrzenia w kamienicach na Bedford albo wieżowcach na zachód od Central Parku. Maja potrzebuje fasady ze szkła i stali, holu jak z filmu s. f. i logo z hasłem „future” wypisanym czerwonymi literami rodem z archaicznych programów komputerowych.

Czynsz za dwupokojowe mieszkanie w tym budynku nie należy do niskich, więc Maja dzieliła je ze współlokatorkami. Różnie trafiała: raz lepiej, raz gorzej. Wszystkie miały własny kąt za prowizorycznym przepierzeniem, łatwym do ustawienia i rozmontowania.

Salon w kształcie litery L łatwo podzielić na dwa niekrępujące pomieszczenia, więc Maja bez skrupułów brała pieniądze za wynajem.

Mieszka na granicy dwóch dzielnic. To prawie Gramercy, lecz nie Murray Hill. Trudno tam dojechać, szczególnie z Upper West Side. Dostałam od niej maile z dokładnym opisem trasy i wykazem pociągów, ale ze zdziwieniem odkryłam, że nie ruszają z Times Square. Przyjechałam na kolację z półgodzinnym opóźnieniem, ściskając żaloszny pęk więdnących żonkili. Chciałam przynieść wino, ale nie mogłam znaleźć sklepu monopolowego, więc zrezygnowana kupiłam bukiet kwiatów w koreańskim warzywniaku. Po chwili zastanowienia odrzuciłam pomysł, żeby nabyć w supermarkecie dwunastoprocentowego bełta. To byłaby znacznie większa kompromitacja niż przyjęcie w odwiedziny z pustymi rękami.

Maja otwiera drzwi w ochronnych rękawicach i starym fartuchu matki. Wita mnie nadzwyczaj wylewnie i popycha do swojej sypialni, gdzie mam zostawić plecak. Pokoik jest nieduży, a najwięcej miejsca zajmuje łóżko (podwójne) i toaletka (kilka skrzynek ustawionych jedna na drugiej i połączonych taśmą klejącą). Ściany są gołe, białe, gładkie; przy wezglowiu bezładny stos tanich książek; ubrania na metalowych wieszakach zwisają z drzwi, bo nie mieszczą się w wąskiej garderobie. Obok łóżka pochłapana farbą, znaleziona na śmietniku składana drabinka służąca jako nocny stolik. Oprawione w ramki zdjęcia rodziny – matki, ojca, braci, dziadka Harry’ego – stoją przy budziku.

Bałaganiarska, niedokończona, prowizoryczna sypialnia ostro kontrastuje z wyjątkowo starannie urządzonym salonikiem. Maja nie ograniczyła się do buszowania po wyprzedazach i pchlich targach w poszukiwaniu wymarzonych sprzętów, ale urzeczywistniła tu swoją koncepcję wystroju wnętrza. W rezultacie stworzyła przerażająco sterylne pomieszczenie jak z reklamy markowych odkurzaczy. Strach dotknąć czegokolwiek, ponieważ na lśniących meblach zostają ślady paluchów jak niemy wyrzut. Trzeba było włożyć białe rękawiczki do łokci!

Wsuwam głowę do kuchni, proponując Mai pomoc. Dostaję plik lnianych serwetek i zostaję wysłana do salonu, gdzie mam się wziąć do roboty. Zwijanie serwetek i umieszczanie ich przy nakryciach nie jest moim ulubionym zajęciem. Oczekiwałam innego zadania, lecz na razie zadowolam się tworzeniem niezwykłych dzieł o wachlarzowatym kształcie, podobnych do abstrakcyjnych łabędzi. Małe stoliki zostały dziś ustawione w prowizorycznej sypialni współlokatorki. Była nią do niedawna drobna Hinduska zatrudniona jako kierowniczka piekarni w najlepszej francuskiej restauracji na Manhattanie, ale ta miła osóbką wróciła niedawno do rodzinnego miasta na Goę, zabierając Mai tysiąc pięćset dolarów. Otworzyła adresowane do niej koperty, wyjęła czeki i przelała pieniądze na swoje konto. Maja przygębiona dwiema poważniejszymi klęskami, czyli utratą agentki i chłopaka, machnęła ręką na tę kradzież. Oburzała się tylko, że Vandana, składając rzekomo w jej imieniu bankową dyspozycję, zrobiła błąd ortograficzny – Zajmuję się korektą. Jestem profesjonalistką – perorowała. – To skaza na moim zawodowym wizerunku.

Współlokatorka odeszła w siną dal, więc Maja postanowiła zaprosić gości na kolację. Chwilowo uwolniona od konieczności dzielenia lokum z drugą osobą chce sobie przypomnieć, jak to jest, gdy człowiek kładzie się spać, zostawiając w zlewie górę brudnych naczyń, baluje do czwartej rano, zestawia pośrodku salonu trzy stoliki. Nim przed dwoma laty rozstałam się na dobre ze swoją współlokatorką, także świętowałam, ilekroć miałam całe mieszkanie tylko dla siebie.

Po stole sunie już siedem lnianych łabędzi, więc nie mam pretekstu, żeby się alienować, i muszę włączyć się do prowadzonej w salonie towarzyskiej konwersacji. Koleżanki Mai ze szkoły średniej są całkiem sympatyczne. Sophie, Beth, Tina i Michelle (od najwyższej do najniższej, bo same tak się zawsze ustawiają) to milutkie blondynki, które niby wiedzą, jak się należy zachować, ale brak im wycucia i dlatego zyskują sympatię ludzi o poglądach i manierach królowej Elżbiety II. Czuję się przy nich nieswojo. Rozmawiają zwykle o pracy w mieście i weekendowych wyjazdach. Sypią nazwiskami, które nic mi nie mówią, z taką nonszalancją, jakby dla zabawy przerzucały się skorupkami orzeszków pistacjowych. Pani Frothingham-Smythe, bez wątpienia lwica salonowa Greenwich, w Nowym Jorku jest nie na miejscu, więc anegdota o szokującym zachowaniu jej syna (odmawia, gdy Ashley Bennett proponuje mieszanego debła) tracą swój ciężar gatunkowy. Tłumię ziewanie i zerkam na drzwi do kuchni, marząc, aby Maja wyjrzała stamtąd i oznajmiła, że potrzebuje pomocy, bo musi poćwiartować dorodnego cielaka.

Siedzę obok Grega, narzeczonego Beth, małomównego przystojniaka, którego życie wewnętrzne jest dość problematyczne. Jego spojrzenie jest zwykle puste i bezmyślne; trudno podejrzewać, że w takich chwilach Greg zastanawia się nad detalami konstrukcyjnymi ośmiosilnikowego hydroplanu dla marynarki wojennej.

– Co u ciebie, Vig? – pyta, dowodząc, że pamięta moje imię. Parę razy widzieliśmy się u Mai, lecz po raz pierwszy zwraca się bezpośrednio do mnie.

Już mam odpowiedzieć, ale siedząca przy mnie Beth przerywa mrozącą krew w żyłach opowieść o pasemkach Edny McCarthy (istna zebra!) i mówi:

– No właśnie, co u ciebie, Vig?

W jej głosie brzmi ton szczerzej troski, ale nie daję się nabrać. Pyta o moje sprawy, bo przeczytała w podręczniku savoir vivre'u, że to należy do dobrego tonu, więc chce być równie uprzejma jak miłkliwy narzeczony.

– Wszystko w porządku. W redakcji mam sporo pracy – odpowiadam, jakbym rozmawiała z wujami i ciotkami widywanymi tylko na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. – A ty jak się masz?

Zwracam się do Grega, który nie odpowiada. Tak długo jest z Beth, że oduczył się otwierania ust, oddychania pełną piersią, a nawet myślenia. Zna zasady i wie, że nie warto zaprzętać sobie głowy takimi drobiazgami.

– Greg zdradzi wam cudowną nowinę. – Beth na moment zawiesza głos, żeby mnie przygotować. – Awansował w swojej firmie. Masz przed sobą nowego zastępcę dyrektora do spraw sprzedaży.

– Gratulacje – mówię, chociaż takie stanowisko wydaje mi się dość problematyczne i chyba niewiele znaczy.

– Dzięki. – Beth promienieje. – Jesteśmy tacy szczęśliwi. Na to właśnie czekaliśmy. Teraz możemy wziąć się do szukania domu.

– Och, gdzie zamierzacie szukać? – pytam zgodnie z oczekiwaniami, chociaż znam odpowiedź.

Chcą zamieszkać w odległości pięciu minut od jej matki. W grę wchodzi Riverside, Cos Cob, Old Greenwich.

Beth trajkocze, mówiąc to, czego się spodziewałam. Jedyną podkreconą piłką jest Westport (przecież Martha się wyprowadziła!). Spoglądam na Grega, którego twarz pozbawiona – wszelkiego wyrazu kojarzy mi się w tej chwili z pyszczkiem złotej rybki, tępym wzrokiem patrzącej na świat po drugiej stronie kulistego akwarium. Wyskakuj, myślę sobie, wyrwij się stamtąd i odetchnij świeżym powietrzem. Ale nie będę się wtrącać. Lepiej się nie mieszać w sprawy, o których nie mam zielonego pojęcia. Całkiem możliwe, że świeże powietrze zaszkodziłoby delikwentowi.

Rozmowa schodzi na tematy niezbyt zajmujące dla grupy społecznej, z którą się identyfikuję (samotne dziewczyny w wieku od 18 do 35 lat). Goście Mai dyskutują o kredytach ze stałym oprocentowaniem, rankingu szkół, podatkach od nieruchomości, więc przepraszam i wychodzę. Nie jestem w stanie tego słuchać, choć uprzejmość nakazuje okazać nieco zainteresowania.

W kuchni Maja trze żółty ser.

– Jak tam? – pyta, posypując serowymi wiórkami tarte ze szparagami, która ma być na przystawkę.

– Twoi znajomi prowadzą bardzo poważną dysputę na temat dobrych szkół. Beth cytuje statystyki dotyczące biegłości w czytaniu oraz liczby absolwentów studiujących na dobrych uczelniach. Ja wymiękłam – mówię i opieram się o blat, spoglądając na zapracowaną Maję.

– Na pewno nie chcesz, żebym ci pomogła?

– Proszę bardzo, możesz leciutko doprawić sałatę.

– Wręcza mi pieprzniczkę. – Wiem. I mnie to czasem dopada. Własny dom,

oszczędnościowy system grzewczy... Te klimaty. Ale się na tym nie wyznaję – mruczy, wsuwając tarte do piecyka.

– Nie w tym rzecz – przekonuję, choć praktycznie trafiła w sedno... przynajmniej częściowo. – Nie kręci mnie dom na przedmieściu, z ekonomicznym ogrzewaniem gazowym, ani standardowy trawnik, ani duma z posiadania gościnnego pokoju. Za własną podłogę i życiową przestrzeń, jak za wszelkie inne dobra, trzeba czasami płacić zbyt wysoką cenę. Dręczy mnie jednak zawiść, bo tamci dokładnie wiedzą, czego chcą. Zazdroszczę im śmiałej wizji. Ci ludzie są jak monolity. Nie mają cienia wątpliwości.

– O co ci chodzi?

Cokolwiek robię, nie znam miary, więc zamiast lekko przyprawić sałatę, nader obficie posypuję ją pieprzem. Wybieram listki, które najbardziej pociemniały, zdejmując prawie całą górną warstwę, i gdy Maja nie patrzy w moją stronę, wyrzucam je do kubła na śmieci, a potem mieszam sałatę łyżkami z pomarańczowego plastiku.

– Trudno powiedzieć. Chyba imponuje mi ich niezachwiana pewność. Mają jasną wizję przyszłości. Wiedzą, czego chcą – tłumaczę, myśląc głośno – i urzeczywistnią swoje plany, nie przemęczając się zbytnio myśleniem.

– Chcą być tacy, jak ich rodzice, ale nie są tego świadomi. – Maja ma w tej kwestii własne zdanie. Sprawdza, jak sobie poradziłam z doprawianiem sałaty, wyciera ręce pasiastą ścierką i sięga do szafki po butelkę czerwonego wina. – Wytrzymałaś ponad pół godziny – zauważa, nie bez pewnego wysiłku odkorkowując cabernet sauvignon. – Sądziłam, że znacznie wcześniej przyjdiesz do kuchni.

Maja lubi znajomych ze szkoły, ale nie jest w stanie długo z nimi przebywać, bo nachodzą ją myśli samobójcze. Powybiali sobie obrzydliwie podobne zawody: urzędnicy bankowi, prawnicy, agenci ubezpieczeniowi, księgowi.

– Świat ma jedną wadę: z dzieci mu rosną nudziarze – powiedziała kiedyś, gdy piłyśmy martini, rzecz jasna, wstrząśnięte.

Poszłyśmy do Soho i siedziałyśmy w barze hotelu Grand, takie malutkie wśród ogromnych cieni, skąpane w złocistym świetle.

– Tak – przyznałam, chociaż wydawało mi się, że dałoby się wymienić znacznie więcej wad tego świata.

– To cytat z wiersza – tłumaczy – który przypomina mi zawsze o znajomych z liceum.

Me można pozwolić, aby dusze młode tłumiono, nim narobią głupstw i raz na zawsze w dumie swej okrzepną.

Świat ma jedną wadę: z dzieci mu rosną nudziarze jak woły żałośni, z oczyma bez blasku, a powieki ciężkie.

Nie chodzą głodni, lecz giną z głodu, bo im brak marzeń.

Nie sieją sami, więc się im nie zdarza obfite żniwo.

Czci nie oddają, bogów nie uznając godnych uczczenia.

Śmierci nie znają, ale w gruncie rzeczy mrą niczym muchy.

– Nie jest z nimi tak źle – mówię teraz o jej znajomych, myśląc, jak łatwo jest umrzeć z braku marzeń.

Maja wybucha śmiechem, bo zakłada, że staram się być uprzejma. Nalewa wino. Ale tamte słowa nie były zwykłą uprzejmością. To nie dobre wychowanie podsunęło mi odpowiedź.

Rzecz w tym, że znajomi z dzieciństwa i wczesnej młodości są oznaką ciągłości, łączą nasze kolejne wcielenia i dlatego warto się ich trzymać. Podtrzymujemy te znajomości i jesteśmy szczerze przywiązani do dawnych kumpli, choć niekiedy działają nam na nerwy. Nowy Jork tak się ma do Greenwich jak Galapagos do ekwadorskiego interioru. Dzieli je otchłań, a na jej brzegach przez lata ukształtowały się odmienne języki.

Ramowy szkic: 19 sierpnia – zbawienny kuksaniec

– Kuksaniec? – wypytuję, mrużąc oczy, żeby się upewnić, czy dobrze przeczytałam.

Maja dała mi na własność egzemplarz przewodnika po swoim nowym życiu. Zastosowała najmniejszą czcionkę i na pięćdziesięciu stronach związanych cienką niebieską wstążeczką szczegółowo wypisała dezyderaty na najbliższe trzy miesiące. W efekcie powstał gruby tomik wydrukowany drobnym maczkiem jak oksfordzki słownik języka angielskiego. Da się go czytać tylko przez lupę.

– Co to jest? – zapytałam wówczas, gdy podała mi te kretyńskie zapiski.

– Wersja kieszonkowa. Jesteś moim patronem medialnym – odparła takim tonem, jakby mówiła rzeczy oczywiste.

– Twoim patronem?

– Naturalnie. Masz pilnować, żebym trzymała się harmonogramu – wyjaśniła, jakbym zawsze miała nadzór nad jej poczynaniami. – Błądzą po manowcach niczym alkoholik, więc opracowałam dla siebie dwanaście kroków, żeby wszystko naprawić. Jeśli uznasz, że zbaczam z prostej drogi, daj mi kuksańca.

Zgadzam się objąć nad nią patronat, bo nie sądzę, żeby długo wytrzymała. Za tydzień znudzą ją żelazne zasady oraz poczucie odpowiedzialności i zaczną szukać innej drogi. Taka jej zmienna natura. Znamy się od dwunastu lat i w tym czasie wiele razy słyszałam, że od dziś zaczyna nowe życie.

– O co chodzi z tym zbawiennym kuksańcem? – pytam, kładąc na stole zapiski, bo kieszonkowa wersja nie mieści się w kieszeni.

Zabieram się do zmywania. W maleńkiej kuchence blatów jest niewiele, więc z braku miejsca brudne naczynia stoją na podłodze. Maja chętnie zostawiłaby je do rana, ale dla mnie to nie do pomyślenia. Całą noc nie zmrużyłabym oka, myśląc o bakteriach mnożących się na resztkach jedzenia. Wstawiam do zlewu stos miseczek po sałatkach.

– Dobrze wiesz, czym jest kuksaniec – mówi, patrząc na mnie z jawnym niezadowoleniem.

To jej dom, ona urządziła imprezę, więc musi być teraz wściekła, choć pozwoliła, żebym wzięła się do zmywania. Zeskrobuję kciukiem zaschnięty ser, więc prychnie z oburzeniem. Wszystko, co robię, traktuje jako przytyk.

– Odsuń się. – Odpycha mnie na bok i wkłada żółte rękawice. – Sama pozmywam.

– Znam słowo „kuksaniec”. Spogląda na mnie z odrazą i mówi dalej:

– Ponieważ straciłam agentkę i wygląda na to, że mogę się pożegnać z myślą o znalezieniu nowej...

– Nie bądź śmieszna. Nawet nie zaczęłaś szu...

– Aha. Dziewiętnasty sierpnia – przerywa Maja i unosi dłoń w żółtej rękawicy.

Gada bez sensu, więc przez moment gapię się na nią.

– Proszę?

– Ramowy szkic, dziewiętnasty sierpnia. Znajduję w tomiku stosowny zapis i czytam

głośno:

– Pora stawić czoło rzeczywistości.

– Zgadza się – potakuje Maja. – A sytuacja jest taka, że nie mam agentki i prawdopodobnie już nigdy innej nie znajdę. Powinnam to przyjąć do wiadomości. – Polewa gąbkę niebieskim płynem do mycia naczyń. – Tak się składa, że cztery dni temu pogodziłam się z faktami. Teraz stoją przede mną nowe wyzwania.

– Maju, znajdziesz w końcu no...

– Dość! – woła, unosząc rękę jak policjant kierujący ruchem. – W tym domu nie ma już miejsca dla niszczącego osobowość optymizmu, ostatecznie się tylko bezwzględny cynizm złagodzony rozpaczą.

– Brzmi okropnie – powiedziałam, zde gustowana. W zamian za rzeczową ocenę i szczerą zostaję obdarzona karcącym spojrzeniem.

– Vig, patronujesz temu przedsięwzięciu. Albo mnie wspieraj, albo pozwól, żebym się zwróciła do kogoś innego.

Obie sugestie są nie do przyjęcia, więc zmieniam temat.

– Tłumaczyłaś, o co chodzi z tym kuksańcem.

– Owszem. Skoro nie mam agentki i prawdopodobnie nigdy innej nie znajdę, więc na wypadek gdyby nie udało mi się zostać sławną pisarką, trzeba zastanowić się nad wyborem nowego zawodu dającego prawdziwe zadowolenie. Nie mogę do końca życia być korektorką.

Korekta należy do owych nudnych zajęć, którymi na szczęście obarcza się innych, nie mnie. Nic dziwnego, że Maja chce się od niego uwolnić. Redaktorzy traktują korektorów jak zło konieczne. Podobnie kierowcy reagują na korki w drodze na letni wypoczynek. Jestem zdziwiona, że Maja tak długo wytrzymała w tym zawodzie.

– Co zamierzasz robić? – mówię.

Sama każdego ranka po przebudzeniu zadaję sobie to pytanie, lecz odpowiedź stale mi się wymyka. Nie mam pojęcia, czym chcę się zajmować. Trudno powiedzieć, jakie zajęcie będzie mi odpowiadało, gdy wreszcie dorosnę, więc z roku na rok odwlekam decyzję, tkwiąc w redakcji „Stylu i Blasku” i łudząc się nadzieją, że pewnego dnia doznam olśnienia. Maja jest inna. Zawsze zna odpowiedź. Teraz wydaje mi się niesprawiedliwe, że myśli już o realizacji drugiego pragnienia, podczas gdy ja nie mam bladego pojęcia, jakie ma być moje pierwsze marzenie.

– Na razie analizuję możliwości. Po trzydziestym sierpnia powinnam wiedzieć, więc bądź tak dobra i najpóźniej dwudziestego ósmego podrzuć mi swoje pomysły.

Przy zlewie stoi już mnóstwo umytych talerzy, nie licząc miseczek i rozmaitych kuchennych drobiazgów, więc sięgam po ścierkę. Nie wiem, gdzie schować wytarte naczynia, więc po kolei otwieram szafki, żeby na oko zorientować się, gdzie *co* stoi.

– Na razie – ciągnie Maja – zamierzam się wprawiać, pisząc artykuły do czasopism. Tu będzie mi potrzebny kuksaniec. Muszę śmiało wybierać tematy. Czekanie, aż zostaniesz naczelną i zaczniesz zamawiać u mnie teksty, najwyraźniej się nie sprawdziło.

– Nie miałam pojęcia, że tak ci zależy na moim awansie – mówię, trzymając w ręku zielony durszlak. Zaglądam do szafek, próbując sobie przypomnieć, gdzie leżą plastikowe

pojemniki. To zajęcie przypomina grę w ciepło-zimno. Niestety, przegrywam.

– Dla jakich pism zamierzasz pracować?

– Najlepiej byłoby zacząć tam, gdzie robię korekty, bo znam ludzi.

Maja współpracuje przede wszystkim z kobiecymi magazynami takimi jak „Glamour”, „Cosmopolitan”, „Marie Claire”, a ich krąg zainteresowań jest ograniczony. Wybór tematów niewielki: seks, związki, uroda i zdrowie. Nie wyobrażam sobie, żeby Maję zaciekały takie sprawy.

– Jesteś świadoma, że będziesz musiała pisać o wolnych rodnikach i dziesięciu powodach, dla których twój mężczyzna powinien się zmienić?

– Faceci uważają, że w ogóle nie potrzebują zmian.

– Ramowy szkic, dziewiętnasty sierpnia. – Celuję w nią szpatułką. – Przestań myśleć samodzielnie.

– Wcale mi nie pomagasz – marudzi, płucząc czerwono-zielonożółty talerz. U Mai niemal wszystkie naczynia pochodzą z targów staroci i sklepów ze starzyzną rozsianych po całym kraju. Każdy talerz jest inny, lecz na wszystkich są ładne motywy kwiatowe.

Jestem pomocna, nawet bardzo. Tego właśnie ode mnie chciała: cynicznego i trzeźwego spojrzenia.

– Posłuchaj, nawet jeśli zdołasz pozbyć się korektorskiej etykiety, a wcale nie mam pewności, że ci się to uda, w tamtych redakcjach zostaniesz zaszufładowana, i to raz na zawsze. Przez tę monotonię umrzesz z nudów. Dobrze cię znam, Maju. Test kremów z filtrem przeciwsłonecznym nie jest dla ciebie dostatecznym powodem, żeby rano zwlec się z łóżka. Tematy poruszane w kolorowych czasopismach są błahe, nudne, jałowe i nadęte, więc z dwojga złego lepiej, żebyś się wzięła do komentowania notowań giełdowych w branżowym okresie – odpowiadam, mocno zirytowana.

Pozory mylą, a choć prasa popularna goni za sensacją, nasze newsy to szarawa papka. Maja żyje w technicolorze. Przypomina obrazy Matisse’a i weneckie szkło.

Nie w smak jej moja tyrada, więc zirytowana wyładowuje złość na trzepacze do ubijania sosów, która po umyciu jest okropnie powyginana.

– Na początek dobre i to – tłumaczy, gdy w końcu udało jej się nad sobą zapanować. Rzuca sfatygowaną trzepaczkę na suszarkę do naczyń. – Muszę po prostu od czegoś zacząć. Dam sobie kuksańca, zmuszę się do wysiłku, napiszę kilka artykułów do czasopism kobiecych, więc będę miała pewien dorobek, wyrobię sobie nazwisko i zacznę uchodzić za młodą, zdolną i świetnie zapowiadającą się autorkę, która nawet wyjątkowo nudne tematy potrafi uczynić zajmującymi, a wtedy będę mogła przebierać w ofertach. Kilka liczących po sto słów notatek na temat rankingu ochronnych kremów z filtrem UVA i UVB to umiarkowana cena za taki sukces. Potrzebuję tylko świadomego przyspieszenia, a wszystko będzie dobrze – zapewnia spokojnym głosem, jakby przekonywała mnie, a nie siebie. – Sama zobaczysz.

Wcale nie jestem tego pewna, ale milczę. Sięgam po kieliszek do wina i wycieram go starannie wilgotną bawełnianą ściereczką.

Maja jest absolutnie pewna, że życiowe zmiany narastają jak kręgi na wodzie

spowodowane błahą przyczyną. Dla niej sukces jest niczym śniegowa piguła, która może się przekształcić w lawinę zmieniającą wszystko dookoła. Ale w życiu inaczej się układa. Linie lotnicze oszczędzają miliony, ujmując z porcji każdego pasażera pierwszej klasy po jednej oliwce, ale zwykły śmiertelnik nie ma lekko, bo w naszej rzeczywistości ilość nie przechodzi w jakość.

Narodziny pomysłu

Dzwonek komórki Rogera to piosenka z mało znanego szwedzkiego serialu dla dzieci, który w latach siedemdziesiątych szedł przez dwa lata. Roger Childe jest przerośniętym chłopaczkiem, ale na Szweda nie wygląda. Gdy raz poszliśmy we troje na kolację, przez cały wieczór prezentował nam możliwości swojej komory, uporcezywie odtwarzając kretyńską melodyjkę. W końcu para siedząca przy sąsiednim stoliku uprzejmie poprosiła, żeby przestał. Zakłopotana Maja nie wiedziała, gdzie oczy podziać, ja kuliłam się ze wstydu, a Roger przez cały wieczór odbierał telefony albo perorował z pełnymi ustami na temat upadku dobrych obyczajów. Wygląda na to, że niektórzy ludzie nigdy ich nie nabrali.

Słyszę teraz znajomą melodyjkę i przechodzi mnie dreszcz. W salach muzealnych kłębi się tłum. Latem pełno tutaj zdyszanych turystów ze śmiesznymi plecakami. Wiem, że jeśli się odwrócę, moim oczom ukaże się ten głupek stojący naprzeciwko „Portretu mężczyzny” oraz „Portretubrodacza”. Jestem w sytuacji bez wyjścia. Zamieram w bezruchu jak lampart w wysokiej trawie.

Łudzę się, że pozostanę niezauważona, a Roger minie mnie i pójdzie dalej, lecz nie mam żadnej osłony. Jestem w jasnoniebieskiej letniej sukience, więc między obrazami dawnych holenderskich mistrzów wyróżniam się niczym latarnia morska.

– Vig, kochanie – mówi Roger, więc się odwracam.

Nie chodzi już z Mają, a zatem nie ma powodu, żebym mu okazywała serdeczność. Patrzę na niego z jawnym obrzydzeniem, gdy podnosi rękę, wskazując telefon na znak, że zaraz skończy rozmowę. Też coś! Nie po to przyszedłam do muzeum, żeby ustawiać się w kolejce do Rogera Childe’a.

Macham ręką ku sąsiedniej sali i odchodzę zgodnie z kierunkiem zwiedzania. Instykt podpowiada mi, że powinnam umknąć z budynku, ale znajduję sobie osłonę w postaci dwojga niemieckojęzycznych turystów podziwiających obraz Rembrandta. Obok mnie jakaś kobieta śmiałą kreską robi szkice węglem. Podziwiam jej dzieła. Ja również rysuję prościutkie szkice, używając ołówka numer dwa. Brak mi wprawy, bo pierwszy raz wzięłam się do tego, więc ołówek porusza się opornie, ściskany sztywnymi palcami, które chwilami zawodzą. Czuję się niepewnie i głupio, ale nie zamierzam ulec negatywnym emocjom, które tłumią mój zapał.

Przyszedłam tutaj, bo też chcę zaistnieć w technicolorze. Wczoraj wieczorem doznałam olśnienia, gdy pomstowałam na kuksańce, brudne gary i pozostawione na podłodze naczynia. Nie chcę już pisać o głupstwach, bo tak trzeba. Mnóstwo jest tematów ciekawszych niż porady dotyczące najlepszej wybielającej pasty do zębów.

Na przykład kolekcja Pietera van Kessela, młodego holenderskiego projektanta mody, śmiało czerpiącego inspirację do swoich projektów z Rembrandta i Fransa Halsa. Jesienny pokaz był fantastyczny. Wciąż miałam przed oczami tamte stroje, a do głowy przychodziły mi buntownicze myśli dotyczące mojej sytuacji. Tłumiłam je, rzecz jasna; bez litości miażdżyłam obcasami, bo młodzi zdolni projektanci nie mają wzięcia w naszym piśmie. Nie dla nas wschodzące gwiazdy, przynajmniej dopóki w redakcji rządzi Jane.

Coś się we mnie przełamało, więc ponownie zapaliłam się do naszego superplanu, co oznacza, że pójdę do Kellera, postaram się go ułagodzić na tyle, aby przystąpił do spisku. Będę też zbierać materiały, co zapewne na nic się nie zda, ale trzeba ostro wziąć się do roboty. Trudno mi uwierzyć w te kusańce i świadome przyspieszenie Mai, z drugiej strony jednak nie można czekać, aż wszystko zostanie podane na srebrnej tacy. Należy robić to, na co mamy ochotę. A ja chcę pisać o Kesselu. Marzy mi się spotkanie i wywiad „oraz artykuł na temat jego kolekcji. Pragnę zaprezentować narodziny gwiazdy, zanim inni ją odkryją i zlecą się tłumnie, żeby podziwiać i klaskać.

Chwila zamyślenia ma fatalne następstwa. Gdy kontemlowałam cudowną kreskę rysowniczką i marzyłam o świetlanej przyszłości, niemieckojęzyczna para ruszyła ku następnemu obrazowi, pozbawiając mnie osłony.

– Vig – mówi Roger, najwyraźniej niezrażony moim taktycznym odwrotem. Skończył już rozmowę i schował komorę. Trzyma za rękę rudą ślicznotkę w obcisłej skórzanej kiece. Jest odrażającym kretyńcem, który wymyśla śmieszne ksywy dla seryjnych morderców i podgląda dziewczyny, kiedy są w łazience, ale nie sądziłam, że kręca go takie laski odziane w skórę. Zawsze nosił gustowne marynarki.

Roger jest średniego wzrostu. Ma również chroniczny trądzik, który nasila się wraz z postępującą łysiną. W miarę jak ubywa włosów, tyraliera przyszczy stopniowo anektuje tę ziemię niczyją, lecz odwrót czupryny jest szybszy od natarcia trądziku. Nie pomagają żadne maści. W towarzystwie Mai i Rogera zawsze czułam się skrępowana, bó ten kretyń upija się na smutno, milknie i strasznie marudzi.

– Przepraszam, Vig, że nie zastopowałam – mówi, całując mnie w policzek. Gdy chodził z Mają, nie szafował serdecznymi gestami ani czułymi słówkami. – Dokopałam się do ważnych informacji. Bardzo miłusia rozmówka.

Roger traktuje język dość nonszalancko i nagina słowa do swego widzimisię. Stosuje neologizmy, zmienia znaczenie wyrazów oraz ich funkcję. Sądzi, że twórczo przekształca angielski, lecz prawda jest taka, że mówi bzdury.

– Vig, kochanie, przedstawiam ci Antheę – dodaje, wskazując dziewczynę, która ma oczy wielkie i okrągłe jak postaci z japońskich kreskówek.

– Cześć, jestem Vig Morgan. – Podaję jej rękę.

Po chwili namysłu świta jej nareszcie, o co chodzi. Wyciąga dłoń i ściska moją bezwładnie. Mam wrażenie, że dotykam zimnej ręki trupa.

– Cześć.

– Vig jest przyjaciółką Mai.

– Aha – mówi Anthea z taką niechęcią, że od razu wiadomo, co myśli o jedynej Mai, którą zna: nawiedzona suka, była dziewczyna jej chłopaka.

– Vig jest redaktorką pisma „Styl i Błask” – dodaje Roger, uzupełniając pakiet informacji.

– To musi być super. – Anthea wyraźnie się ożywia.

– Owszem – przytakuję, bo istotnie tak powinno być.

– Anthea pracuje w sklepie przy Dwudziestej Drugiej, który nazywa się DeMask. Słyszałaś o nim?

DeMask to seksshop z nadzwyczaj bogatą ofertą: od nadmuchiwanym lal o wiadomym przeznaczeniu do męskich pasów cnoty. Nie znam szczegółów, bo tam nie byłam, ale widziałam ich reklamy w „Village Voice”.

– DeMask, czyli maska, prawda? Chyba nie znam tego sklepu. Macie akcesoria teatralne? Sprzedajecie kostiumy?

Roger jest oburzony moją ignorancją, natomiast Anthea chichocze.

– W pewnym sensie – mówi i tłumaczy dalej: – Nasze gadzety urozmaicają... grę. Jeśli będziesz w potrzebie, wpadnij do nas. Cały latex sprowadzamy z Europy.

– Naprawdę? – Ta dziedzina mało ma wspólnego ze światem mody, więc nie czuję się kompetentna, ale wiadomo mi, że wszystko, co europejskie, dobrze się sprzedaje.

– Tak, współpracujemy z hurtowniami w Niemczech i w Amsterdamie.

Roger nie jest zadowolony, że tak sobie przyjaźnie gawędzimy. Nie ma ochoty podtrzymywać konwersacji, skoro DeMask stał się niespodziewanie uroczym butikiem z efektownym odzieniem sprowadzanym ze Starego Świata. Spogląda niecierpliwie na zegarek.

– Zrobiło się późno. Anthea i ja spadamy. Czekają nas kolejny przystanek. Musimy tam lecieć. – Obejmuje ją, a następnie pochyla się, żeby pocałować mnie znowu w policzek. Tym razem jestem na to przygotowana i odwracam głowę, więc cmoknął tylko powietrze. – Milusio, że cię spotkałem. Wyciskaj ode mnie Maję.

Oczy mu błyszczą, gdy spogląda na mnie z tryumfem. Spodziewa się, że pogalopuję natychmiast do jego byleż, z którą rozstał się cztery dni temu, zdam relację z tego spotkania i opowiem, jaką fajną laskę sobie przygruchał. Łudzi się, że natychmiast doniosę Mai o bezpruderyjnej Anthei, ale się rozczaruje. Nie ma mowy. Zegnam się i wracam do opisywania arcydzieł mistrzów z Delft.

Pierwszy etap nadal trwa

Aleks Keller z groźną miną otwiera drzwi. Choć jest nadal zabójczo przystojny, teraz bardziej pasuje do mojej wizji aroganta i złoźnika, więc paradoksalnie nabieram pewności siebie. Na pewno zdołam wyjaśnić wczorajsze nieporozumienie.

– Kim jesteś? – rzuca podniesionym głosem. Nie zaprasza mnie do środka. Stoję w korytarzu, więc sąsiedzi mogą podsłuchiwać. – Dlaczego uwzięłaś się na mojego psa? Czemu chcesz go unieszczęśliwić. Co masz do mnie i do Redbulla? Jaką krzywdę ci wyrządziliśmy, że się na nas uwzięłaś?

Otwieram usta, żeby się usprawiedliwić, ale Keller nie pozwala mi dojść do słowa. Wścieka się, jest w swoim żywiole i nie da sobie przerwać.

– Zdajesz sobie sprawę, jak trudno jest znaleźć godną zaufania osobę, której można powierzyć wyprowadzanie psa? Wiesz coś o tym? Masz psa?

Zakładam, że podobnie jak poprzednia seria jest to pytanie retoryczne, więc milczę.

– No jak? Masz? – grzmi podniesionym głosem.

– Nie.

– Może kota?

– Nie.

– A rybkę?

– Nie.

– Zajmujesz się jakimkolwiek żywym stworzeniem?

– Nie.

– W takim razie nie masz zielonego pojęcia, na czym polega opieka nad zwierzęciem domowym i troska o nie. Jesteś nieświadoma, jaką krzywdę wyrzodziłaś, prawda?

– No tak.

– Zdajesz sobie sprawę, ile musiałem się natrudzić, żeby Kelly wyraziła zgodę na spotkanie? Jest okropnie zajęta, ale postanowiła się ze mną zobaczyć, bo prosił ją o to serdeczny przyjaciel. Zgodziła się przez wzgląd na niego, a kiedy przyszła na umówione spotkanie, nie zastała mnie tutaj. Wiesz, co zrobiła, kiedy okazało się, że wyszedłem? Zostawiła u portiera złośliwy liścik z informacją, że nie ma czasu na takie gierki, więc będzie zmuszona odmówić sobie tej przyjemności i nie przyjmie zlecenia na wyprowadzanie mego psa. Naigrawała się ze mnie i tyle.

Uświadamiam sobie, że nie chciałabym, aby moje psisko wyprowadzała baba, która traktuje spacer jako zlecenie, ale nie będę się na ten temat wypowiadać, bo jak mi przed chwilą uświadomiono, nie mam pod opieką żadnego stworzenia.

Keller bierze głęboki oddech, żeby ochłonać.

– Wybacz, ale nie mam dłużej ochoty przebywać w twoim towarzystwie. – Zamyka drzwi.

Keller od lat zachowuje się skandalicznie, więc nie wątpię, że wiele osób nakłuwają szpilkami podobne do niego laleczki wudu, a także rzuca klątwy i szepce zaklęcia, lecz nie

dam się potraktować jak zaraza, na skutek tych zabiegów nawiedzająca jego dom.

Pukam do drzwi z nadzieją, że wróci przynajmniej do przedpokoju i spojrzy przez wizjer. W ostateczności będę naciskać dzwonek w sposób ciągły. Przyszłam tutaj, żeby prosić o przysługę, i wołałabym nie zrażać Kellera do siebie jeszcze bardziej, ponieważ moja misja ucierpiałaby na tym. Z drugiej strony jednak dla sprawy jestem gotowa na wszystko. Mogę nawet stać w korytarzu aż do skutku, waląc pięściami w drzwi i wołając Kellera po nazwisku. Popelnię każde szaleństwo. Upadek Jane – jeszcze niedawno marzenie ściętej głowy, od dwóch tygodni piastowane przeze mnie na dnie serca – teraz jest upragnionym celem. Musi się spełnić.

Jakiś cień przesłania wizjer. Domyślam się, że Keller przytknął do niego oko, zasłaniając światło, więc przybieram pozę świadcząca o głębokiej skruszce: ramiona skulone, przepraszający wyraz twarzy, choć zdaję sobie sprawę, że mój obraz na małym szkiełku jest zmniejszony i zniekształcony.

– Chciałam przeprosić – mówię, bo wiem, że wszystko słychać przez cienkie drzwi. Sąsiedzi oglądają „Modę na sukces”, bo dobiega mnie głos Brook wołającej: Błagam!

Keller nie odpowiada, ale i nie odchodzi.

– Jest mi okropnie przykro, więc chciałabym się wytłumaczyć. Jestem zdruzgotana, że narobiłam zamieszania. – Nie mam pojęcia, jak powinna wyglądać osoba zdruzgotana, ale dla podkreślenia totalnej skruchy jeszcze niżej zwieszam głowę. – Błagam, uwierz mi. Nie chciałam unieszczęśliwić Redbullka – przekonuję, starając się bardzo, żeby moje wyznania brzmiały szczerze. Jestem niemal pewna, że nikt tu szczególnie nie ucierpiał, ale w tej fazie krytyczna uwaga byłaby dowodem głupoty. Postanawiam odłożyć na później dyskusje o potrzebach czworonoga i codziennej opiece nad nim. Trzeba będzie wrócić do tej sprawy i porozmawiać spokojnie, kiedy przekroczę próg.

Keller otwiera drzwi.

– Kim jesteś? – pyta spokojnie i rzeczowo. Nie muszę się obawiać, że usłyszą go wszyscy sąsiedzi.

– Mam na imię Vig – mówię, a potem kulę się, przygotowana psychicznie na grad przekleństw, których przyjdzie mi zaraz wysłuchać.

Zamiast bluźnić, Keller marszczy brwi.

– Vig? A nazwisko?

Noszę rzadkie imię. Mało prawdopodobne, żeby znał jakąś inną Vig.

– Vig Morgan. Pracujemy razem.

– Biuro „Walters i spółka”, tak? – Domyślam się, że dokonuje teraz szybkiego przeglądu znajomych twarzy, ale mojej nie ma wśród nich.

„Walters i spółka”? Ależ skąd!

– Nie, „Styl i Blask”.

– Aha – mruczy zakłopotany i rumieni się niespodziewanie. Doskonale wie, że jestem zaciekawiona, i zdaje sobie sprawę, że chętnie usłyszałabym coś więcej na temat biura „Walters i spółka”. Patrzy na mnie w milczeniu, zastanawiając się nad kolejnym posunięciem. W końcu otwiera szeroko drzwi i odsuwa się na bok. – Wejdz.

Pierwsza praca Delii

Aleks Keller niczym hrabia Almaviva jest krwio pijcą, próżniakiem i darmozjadem. Jak europejscy arystokraci żyje na koszt innych i sądzi, że wszystko jest w porządku.

– Od dwóch lat Delia redaguje kronikę towarzyską – wyznaje. – Robi wszystko: pilnuje kalendarza imprez, wymyśla koncepty, zaprasza agentów na obiady, zleca tematy dziennikarzom, pisze artykuły i notatki, akceptuje układ zdjęć i rubryk, podpisuje umowy, wybiera fotografie, redaguje teksty, ustala terminy, decyduje o kolejności publikowania tekstów.

– A ty nic nie robisz? – pytam, starając się uniknąć karcącego tonu. Próbuję ukryć święte oburzenie, choć czuję się tak, jakbym trafiła na ślad straszliwej afery korupcyjnej w sferach rządowych.

Keller wzrusza ramionami.

– Ja jej to umożliwiam.

– Nic więcej?

– Od czasu do czasu dla pozorów spotykam się z Lydią.

– Od czasu do czasu? – W moim głosie pobrzmiwa oburzenie. Co on gada? Nie opisuje pracy, tylko hobby, przyjemną rozrywkę bogatych próżniaków uprawiających je przez godzinkę, zaraz po obiedzie w hotelu Plaża, a przed wypadem po brylantową kolię od Tiffany’ego.

– Raz w miesiącu, czasem dwa.

– Delii to odpowiada?

Keller jest zaskoczony moim pytaniem, o czym świadczą wysoko uniesione brwi i zdumiony wzrok.

– Dlaczego miałyby być inaczej?

– Haruje za ciebie, a ty bierzesz pensję – odpowiadam, podkreślając aspekt sprawy, który moim zdaniem dla każdego powinien być oczywisty, lecz najwyraźniej się myślę.

– Ależ moja droga! – mówi pobłaźliwie jak polityk sugerujący, że poruszona przeze mnie kwestia w ogóle go nie interesuje. – Delia ma wolną rękę. Układa swój codzienny harmonogram i nie musi się do mnie dostosowywać. Dowolnie wydłuża przerwę obiadową, późno przychodzi do pracy, a wychodzi, kiedy zechce. Pracuje szybko i wydajnie, a nie musi przed nikim udawać, że jest strasznie zajęta, jeśli wcześniej upora się z robotą. Unika również kaprysów szefa tyrana. Nie każę jej parzyć kawy, rezerwować stolików w restauracji, odbierać moich rzeczy z pralni, siedzieć w redakcji do późnego wieczora w oczekiwaniu na telefon ani porządkować moich rachunków i podliczać wydatków.

Nie pozostaję obojętna na urok niezależności i wyzwolenia spod tyranii szefa. Kiedy skończyłam studia, łudziłam się, że tak właśnie będzie wyglądać moja praca. Wydawało mi się nawet, że ją znalazłam, lecz wkrótce okazało się, że młoda dziennikarka odbywająca staż na stanowisku asystentki do spraw administracyjnych jest w gruncie rzeczy dziewczyną na posyłki, a do jej obowiązków należy głównie powielanie tekstów i dokumentów, wypełnianie formularzy i wkładanie pism do teczek pań redaktorek.

– Delia sama podejmuje większość istotnych decyzji – kontynuuje Aleks, mnożąc zalety redakcyjnej pracy pańszczyźnianej. – Ma odpowiedzialną pracę stawiającą przed nią poważne wyzwania, ale w razie czego kto inny będzie za nią świecić oczyma. Nie ma lepszej metody, żeby się nauczyć dziennikarskiego fachu. Co więcej, po moim odejściu natychmiast awansuje na szefową działu. Gdyby Jane nie była taka skrupulatna w kwestii wieku, Delia byłaby już redaktorką. Szczerze mówiąc, dobrze się składa, że nie ma takiej możliwości, aby Jane oddała moją posadę młodej dziewczynie, która jest świetna i mogłaby wszystko robić z zamkniętymi oczami. Za rok czy dwa żadna siła nie powstrzyma Delii, a wtedy się usunę i zniknę z horyzontu.

Delia ma dwadzieścia trzy lata. Należy do niewielkiego grona przebojowych młodych zdolnych, którzy są cennym nabytkiem dla każdej dużej firmy. Trzy lata zajęło jej zrobienie licencjatu w Fordham, a że nie chciała tak szybko opuszczać znajomych ze studiów, została jeszcze rok i uzyskała magisterium. Praca asystentki kierownika działu w kobiecym czasopiśmie była pierwszą posadą, o którą się starała. Od razu spodobała się Aleksowi Kellerowi oraz zastępczyni szefowej, więc dzień później dostała tę pracę. Moim zdaniem, szybko zrobi oszałamiającą karierę, a czasopismo „New York” zaliczy ją do prestiżowej trzydziestki przed trzydziestką. Będzie naczelną renomowanych periodyków. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby za kilkanaście lat współdecydowała o losach świata.

W przeciwieństwie do Mai nie mam kompleksów związanych z wiekiem, a jako typowy krótkodystansowiec z agentami i chłopakami nie wiązałam się nigdy na dłużej niż pół roku, ale przy Delii Baker czuję się stara. Można by pomyśleć, że gra skończona, że mimo pocieszających uwag innych ludzi dwudziesty dziewiąty rok życia to wcale nie jest dobry moment, żeby wszystko zaczynać od nowa, że nic mnie już w życiu nie czeka. Obecność Delii stanowi dyskretne przypomnienie, że nie jestem dostatecznie inteligentna, ładna, przebojowa. Moje skromne atuty nie wystarczą na bilet do wielkiego świata.

Nikom nie przyszło do głowy, że mogę wjechać tam na gapę.

Świetny sposób na zmianę zawodu

Sympatyczny Aleks Keller na co dzień jest architektem.

– Jeszcze nie mam dyplomu, lecz niewiele brakuje. Został tylko jeden rok – tłumaczy, widząc moje zdumienie.

Spaceruję po jego mieszkaniu, zaglądając w każdy kąt. Tym razem drzwi do sypialni są otwarte, więc zaglądam do środka i widzę deskę kreślarską oraz szereg ustawionych na podłodze modeli ze sklejki. Sprawa jest oczywista.

– Tylko jeden rok? – upewniam się, przeglądając książkę dotyczącą ścian nośnych, obficie poznaczoną ołówkiem i żółtym markerem. Na marginesach są wyliczenia przypominające skomplikowane równania fizyczne.

– Owszem. – Keller jest zdenerwowany, ale próbuje to ukryć. Nie miał pojęcia o moim istnieniu, no i proszę! Oto jestem w jego salonie i wyciągam na jaw mroczne tajemnice. Nie planowałam tego. Moim zamiarem było przyjść tutaj i poprosić, żeby pomógł nam obalić Jane, lecz niespodziewanie pojawiła się inna możliwość, której na pewno nie zmarnuję.

Kiedy zorientowałam się, że Keller jest nieuchwytny, bo zamiast zniknąć na całe dni, po prostu nie przychodzi do redakcji, zakładałam, że zabija czas, zajmując się bzdurami: robi zakupy, siedzi w domu i ogląda mydlane opery albo idzie do kina i siada w ostatnim rzędzie, śniąc na jawie o ciekawszym życiu. Do głowy mi nie przyszło, że urzeczywistnia swoje marzenia.

– Jak długo? – pytam.

– Proszę? – Marszczy brwi, jakby nie rozumiał, w czym rzecz.

– Jak długo? – powtarzam, kiwając głową. – Chodzi mi o to, ile czasu potrzeba, żeby zostać architektem, a zarazem jak długo oszukujesz.

Krzywi się na wzmiankę o oszustwie i długo patrzy na mnie, zastanawiając się, ile może ujawnić. Po jego minie poznaję, że najchętniej nic by mi nie mówił, zachowując wszystko w sekrecie. Ma jednak trochę oleju w głowie i świadomość, że sprawa już się wydała, a zatem nie warto się droczyć.

Vig Morgan jest z wykształcenia reporterką, chociaż nie przeprowadziła dotąd żadnego dziennikarskiego śledztwa. Nieużywane umiejętności nieco zaśniedziały, ale nadal zdołam podjąć trop i pójść za nim. Wystarczy jeden telefon do biura projektowego „Walters i spółka, „ żeby poznać całą prawdę. Kłamstwo nic Kellerowi nie pomoże. Niech mi tylko nie wmawia, że zbiera u Waltersa materiały do artykułu. „Styl i Blask” pisze tylko o wnętrzach; mniejsza o budynki, póki stoją.

– Trudne pytanie – mówi Keller po długim milczeniu. – Studia trwają pięć lat, ale mam licencjat zrobiony na innym wydziale, więc zaliczono mi kilka przedmiotów, co daje cztery lata, ale to dotyczy trybu dziennego, a ja początkowo studiowałem zaocznie i chodziłem na wybrane zajęcia.

Trudno powiedzieć, czy lawiruje, czy mąci mi w głowę, zasypując detalami.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie.

Z niewinną miną spogląda na mnie zielonymi oczyma.

– Ależ tak! W moim przypadku trzeba czterech lat, aby zostać architektem.

– Tak długo oszukujesz Ivy Publishing?

– Szczerze mówiąc, już ponad pięć lat korzystam z hojności wydawnictwa, początkowo w ograniczonym wymiarze – odpowiada, jakby to usprawiedliwiało jego postępek. Moim zdaniem tak nie jest. Delia również stanowi dla mnie zagadkę.

– Jak długo ktoś inny haruje za ciebie? Keller znika w kuchni i wraca z piwem.

– Chcesz? – pyta, podając mi butelkę.

– Pewnie – mówię, przyjmując poczęstunek. Stoję w dziwnej pozie pod jedną z białych ścian, więc ruchem głowy wskazuje kanapę, bez słowa proponując, żebym usiadła.

Spoglądam na granatowy mebel, a potem sadowię się wygodnie. Redbullek wyciągnął się obok kanapy, na podłodze. Leniwie bije w nią ogonem, gdy pochylam się, żeby go pogłaskać. Wygląda tak samo jak w czasie mojej poprzedniej wizyty. Nie sprawia wrażenia, jakby utracił jedyną szansę na psie szczęście.

– Przykro mi z powodu wczorajszego nieporozumienia – mówię szczerze, bo naprawdę poczuwam się do winy za wywołane niechcący zamieszanie. – Nie zamierzałam wam niczego komplikować. Wpadłam, żeby porozmawiać o pewnej sprawie, ale się nie zgadało, bo znakomicie się bawiłam, spacerując z tobą i Redbullkiem.

– Nie ma sprawy – odpowiada Keller, siadając na oparciu kanapy z butelką piwa w ręku.

– Redbull jest czarusiem. Kelly straci dla niego głowę, a jeśli nie, znajdziemy kogoś innego. To przecież nie koniec świata.

Zgadzam się z Alekssem, ale nie mam pewności, czy rzeczywiście tak myśli. Jeszcze pół godziny temu wrzeszczał na mnie, że skrzywdziłam psa, ale teraz znam straszliwą tajemnicę i dlatego stara się być miły.

Wypija łyk z butelki i kontynuuje opowieść o swoim oszustwie.

– Delia zastępuje mnie w pracy niespełna dwa lata. Howard, poprzedni asystent, odwałął tylko połowę roboty. W przerwach między zajęciami załatwiałem telefony, pisałem i redagowałem teksty, miałem pieczę nad całością. Często zamawiałem artykuły u autorów z Zachodniego Wybrzeża, bo łatwiej mi było nocami porozumiewać się z nimi mailem. Od ręki mogliśmy rozstrzygnąć wszystkie wątpliwości. Bez trudu łączyłem obowiązki studenta i redaktora, a kronika towarzyska trzymała poziom.

Wcale się nie dziwię, że z łatwością robił jedno i drugie. Nie trzeba być geniuszem, żeby redagować ten dział. Liczące dwieście słów notatki z rozmaitych imprez pisane są według jednego schematu. Najpierw krótki opis sali: kwiaty, świece, statuetki Oscara spowite kilkoma metrami ciemnoróżowego jedwabiu. Potem kilka efektownych wypowiedzi gwiazd. Podczas bankietu promującego szkolnictwo średnie sponsorowanego przez tandem Dolce & Gabbana pytamy o ulubione przedmioty. Gdy licytuje się najnowszy model jaguara, a dochód idzie na walkę z AIDS i badania naukowe nad wirusem, rozmawia się z vipami o pierwszych autach. W czasie uroczystej premiery połączonej z wielką zbiórką pieniędzy na rzecz odbudowy centrum handlowego zniszczonego przez tsunami pytamy o wyjątkowo nieprzyjemną wyprawę po zakupy. Kończymy fajną, zaskakującą pointą. Ot, błahostka, wata

słowna, a człowiek pokroju Aleksa Kellera jest w stanie pisać takie artykułiki lewą ręką przez prawe ramię.

– Sytuacja się zmieniła, gdy przed dwoma laty zdecydowałem się na indywidualny tok studiów – ciągnie Aleks. – Miałem strasznie dużo nauki i nagle okazało się, że brak mi czasu na kontakty telefoniczne i redagowanie artykułów. Profesorowie sporo zadawali do domu, zacząłem również staż i robiłem prawdziwe projekty. Byłem w siódmym niebie, więc gdy Howard wręczył mi swoją rezygnację, rozpaczalem, że wszystko przepadło. Musiałbym zacisnąć zęby i samemu płacić za studia. Na szczęście pojawiła się Delia. Była pierwszą kandydatką, z którą rozmawiałem. – Keller jest teraz spokojniejszy. Pogodnie i uśmiecha się do mnie. Nie umiem powiedzieć, czy ulżyło mu, bo wyznał prawdę, czy rozluźnił się pod wpływem alkoholu. Mniejsza z tym, skoro kamień spadł mu z serca. – Delia to gejzer energii. Wiedziałem o tym w chwili, gdy weszła do mojego biura ubrana w granatowy kostium idealny na takie okazje. Miała doświadczenie zawodowe. Przez trzy lata w Fulham wydawała studencką gazetę. Jest piekielnie inteligentna. Niespełna cztery lata zajęło jej uzyskanie licencjatu i magisterium z literatury osiemnastego wieku. Przez cały czas dostawała stypendium. Podczas rozmowy była otwarta, uśmiechała się i mówiła do rzeczy. Uznałem, że agenci będą nią zachwyceni, i miałem rację. To był idealny układ.

– Wspomniałeś, że sam musiałbyś płacić za studia, prawda? – pytam, gdy pean na cześć Delii dobiega końca.

Keller odwraca wzrok. Po kilku łykach piwa nie jest wcale gotowy wyznać wszystko.

– Co miałeś na myśli?

– Zwrot wydatków na kształcenie – odpowiada cicho.

– Ivy Publishing płaci za twoje studia na wydziale architektury?

Keller się rumieni. Do twarzy mu z tym.

– Firma jest bardzo hojna, więc płaci za trzy kursy w semestrze. Tak jest napisane w regulaminie.

Zgadza się. Ivy Publishing finansuje lekcje gotowania pobierane u świetnego francuskiego kucharza przez Christine, ale to całkiem inny układ, bo ona codziennie przychodzi do pracy.

– Owszem. Ten zapis wymownie świadczy, że ich zdaniem niemożliwe jest łączenie pracy w pełnym wymiarze godzin z regularnymi studiami.

– Najwyraźniej są w błędzie. – Keller wzrusza ramionami. Jego logika jest nie do podważenia.

– Nikt się nie zorientował, że w środku dnia wychodzisz na zajęcia, że od rana do wieczora przesiadujesz na uczelni?

– Jedna ze studentek odbywających u nas praktyki zaczęła kombinować i zapytała mnie o to, ale zabrałem ją na imprezę promującą trasę koncertową jakiegoś boys bandu i więcej nie było już o tym mowy.

– To mi wygląda na próbę przekupstwa – mówię pół żartem, pół serio.

Aleks marszczy brwi.

– Skądże!

- Zaproszenie na bankiet można uznać za łapówkę.
- W takim razie panna jest współwinna, bo miała osiemnaście lat i wiedziała, o co chodzi. Kończy piwo, idzie do kuchni i wrzuca butelkę do kosza na szkło. Sortuje śmieci.
- Kiedy się zjawiłaś, właśnie zamierzałem wyjść z Redbullkiem na spacer. Masz ochotę go wyprowadzić?
- Nie wiem, czy potrafię. Rzecz wymaga odpowiedniego przygotowania – odpowiadam, zrywając się na równe nogi.
- Ależ skąd. – Keller wręcza mi smycz. – Masz do tego smykałkę. Wczoraj nie zorientowałem się, że jesteś amatorką.
- Nie miałam na myśli spaceru. – Redbull bez entuzjazmu odnosi się do wyjścia na świeże powietrze i leży nieruchomo, gdy przypinam mu smycz. – Trochę to potrwa, nim przywyknę, że jesteś sympatycznym człowiekiem. W redakcji udajesz ogra.
- Zrozum, nie mogę stwarzać miłej atmosfery, bo ludzie zaczęliby do mnie lgnąć i wpadać do gabinetu, prawda? – tłumaczy z ironicznym uśmiechem. – Nie jestem wcale taki okropny, co?
- Zbeształeś mnie raz, bo korzystałam z kserokopiarki stojącej przed twoim gabinetem – przypominam.
- To szczyt głupoty stawać między facetem a jego ulubioną kopiarką. Tamta maszyna ani razu mnie nie zawiodła – odpowiada z uroczym uśmiechem, jakby wina była po mojej stronie, bo jestem przewrażliwiona. A co z jego słynnym wybuchowym temperamentem i awanturami o byle głupstwo? – Nie masz pojęcia, jaka to męka, gdy człowiek odrywa się od swoich zajęć, żeby wpaść do redakcji, i nie może znaleźć wolnej kserokopiarki.
- Rzeczywiście trudno mi sobie wyobrazić taką przykrość, myślę, gdy *otwiera drzwi i* ciągnie Redbullka na korytarz. U mnie jest na odwrót: muszę urywać się z redakcji, by zająć się ważnymi sprawami.

Mój 529. dzień w pracy

Jane kontroluje pracę naszego zespołu redakcyjnego w sposób wyrazisty i spójny. Artykuły podwładnych puszcza w obieg, przekazując wszystkim redaktorom, i tworzy swoiste sprzężenie zwrotne. Dostają oni robocze wersje, które wcześniej zmasakrowała czerwonym długopisem i opatrzyła brutalnymi uwagami w rodzaju: głupi pomysł, idiotyczne wyrażenie, bez sensu, wodolejstwo.

Koledzy i koleżanki, chcąc nie chcąc, są świadkami cudzego upokorzenia i zamiast kilkoma słowami otuchy ratować ginącą pewność siebie autorki, potwierdzają uwagi Jane, dodając wykrzykniki i przytakując bez litości. Nieszczęśnik otrzymujący z powrotem swój tekst czuje się jak pechowa zebra rozerwana na strzępy dziobami sępów.

Asystentka Jane nie ma szans na inne zajęcia poza wyręczaniem szefowej, toteż pierwszy temat otrzymałam do opracowania dopiero w pierwszym tygodniu po awansie na stanowisko redaktorki. Czekałam na to dwa lata, więc byłam pełna zapału nawet wówczas, gdy okazało się, że mam pisać o fryzurach. Dostał mi się artykuł, w którym miałam opisać krok po kroku, w jaki sposób zrobić się na bóstwo i wyglądać jak Nicole Kidman podczas oscarowej gali. Nie brakowało mi entuzjazmu, więc uważnie przetłumaczyłam rady stylistów na język zrozumiały dla czytelniczek naszego pisma. Oto próbka: „Wyciśnij na dłoń porcję pianki wielkości orzecha włoskiego i wetrzyj we włosy”.

Tekst czytało się gładko. Nie odchodziłam od tematu. Miało być o fryzurach Nicole Kidman, więc było, ale Jane i tak znalazła mnóstwo błędów. Nic jej się nie podobało. Gdy w końcu doszłam do siebie, odzyskałam poczucie własnej wartości i napisałam kolejną wersję, Jane znowu mnie zdołowała, tym razem mówiąc z całkowitą obojętnością:

– Dlaczego marnujesz mój cenny czas na takie bzdury?

W końcu artykuł o fryzurach Nicole Kidman został opublikowany w pierwotnej formie. Wcześniej korekta przesłała wersję z poprawkami do konsultacji styliście, który miał tyle problemów ze zrozumieniem tekstu, że osobiście do mnie zadzwonił. Przez telefon omawialiśmy zdanie po zdaniu. Okazało się, że fragmenty uznane przez Jane za niepotrzebne i bezużyteczne (na przykład: „Zakręć włosy i zawiń je do środka”) mają fundamentalne znaczenie dla fryzury. Krótkotrwałe poczucie zadowolenia wkrótce minęło, bo kiedy zlecono mi napisanie kolejnego tekstu (a był to okolicznościowy artykuł z okazji Dnia Matki, zawierający przepisy na pyszności szykowane przez mamy gwiazd), znowu nastął sezon na Vig.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że na mnie stale trwa sezon myśliwski. Jane nie zadaje sobie tyle trudu, żeby czytać wszystkie nasze publikacje, ale moimi żywo się interesuje. Kiedy jest wściekła i czuje się bezradna, każe sobie przynieść tekst, nad którym właśnie pracuję, i rozrywa go na strzępy. Przypomina znudzoną pięcioletnią dziewczynkę trzymającą motyla za skrzydła. Wystarczy jedno mocne szarpnięcie, żeby mnie zmasakrować.

Etap pierwszy nareszcie zakończony

Zaistniałe okoliczności, a także opór stawiany przez Kellera, zmuszają mnie, żebym posunęła się do szantażu.

– Robię to po raz pierwszy – uprzedzam. Niech wie, dlaczego brak mi stanowczości – więc przymknij oko na tę amatorszczyznę, a gdybym postępowała wbrew zasadom, proszę o wskazówki.

Zamierzałam uzyskać jego poparcie. Ułożyłam sobie fajną mówkę, że niby przyszły trudne czasy, a wszyscy obywatele miłujący demokrację muszą zewrzeć szeregi w celu obalenia tyranii. Wypowiadałam te słowa z patriotycznym uniesieniem. Niemal słyszałam w tle hymn państwowy.

Aleks Keller nie dał się zmiękczyć.

– Przykro mi – mruknął. Zrobił ponurą minę, ale pokręcił głową. Wydawał się szczerze zasmucony. – Nie mogę ci pomóc. Naprawdę chciałbym, ale Jane McNeill jest moim najważniejszym sojusznikiem w batalii o dyplom architekta. Nowa naczelna prawdopodobnie życzyłaby sobie, żebym przychodził na zebrania redakcyjne albo zaglądał do jej gabinetu na konsultacje. Przedemną ostatni rok studiów, więc nie mogę ryzykować. Bałaganiarski styl rządzenia Jane bardzo mi odpowiada.

– Ale pismo na tym cierpi – odparowuję.

Aleks obserwuje Redbullka, który szczerzy zęby, odstrasząc spragnioną zabawy żwawą miniaturową sznaucera. Leniwy labrador nie ma ochoty na takie wygłupy.

– Czytelnicy są innego zdania. Sprzedaż rośnie. Ma rację.

– Owszem, lecz praca jest koszmarem.

– To nie przychodź do redakcji – mówi, jakby każda taka decyzja zależała wyłącznie od widzimisię pracownika. Jego zdaniem każdy może studiować w godzinach pracy. Nie do wiary, że kombinacje Aleksa wcześniej się nie wydały. Ten chytry plan powinien się dawno zawalić jak domek z kart.

– Doskonale wiesz, że to nie wchodzi w grę – odpowiadam zniecierpliwiona. Podnoszę głos. Siedząca obok właścicielka małej sznaucerki, zajęta rozwiązywaniem krzyżówki, spogląda na mnie ze zdziwieniem. Wzruszam ramionami.

– W takim razie znajdź inną posadę. Jak długo pracujesz w redakcji?

– Pięć lat – mamrocę. Nagle uświadamiam sobie, że taką decyzję należało podjąć cztery i pół roku temu.

– No właśnie – mówi, jakby ta odpowiedź tłumaczyła wszystko. – Nie sądzę, żeby dorwanie szefowej było właśnie tą zmianą, której oczekujesz. Jane jest typowym produktem systemu. Musisz zaakceptować zasady obowiązujące w jej świecie albo go opuścić. To jedyna alternatywa.

Byłam tego samego zdania, dopóki nie pojawiła się trzecia opcja.

– Masz wobec mnie dług wdzięczności. Zmieniłam życie twojej siostry – mówię niemal ze złością. Właśnie takie głupstwa człowiek wygaduje, kiedy czuje się bezsilny.

Keller wybucha śmiechem.

Wyraża swą radość tak szczerze i gromko, że Redbullek podnosi leniwe cielsko, aby sprawdzić, co jest grane.

Czułam się upokorzona i dlatego posunęłam się do szantażu.

Na moją uwagę, że robię to po raz pierwszy, więc brak mi stanowczości, odpowiada, ubawiony próbą wymuszenia:

– Ja też nie byłem dotąd w takiej sytuacji, lecz oboje jesteśmy dosyć inteligentni, więc z czasem zorientujemy się, jak należy postępować.

Jestem zaskoczona jego zachowaniem, bo w filmach gangsterskich szantażowani tak nie reagują. Keller powinien wyprostować się z godnością, gniewnie zmarszczyć brwi, oburzyć się i oświadczyć, że nie da się zastraszyć miernocie, czyli mnie. Potem może spuścić z tonu.

– Jeśli pomożesz nam obalić Jane, ani słowem nie wspomnę o twoim podwójnym życiu. – Oczywiście blefuję. I tak bym nie powiedziała, lecz on nie musi o tym wiedzieć. – Masz wybór, ale tak czy inaczej szykują się zmiany. Nie ma pewności, czy nowe szefostwo będzie chciało widywać cię częściej niż obecne, natomiast nie ulega wątpliwości, że jeśli dział kadr dowie się o twoich matactwach, natychmiast wylecisz z roboty. To ci gwarantuję.

Keller kiwa głową.

– Co miałbym zrobić?

– Wystarczy, że do listy imprez, które mają być opisane w twojej rubryce, dodasz jedną.

– Rozumiem. Można prosić o szczegóły? Jaka to impreza? Kiedy się odbędzie?

– W listopadzie. Chodzi o wernisaż wystawy zatytułowanej „Odłot lilii”. Przygotował ją Gavin Marshall. Byłoby świetnie, gdybyś wymienił kilka nazwisk gwiazd pierwszej wielkości, aby przekonać Jane, że naprawdę szykuje się wielkie wydarzenie. Ja się zajmę resztą – zapewniam, a straszliwe poczucie winy szarpie mi nerwy. Proceder bezwzględniego szantażysty jest trudniejszy, niż myślałam.

– Tylko tyle? Umieścić wystawę Marshalla w spisie listopadowych imprez? – pyta, jakby upewniał się, czy dobrze rozumie warunki umowy. – W zamian za to nie wspomnisz nikomu o moim podwójnym życiu? Niczego więcej nie oczekujesz w zamian?

Czuję się paskudnie, zmuszając go do takiej obietnicy, ale przytakuję śmiało:

– To wszystko, czego od ciebie chcę.

– Dobra. A jak zamierzasz mnie powstrzymać przed doniesieniem Jane o twoich chytrych machinacjach, które mają na celu jej upadek? – pyta, przechodząc do kontraktaku.

Z bijącym sercem uświadamiam sobie, że się wygadałam. Nic go nie powstrzyma. Powie wszystko Jane, a ona mnie zwolni. Nie ulega wątpliwości, że możemy się nawzajem załatwić. Patrzę na mego rozmówcę, rozważając wszelkie możliwe wyjścia i zastanawiając się, które najbardziej mi odpowiada. Utrata pracy, której nie potrafiłam rzucić, to nie tragedia. Uśmiecham się beztrósko. Ciekawe, czy to bomba z opóźnionym zapłonem.

– W takim razie mniejsza z tym – konkluduję, w ostatniej chwili uznając, że nie warto powodować wybuchu ani bardziej zrażać do siebie Kellera.

Okazało się, że nie jest asem w naszej grze. Tak rzadko bywa w redakcji i wykonuje swoją pracę, że możemy postawić na swoim i bez jego pomocy, a nawet bez jego wiedzy.

Musimy tylko „wciągnąć” Delię, która na pewno nie zmarnuje szansy i zamiast tkwić na najniższym szczeblu redakcyjnej drabiny, zechce wspiąć się wyżej, co teraz jest utrudnione ze względu na obecność Jane oraz jej uprzedzenia.

– Mniejsza z tym? – powtarza Keller.

– Aha. Przechytrzyłeś mnie, więc nie ma sprawy.

– Uśmiecham się do niego na dowód, że nie chowam urazy. – Nie oczekiwałam, że od razu się uda.

Keller głaszcząc Redbullka po głowie i przez chwilę siedzi obok mnie w milczeniu. Pani od małej sznaucerki wstaje i woła:

– Pysiu, do mnie, mamunia chce już iść!

Ale Pysia nie ma na to ochoty. Nadal ugania się po czyściutkim wybiegu za czarnym pudłem, chociaż jej pani już rozwiązała krzyżówkę. Kobieta wzdycha z irytacją, odkłada gazetę i biegnie za suczką. Keller i ja obserwujemy tę scenę, nie kryjąc rozbawienia.

– Zrobię to – mówi Keller, gdy pani zakłada Pysi smycz.

Zaabsorbowana, w pierwszej chwili mam wrażenie, że się przesłyszałam.

– Słucham?

– Powiedziałem, że to zrobię.

– Dlaczego? – Zaskoczył mnie nagłą kapitulacją. Kiedy pół godziny temu zaczynałam rozmowę, sądziłam, że mam całkiem spore szanse, lecz podwójna próba szantażu wszystko zmieniła, więc straciłam nadzieję.

– Z trzech powodów. – Keller uśmiecha się. – Po pierwsze, to się nie może udać. Po drugie, aż za długo robiłem swoje. Po trzecie, Delia zasługuje na awans.

– Nie znasz wszystkich szczegółów planu – mówię, niespodziewanie dotknięta do żywego. Nie wolno kpić ze spraw, o których nie ma się pojęcia.

– Ale się domyślam – odpowiada – chociaż nie to przesądziło o mojej decyzji. Jedyne powód, którym przez ostatnie dwa lata usprawiedliwiałem pasożytnicze nastawienie wobec Delii, to chęć zachowania dla niej mojego obecnego stanowiska. Nowa szefowa zapewne da jej zasłużony awans.

– Tak myślę.

– Wiem.

– Naprawdę?

– Łatwo cię przejrzeć, Vig. Wszystko masz wypisane na twarzy.

Nikt mi dotąd tego nie mówił. Jeśli mam być szczerą, nie wierzę, że tak łatwo mnie przejrzeć. Kamuflaż oraz intryga to moja specjalność, ale skoro zgodził się pomóc, nie będę dyskutować.

Etap numer dwa

Gabinet Jane przypomina renomowaną pizzerię, gdzie ściany pokrywają zdjęcia gwiazd, które przechodziły obok i wpadły na dobre jedzenie. Wszędzie, gdzie spojrzeć, Jane z Bradem Pittem, Jane i Meryl Streep, Jane z Julią Roberts. Szefowa obejmuje gwiazdę ramieniem i uśmiecha się szeroko, dając do zrozumienia, że łączy ich dozgonna przyjaźń. Przypomina szefa kuchni fotografującego się ze sławnymi gośćmi. Brak jej tylko jasnego fartucha poplamionego sosem pomidorowym.

Te zdjęcia są trochę denerwujące, więc ilekroć wchodzę do gabinetu Jane, odwracam wzrok. Spojrzenie mam utkwione w widocznym za oknem, jasno oświetlonym budynku Radio City Music Hall. Wolę nie zauważać bijących w oczy dowodów nieposkromionego pragnienia sławy, które zdobią ściany gabinetu. Jane przypomina idiotkę z opery mydlanej, która pojawia się na huczonym przyjęciu, aby ogłosić, że jest nieślubną córką zamożnego barona. Wytrwale pnie się na szczyt. Pragnie należeć do ekskluzywnego grona pięknych i bogatych wybrańców losu. Chce bywać i przyciągać uwagę. Marzy, aby brukowce śledziły jej każdy krok. Pragnie widzieć za sobą orszak paparazzich i zasłaniać twarz w obronie prywatności.

– Co! Co! Co! – skanduje rozwścieczona, kiedy wchodzę.

Dopiero pół do dwunastej, a już się nakręciła. Z samego rana Marguerite zepsuła jej humor, dzwoniąc z informacją, że leci z Bangor do Nowego Jorku prywatnym odrzutowcem i trochę się spóźni, bo najpierw trzeba podrzucić do Waszyngtonu Rainiera, księcia Monako, który miał tam ważne spotkanie dotyczące interesów. Marguerite nie śmiała sprzeciwić się koronowanej głowie, ale obiecała, że będzie w redakcji około południa. Te nowiny sprawiły, że dla Jane dzień zaczął się fatalnie, ponieważ okazało się, że cały weekend spędziła w złudnym przekonaniu, jakoby zdołała postawić na swoim. Dostaje szalu, gdy jej intrygi zostają udaremnione przez cudze machinacje.

– Co! Co! Co! – powtarza, zdecydowana wyładować się na pierwszym nieszczęśniku, który wejdzie do gabinetu.

– Mam propozycje haseł na okładkę – wyjaśniam, chociaż Jane doskonale wie, z czym przychodzę, bo każde spotkanie musi być umówione, uzasadnione i zaakceptowane.

– Dobra, dobra. Daj mi je. – Macha piórem w powietrzu jak nawiedzona artystka.

Podchodzę do biurka, zaciskając palce na brązowej kopercie. Dłonie mam trochę spocone, serce mi kołacze. Korzystaj z dnia! Marguerite udało się wyskoczyć do Maine, więc Jane wstąpiła na wojenną ścieżkę. Nadarza się doskonała sposobność, żeby podstępnie zaatakować.

Trzymam w ręku kilka papierowych okładek z dokumentami, jakbym przed chwilą zakończyła jedno spotkanie, a potem wybierała się na kolejne. Kładę je na biurku Jane i otwieram tę, która leży na wierzchu.

– Proszę bardzo – mówię zdławionym głosem. Nie ma obawy, żeby Jane cokolwiek zauważyła. Potrafi obserwować tylko samą siebie. Chrząkam i odzywam się ponownie. – Ta

kartka. Tu są propozycje.

Jane bierze arkusz papieru i udaje, że uważnie czyta tytuły, ale nie dam się nabrać. Jej ptasi rozumek odrzuca teraz wszelkie informacje, więc za tydzień albo dwa zostanie wezwana do gabinetu i porządnie obsztorcowana za to, że nie pokazałam jej tytułów. Takie idiotyczne sytuacje są u nas na porządku dziennym. Wcale się nie zmartwię, jeśli znikną, kiedy Marguerite zostanie naczelną.

Po kilku stłumionych pomrukach Jane odprawia mnie niedbałym ruchem głowy. Zbieram okładki z papierami, ale trzymam je zbyt słabo, więc zawartość ostatniej wysypuje się na biurko Jane, która rzuca pogardliwie:

– Aleś ty niezdarna.

– Przepraszam – mówię, zbierając kartki. Na blacie zostaje wiadomość dla Marguerite. Leży przed nosem Jane, więc lada chwila zostanie zauważona. Wytłuszczone imię rywalki od razu rzuca się w oczy. Wolno odwracam się ku drzwiom, żeby dać szefowej więcej czasu.

– Co to jest? – pyta, wreszcie chwytając przynętę.

– Wiadomość.

– Nie bądź idiotką. Tyle to i ja wiem. – Pospiesznie zakłada okulary i czyta pismo. – „Odłot lili”? Co to za wystawa?

– Nic szczególnego – odpowiadam wymijająco. – Marguerite prosiła mnie, żebym się tym zainteresowała.

– Dlaczego? – Jane kiwa głową i sznurkuje usta.

– Proszę?

– Dlaczego cię o to prosiła?

– Trzeba ją o to zapytać – odpowiadam, mając nadzieję, że Jane tego nie zrobi.

– Pytam ciebie. Dlaczego poprosiła, żebyś zainteresowała się tą wystawą?

– Nie mam pojęcia. Zapewne uznała, że impreza warta jest opisanie. Myśli chyba o patronacie medialnym – mówię z wahaniem. – Jej zdaniem powinniśmy rozszerzyć krąg zainteresowań.

– Czyżby?

– Aha. Wiem, że według niej gdziekolwiek pojawiają się gwiazdy i fotoreporterzy, my również powinniśmy się zjawiać.

– Ach tak?

– Twierdzi, że to zwiększy nakład i zrobi wrażenie na wydawcy.

– Aha, próbuje zaimponować wydawcy, tak? – powtarza Jane, niemal bez tchu.

– Trudno wyczuć – odpowiadam, patrząc na nią uważnie. Widzę, że analizuje sytuację, i wiem, co myśli. Po pięciu latach czytam w niej jak w otwartej księdze.

– To już wszystko, Vig. Zmykaj – mówi, odprawiając mnie. Stoję nieruchomo, więc patrzy na mnie z jawną irytacją. – No co? Co? Co?

– Wiadomość. – Śmiało wyciągam rękę.

Przez moment sprawia wrażenie, jakby chciała ją zatrzymać.

– Ach, to głupie roztargnienie – mamroce, a potem mnie kartkę, rzuca ją do kosza na śmieci i ostentacyjnie pochyla się nad stosem papierów.

Opuszczam gabinet. Etap drugi zakończony.

Pomysł się konkretyzuje

Jackie dostaje szału, bo podczas obrony pracy doktorskiej została zepchnięta do defensywy.

– Koszmarne, okropne, przerażające doświadczenie, więc nie zamierzam nigdy o nim rozmawiać – oznajmia, gdy się o tym zgadało przy kanapce z peklowaną wołowiną.

Chętnie podyskutowałabym o filmach, planach na weekend albo kolejnym odcinku „Przyjaciół”, „ ale Jackie ma inny pomysł. Niedawno zeszła z pola bitwy i czuje potrzebę zaprezentowania swych ran.

– Istny koszmar. Raz po raz zadawali mi to samo pytanie, zmieniając tylko sformułowania, więc powtarzałam jak katarynka: Niestety, nie mam pojęcia, jaki związek mają spodnie dzwony z doktryną marksistowską. Z przykrością stwierdzam, że nie jest mi znana zależność między krótkimi spódniczkami i wartością jena. Nie zajmuję się ekonomicznymi konsekwencjami mody na szmizjerki. Dlaczego miałabym się na tym znać? Moja praca dotyczyła reminiscencji mody w literaturze. Gdzie tu związek z pieniędzmi i sytuacją ekonomiczną? – wzdycha ciężko i pochyla głowę, jakby w taniej jadłodajni poddawano ją trudnej próbie. – O Boże, co za brutale! Uporczywie drążyli jedną kwestię – dodaje i wzdraga się, jakby poddano ją przesłuchaniu z użyciem metod służb specjalnych stosowanych wobec jeńców wojennych, choć były to standardowe belferskie zagrywki, które mają studentom pomóc w odtworzeniu posiadanej wiedzy.

W redakcji naszego pisma tylko Jackie uzyskała stopień doktora, więc Jane chodzi dumna jak paw, bo ma sekretarkę o przesadnie wysokich kwalifikacjach. Zupełnie jakby zatrudniła światowego championa wagi ciężkiej w boksie w charakterze osobistego ochroniarza. Pierwotnie Jackie zamierzała się zaczepić na pewien czas w jednej z wielkich amerykańskich korporacji i spokojnie czekać, aż zwolni się etat w renomowanej uczelni, ale zmieniła zdanie i teraz uważa się za szczęściarę, bo nie jest narażona na codzienny kontakt z bezwzględnyimi rekinami finansjery ukrytymi w hermetycznych wieżach z kości słoniowej.

Jane, rzecz jasna, zaciera ręce, bo Jackie postanowiła zostać. Odejście sekretarki z doktoratem pozbawiłoby ją ważnego atutu, więc nie mogłaby zadzierać nosa.

– Szefowa mówi, że jest dla mnie przyszłość w redakcji. Zapewne, ale jeśli chodzi o awanse, „Styl i Blask” ma żółwie tempo, więc sporo czasu minie, zanim Jackie zacznie się wspinać po szczeblach kariery. Dopijam ostatnią kroplę coli light.

– Wezmę następną. Co dla ciebie?

– Mały kebab na ostro. – Kiwa głową i wyciąga pieniądze.

– Ja stawiam – dodaję wielkodusznie. – Trzeba uczcić twoją obronę.

– Dzięki. – Z uśmiechem chowa banknot. – W takim razie weź dwa.

Wzdycham i ruszam w stronę lady. Jackie nie pierze w osiedlowych pralniach z automatami na monety i zawsze szuka bezpłatnego miejsca do parkowania, bo zbiera drobne. Wzięła sobie do serca uwagę rzuconą w czasie jednego z programów Oprah, która oznajmiła telewizjom, że można tygodniowo zaoszczędzić piętnaście dolarów w monetach.

Gromadzenie drobnych stało się obsesją Jackie. Kiedy myśli, że nikt na nią nie patrzy, przelicza je ukradkiem. Dziś ma na sobie bojówki, a w kieszeniach tyle brzęczącego bilonu, że przypomina kwestarkę Armii Zbawienia. Brzęczenie działa jak system wczesnego ostrzegania. Gdy Jackie nadchodzi, mamy czas, żeby skryć się w pustym boksie.

Bardzo chciałyby cieszyć się ogólną sympatią, ale trudno z nią wytrzymać. To jej pierwszy rok w Nowym Jorku. Zajmuje drogie mieszkanie na Brooklynie, marnie zarabia, drożyznę i niską pensję traktuje jako swój krzyż. Uważa, że cierpi bardziej niż inni, że na całym Manhattanie tylko ona klepie biedę. Prawda jest taka, że nikt tu nie ma dość pieniędzy, więc Jackie szybko staje się męcząca. Trudno znieść manię prześladowczą i te spojrzenia, pełne lęku i podejrzliwości, jakby była Marią Antoniną, a ja krwiożerczą chłopką.

Znikam na dwadzieścia minut, żeby odpocząć po nużących wspomnieniach z obrony pracy doktorskiej oraz jeremiadach dotyczących biedy. W końcu wracam do stolika. Jestem tu wyłącznie dlatego, że Jackie ma dojście do Pietera van Kessela. Należy do rodziny bardzo znanej w małym światku mody. Dzięki temu dostała posadę w kobiecym czasopiśmie, zanim ukazało się ogłoszenie o wolnym etacie. Jej matka, znana projektantka zatrudniona u Christiana Diora, zadzwoniła do Jane, pytając, czyjej córeczka może się zatrudnić w redakcji. Emily, poprzednia sekretarka Jane, która ledwie skończyła studia ze słabą trójką, została natychmiast zwolniona.

– Przyszło mi do głowy, że mogłabym zrobić wywiad z van Kesselem do jednego z zimowych numerów – zagajam ostrożnie, starając się nie zdradzić, jak bardzo mi na tym zależy.

Tak wszystko urządziłam, aby się wydawało, że pomysł zaproszenia jej na obiad przyszedł mi do głowy pół do pierwszej, gdy wpadłyśmy na siebie przy windach. Szczerze mówiąc, od pewnego czasu kombinowałam, jak można by ją podejść, i przez cały ranek nasłuchiwałam brzęku monet, a potem czekałam, aż przebrzmi. Nagle zerwałam się z fotela i pobiełam za nią.

– Tak? – pyta teraz z jawną ciekawością. – Myślisz, że jest dobry?

Przez ostatnie pięć lat Jackie badała wpływ stroju na kulturę i poczucie przynależności do klas społecznych oraz kręgów towarzyskich, lecz mimo to nie zna się na modzie. Nie wyliczy najnowszych trendów, bo woli dyskutować o podwyższonej talii empirowych kreacji. Wybrała się na pokaz Pietera van Kessela, ponieważ jej matka była w mieście, a mnie zaprosiła w charakterze zderzaka.

Z kamienną twarzą siedziałam między dwiema paniami Guilberts do chwili, gdy zaczął się pokaz. Światła przygasły, a kolekcja tak mnie zaciekawiła, że przestałam się przejmować Jackie. Sama da sobie radę. Gdy odprowadzałam wzrokiem czarne suknie balowe z szerokimi kreuzami, srebrzyste koszule o rękawach ozdobionych falbanami, matka i córka prychały na siebie niczym rozzłoszczone kotki. Pochyliłam się do przodu, żeby im oczyścić przedpole.

– Moim zdaniem, ma przed sobą wspaniałą przyszłość – mówię, z trudem powściągając entuzjazm, żeby się nie zdradzić. Po raz pierwszy z tak wielkim zapalem przystępuję do pracy nad artykułem, ale mam spore obawy. Boję się, że gdy Jackie, Jane lub wszechwładni bogowie mody dowiedzą się o moich śmiałych marzeniach, uniemożliwią mi dostęp do

Pietera van Kessela.

– Mama tak powiedziała, ale ja tego nie dostrzegłam. Nic dziwnego. Ani razu nie spojrzała na wybieg.

– Twoja mama wie, co mówi. Od lat obraca się w środowisku projektantów. Co wie o Kesselu? – Pokaz był niezwykle kameralny. Przyszło zaledwie paru fotografów mody, a z prasy tylko my i jeden sławny krytyk piszący do „Timesa”.

– Jego wspólnik Hans, który był dawniej prawą ręką Johna Galliano, przysłał mamie zaproszenia – ciągnie Jackie. – Kojarzysz niskiego faceta, z którym rozmawiała po pokazie? Pamiętasz, był w smokingu z czerwonego aksamitu. Powiedziałaś, że wygląda jak Hugh Hefner.

Mało kto decyduje się porzucić dom mody Givenchy i jego renomowanego projektanta, żeby w brudnej piwnicy na dolnym Manhattanie prezentować kolekcję nowicjusza, który nic nie znaczy w świecie mody.

– Śmiało posunięcie.

– Mama twierdziła, że to zawodowe samobójstwo. Koniec kariery – mówi Jackie. – Pieter na pewno udzieli ci wywiadu. Nie powinno z tym być większych problemów. Według mamy słabe zainteresowanie pokazem było dla niego wielkim rozczarowaniem. Na pewno ucieszy się, że w ogóle zapamiętałaś jego nazwisko.

Nie byłabym taka pewna. Z mego doświadczenia wynika, że projektanci, nawet ci dopiero wspinający się na szczyt, wymagają, aby rozmówca wiedział, z kim ma do czynienia. Ludzie mody funkcjonują zazwyczaj w hermetycznym, zamkniętym świątku, gdzie wszyscy ich znają, zachwycają się pomysłami i schlebiają każdemu projektantowi zniżającemu się do rozmowy o swej twórczości.

– Trudno powiedzieć...

– Na pewno się zgodzi – przerywa Jackie, już zniecierpliwiona, bo zbyt długo wałkujemy nowy temat. Przed kwadranssem przerwałyśmy rozmowę o jej problemach, więc czuje się zaniebdywana. – Zadzwońię do mamy i poproszę, żeby załatwiła to z Hansem. Nie panikuj. – Spogląda na zegarek. – Muszę wracać do biura. Powinnam zadzwonić do mojego biura podróży i zarezerwować bilet do Aten. Lecę tam na Boże Narodzenie – mówi takim tonem, jakby uważała tydzień w Grecji za prawdziwą męczarnię.

– Do Aten? – pytam, jakbym po raz pierwszy słyszała o jej urlopowych planach. Nie można powiedzieć, żeby Jackie była trudna do rozszyfrowania.

– Aha. Matka chce zwiedzić wyspy. Chciałabym się cieszyć na tę wyprawę, ale nie potrafię. Dzięki mojej siostrze rodzinne podróże były przynajmniej znośne, lecz siostrunia urodziła dziecko, więc jest uziemiona. Czeka mnie towarzystwo mamusi i lazurowy bezmiar wód Morza Śródziemnego. Co gorsza, Ateny należą do moich ulubionych miast. Chętnie zostałabym tam kilka dni, ale to zbyt kosztowna impreza. Pensję mam nędzną, a czynsz wysoki, dlatego muszę liczyć się z każdym centem. Matka pokrywa koszty podróży, ale gdybym została na dłużej, za posiłki i hotel płaciłabym sama, co oznacza, że musiałabym zdecydować się na podrzędny pensjonat w marnej dzielnicy. Moje mieszkanie to wielka niewiadoma. Wprowadziłam się przed paroma miesiącami, ale obawiam się podwyżki

czynszu. Ciekawe, ile dołożą. Już teraz ledwie wiązę koniec z końcem, nawet rozmowy telefoniczne ograniczam do niezbędnego minimum. Masz pojęcie, ile liczą sobie za połączenia lokalne?

Taki wywód towarzyszy mi, gdy idziemy Pięćdziesiątą Pierwszą, następnie Szóstą, a także podczas jazdy windą na dwudzieste drugie piętro. Wyłączam się i nie słucham. Monolog zajętej sobą Jackie brzmi jak muzyka szemrząca w tle. Układam tekst artykułu o Pieterze van Kesselu.

Wtyczka do kwadratu

Rozmowa Allison z ojcem to nie dialog, tylko lista życzeń i zażaleń.

– Kelner podszedł do nas, gdy jedliśmy deser, i poprosił, żebyśmy wyszli, bo potrzebny im wolny stolik – mówi, opowiadając o niedawnej bytności w Po, jednej z maleńkich restauracji w Village, gdzie rezerwację trzeba robić miesiąc wcześniej. – Podobno siedzieliśmy za długo.

Pauza.

– Półtorej godziny. Pauza.

– Zgadzam się, wcale niedługo, zwłaszcza że zjedliśmy obiad z sześciu dań.

Pauza.

– Tak, pełny obiad składa się tam z sześciu dań. Pauza.

– Aha, policzyłam sobie, że wypada kwadrans na danie. Nie wydaje mi się, żeby można było jeść szybciej. Trudno się dziwić, że będąc po pięciu potrawach, deser jedliśmy powoli.

Kilka razy słyszałam historię obiadu w Po; dzisiejsza wersja jest stosunkowo krótka. Allison nie wspomina, co jadła (mizeria, pierożki z grzybami, łosoś z grilla, duszona baranina, deska serów, ciasto czekoladowe na ciepło z lodami cynamonowymi), darowała sobie dzieje lokalu (jego właścicielem był dawniej gotujący na ekranie Mario Batali, który prowadzi teraz restaurację, naprzeciwko jej domu, lecz nie jest to miejsce warte polecenia, ponieważ do wszystkiego dodają ślimaki). Dziś Allison relacjonuje tylko najważniejsze fakty. Gdy rozmawia z tatą, nie rozwodzi się nad szczegółami. Relacje między nimi są powierzchowne i wymuszone, a najsilniej wiąże ich pamięć o nieżyjącej matce Allison.

– Oczywiście, że napiszę do właściciela – zapewnia ojca. Pisanie listów stanowi jedno z najważniejszych zajęć panny Harper. Trudno powiedzieć, czy rzeczywiście kończy je i wysyła, ale wciąż o tym mówi. – Kopię zamierzam posłać do lokalnego dodatku „New York Timesa”.

Pauza.

– Racja, wiem, facet miał ptasi mózdzek.

To sygnał, na który czekałam, więc dzwonię do Kate i Sary, aby im powiedzieć, że Allison za moment skończy rozmowę. Łatwo mi zgadnąć, że tak będzie, ponieważ na krótko przed odłożeniem słuchawki dochodzi z tatą do jednego z trzech wniosków: po pierwsze, ludzie mają ptasie mózdzki; po drugie, można polegać wyłącznie na sobie; po trzecie, rzeczywistość zawsze jest gorsza, niż nam się wydaje.

– Dobra. Później do ciebie zadzwonię. – Allison z ulgą odkłada słuchawkę. Niechętnie rozmawia z ojcem, bo potem jeszcze bardziej tęskni za mamą. Zapewne chce teraz zadzwonić do Libby, Greta albo Carly, żeby się poskarżyć na duchowe sieroctwo, ale udaremням jej to, wysuwając głowę ponad cienką ściankę.

– Mamy spotkanie – mówię.

Zaskoczona Allison spogląda na mnie, jakby dziwiła się, że idealnie wyczułam moment. Nie jest świadoma, że wszystko słyszę. Dociera do mnie każda wypowiedziana przez nią

sylaba, szmer odsuwanej szuflady, trzask zszywacza.

– Dobra. Zawiadomię tylko resztę.

– Już dzwoniłam do Kate i Sary. Zaraz przyjdą. Rzuca mi wrogie spojrzenie, a potem zerka na aparat telefoniczny, jakby zastanawiała się, czy zdąży jeszcze pogadać o tatusiu.

– Cześć, dziewczyny – mówi Kate, wchodząc do mojego boksu. – Co się dzieje?

– Chcę złożyć sprawozdanie z pierwszego etapu – mówię, kryjąc uśmiech. Poczucie sukcesu i świadomość wykonanego zadania jest taka nowa i dziwna, że chciałabym cieszyć się nią jak najdłużej.

Allison wytrzeszcza oczy.

– Popchnęłaś sprawę do przodu?

– Właśnie dlatego chcę z wami porozmawiać.

– O czym? – pyta Sara, podchodząc z mrożoną kawą w jednej ręce i torebką ciastek w drugiej.

– O postępach.

– Świetnie, chodźmy do łazienki – mówi Allison, która obawia się, że ktoś ją podsłucha, tylko wówczas, gdy sprawa dotyczy naczelnej. Dzisiaj ma na sobie śliczną plisowaną spódnicę, lekkie sandały i klasyczny puloverek z dekoltem w serek, a mimo to wygląda tandetnie. Nosi fajne ciuchy, a jeśli kupiła je w markowym butik (raczej wątpię, żeby wypatrzyła tę spódnicę w używaniu), kosztowały połowę jej tygodniowej pensji. Pracownicy naszej redakcji automatycznie stają się kontraktowymi niewolnikami swoich szaf.

Wędrówka do łazienki znajdującej się po drugiej stronie korytarza trwa długo, więc Allison zabawia nas kolejną wersją historii o obiedzie w Po, tym razem ze szczegółami. Relacjonuje między innymi, jak serwuje się tam pierożki z grzybami. Zamierzała nas zniechęcić do bywania w tamtym lokalu, ale jej opis brzmi niczym jego reklama. Gdy wchodzimy do łazienki, ślinka mi cieknie, więc błagam Sarę o ciasteczko.

Dziwnie się czuję, jedząc w łazience, chociaż skórzana kanapa i gruby dywan nadają jej wygląd saloniku.

Skubię ciastko, próbując cieszyć się jego smakiem. Sara jest na luzie. Wygląda na kobietę, dla której chwila oddechu w luksusowej toalecie to normalka.

Allison zagląda do kabin, by upewnić się, czy są puste, a następnie zaczyna rozmowę na temat bliski jej sercu.

– Opowiadaj. Keller zgodził się pomóc? Kiwam głową.

– Obiecał wpisać „Odłot lili” do listopadowego grafika imprez.

– Trudno było go przekonać? – Kate przygląda mi się uważnie.

– Początkowo stawiał opór, ale w końcu ustąpił.

– Jak go namówiłaś?

– Uświadomiłam mu, że ma u mnie dług wdzięczności, bo odmieniłam los jego siostry – odpowiadam. Nie ma powodu, żebym mówiła im prawdę. Podwójne życie Aleksa Kellera to jego tajemnica i mnie nic do tego.

– Udało się? – Zdumiona Sara unosi brwi. Allison patrzy na nią z jawną niechęcią.

– Naturalnie. Przecież od razu mówiłam, że poczuwa się do wdzięczności wobec Vig.

Dlatego ona jest naszą wtyczką. – Odwraca się do mnie. – Teraz musimy...

– Już to zrobiłam.

– Co? – Allison jest zbита z tropu.

– Dziś rano poszłam do gabinetu Jane, żeby pokazać jej propozycje tytułów na okładkę, i niby przypadkiem rozsypałam papiery, wśród których była notatka o wystawie – tłumaczę. – Jane zobaczyła ją i zaczęła kombinować. Nie oddała kartki. Niby zmięła ją i rzuciła do kosza, ale jestem pewna, że ledwie drzwi zamknęły się za mną, natychmiast zaczęła grzebać w śmieciach. Sara przybija mi piątkę i chichoce.

– Trudno uwierzyć, że naprawdę zaczęłyśmy działać. Kate również jest bardzo przejęta. Siada na kanapie i wyobraża sobie przyszłość bez Jane. Tylko Allison kręci nosem.

– Papier jest dowodem. Zostawiłaś trwałe ślad?

– Wypytuje lodowatym tonem.

Nie patrzyłam na sprawę w ten sposób.

– Owszem, ale to zwykła notatka. Jest na niej tylko moje nazwisko.

Allison wolno kiwa głową. Mam wrażenie, że jestem przesłuchiwana.

– Sama ją napisałaś?

– Tak, ale podałam wszystkie informacje, które uzyskałyśmy od ciebie w czasie pierwszego spotkania – mówię, żeby ją ugłaskać. „Styl i Blask” jest pismem poświęconym modzie i gwiazdom, wydawanym przez ogromny koncern prasowy, więc mimo autonomii przestrzegamy korporacyjnego dekalogu. Prawa autorskie to fundamentalna zasada. – Notatka została spisana przeze mnie, ale użyłam twoich sformułowań. Jeśli chcesz, wydrukuję ją dla ciebie.

Zapewnia, że to nie jest konieczne, aby nie wyglądało, że się czepia.

– Szkoda tylko, że mnie nie uprzedziłaś. Nie lubię być spychana na margines.

– Kiedy usłyszałam, że Jane dostała ataku furii, kiedy usłyszała o wyjeździe Marguerite do Maine, gdzie bawił także książę Rainier, uznałam, że trzeba kuć żelazo póki gorące. – Patrzę jej prosto w oczy. – Pomijanie ciebie nie było moją intencją.

Allison zdobywa się na uśmiech.

– Mam nadzieję, że to się więcej nie powtórzy. Zawiązałyśmy sprzysiężenie i postanowiłyśmy działać jako zespół, więc musimy trzymać się razem – mówi, lecz w gruncie rzeczy daje mi do zrozumienia, że grupę tworzą one, a ja zostałam dokooptowana z konieczności, jako wtyczka.

Problem w tym, że my, wtyczki, jesteśmy nieprzewidywalne i mamy niebezpieczną skłonność do działania na własną rękę.

Suknia drużny jako obiekt manipulacji

Laurel Vega ma pomysł na nowe czasopismo.

– Będzie się nazywać „Rozwód” – mówi, pokazując Christine makietę. Czarnobiała okładka ze zdjęciem Elizabeth Taylor w dopasowanej jedwabnej sukni, którą miała na sobie podczas ślubu z Conradem Hiltonem juniorem. Obok różowe tytuły: „Jak się wystroić, żeby go wykończyć”; „Sądowe utrapienia”; „20 rozwodów, których nie można było uniknąć”.

Laurel jest asystentką naszego wydawcy Dana Neuberga, którego praktycznie nie widzimy, lecz ona często nas odwiedza. Uważa finanse za nudziarstwo i marzy o redagowaniu.

– Zadaniem czasopisma będzie dostarczenie kobietom wszelkich informacji niezbędnych, żeby rozwieść się bezstresowo – opowiada dalej. – Będzie adresowane do potencjalnej rozwódki. Pokażemy stroje odpowiednie na rozprawę, a ponadto wskażemy najlepszych prawników, łatwe metody podziału mienia oraz najprzyjemniejsze sposoby uczczenia odzyskanej wolności. – Sięga po wydruki komputerowe i drewnianą pałeczką wskazuje rzędy cyfr. Christine dostaje pełną informację, ale inni też mają szansę. Niczym sztukmistrz popisujący się na ulicy Laurel potrafi błyskawicznie odbyć swoją prezentację. – Połowa małżeństw kończy się rozwodem. Kobietom potrzeba rady. Niech wiedzą, gdzie szukać prywatnego detektywa, jaka część majątku im przypadnie, w jaki sposób przygotować dzieci. Pewnie sądzisz, że temat odstraszy reklamodawców, ale zastanów się. Potencjalną czytelniczką będzie świeżo upieczona rozwódka, przedstawicielka klasy średniej, pracująca i otrzymująca alimenty. Co to oznacza?

Christine nie wie i patrzy na mnie z przerażeniem w oczach. Słyszałam już wykład o „Rozwodzie”, więc znam odpowiedź.

– Stały dochód – podpowiadam scenicznym szeptem.

Laurel dopiero teraz orientuje się, że audytorium ma większe, niż przypuszczała. Uśmiecha się szerzej i włącza mnie do grona słuchaczy.

– Otóż to. Stały dochód. Takie kobiety mają dość pieniędzy, żeby kupować kosztowne gadżety i spędzać wakacje w egzotycznych krajach. Ale to nie wszystko. Wiecie, w czym rzecz?

Christine patrzy na mnie, ale wzruszam ramionami. Też jestem w kropce. Prezentacja została rozszerzona o nowe treści. Czuję się zbita z tropu.

– Nowe domy i nowe mieszkania. Panie, panowie, wiadomo, że rozwódki zaczynają wszystko od nowa, bo zmienia się całe ich życie – mówi Laurel, zwracając się do słuchaczy licznych, jakby przemawiała na stadionie, a nie w sali byle jak podzielonej przepierzeniami. – Wspólny majątek został spieniężony i podzielony. Teraz należy zgromadzić nowy dobytek, kupując zmywarki, pralki, suszarki, sprzęt grający, kanapy oraz bibeloty. Panie, panowie, nowe czasopismo rozejdzie się w milionowym nakładzie i przyniesie miliony. Dziękuję za wysłuchanie mego wystąpienia.

Christine jest dobrze wychowana, więc bije brawo. Nie bardzo wie, o co chodziło, lecz

mowa była zabawna, a zatem zasługuje na serdeczną owację. Dokonana przez Laurel prezentacja przypominała happening, a gdyby zobaczyli ją właściwi ludzie, wykonawczynie z pewnością miałyby zagwarantowany angaż do offowego teatru na Broadwayu. Świetny teatr jednego aktora.

– Dziękuję – powtarza Laurel.

– Co tam sływać? – pytam, domyślając się, że nie przyszła wyłącznie po to, żeby przedstawić Christine swój pomysł na czasopismo. Uczyniła to przy okazji.

– Nic szczególnego. Wpadłam, żeby się zobaczyć z Marguerite – odpowiada, sięgając po torbę na ubrania leżącą na biurku Christine. – Wiesz, gdzie jej szukać? Sprawdziłam w dawnym gabinecie Eleanor, ale tam jest teraz graciarnia.

– Nasza nowa zastępczyni szefowej gnieździ się w klitce koło szybu windy. Na drzwiach powiesiła wielką srebrną gwiazdę, więc nie sposób ich przeoczyć.

– Srebrną gwiazdę? U nas na górze stosujemy tabliczki z imieniem i nazwiskiem.

– Nie wiedzieć czemu nikt nie zadbał o tabliczkę dla Marguerite – odpowiadam, jakbym naprawdę nie miała pojęcia, dlaczego tak się dzieje.

– Spróbuję zadzwonić w tej sprawie. – Pilnowanie, żeby u nas na dole wszystko szło gładko, nie należy do obowiązków Laurel, która jednak lubi być użyteczna.

– Co masz w torbie? – pytam.

– Suknię Tishy. Występowała w niej jako drużna. Ma ich kilka.

– Kim jest Tisha? – pyta Christine. Porządkuje dokumenty, ale nadstawia ucha, przysłuchując się rozmowie.

– To najstarsza córka Dana. – Laurel rozsuwa torbę i pokazuje nam suknię, którą Tisha musiała włożyć podczas ślubu i wesela kuzynki Judy: w kolorze szampana, z dekoltem w karo, fatalnym dla kobiet o dużym biuście. Tisha ma czym oddychać, więc w tej kreacji wyglądała jak francuskie Alpy. – Marguerite pisze o sukienkach druzhen, więc zapytała, czy któraś z córek Dana życzy sobie dać swoją do przerobienia i tanim kosztem zyskać wieczorową kreację od Donny Karan. Tisha zapaliła się do tego pomysłu. Bardzo chce mieć taką sukienkę.

– Kto by nie chciał? – wtrąca Christine z uśmiechem, który dziwnie wygląda na jej twarzy. Zazwyczaj jest bardzo poważna, ale cierpienia Jane wyzwalają w niej fantastyczne poczucie humoru.

– Wiem. Sama również tak myślę. Chętnie użyczyłabym własnej sukni, ale nie byłam nigdy druzną – wyznaje. – Szczerze mówiąc, kusilo mnie, żeby podczas wyprzedaży polecieć do specjalistycznego sklepu i kupić sobie taką kreację. – Łapie się na tym, że za długo u nas siedzi, więc zrywa się z miejsca. – Muszę iść. Gwiazda na drzwiach, tak?

– Srebrna gwiazda – mówię, myśląc, że za tę intrygę Marguerite należy się złoto.

Christine wybucha śmiechem i wraca do porządkowania dokumentów.

Afera z totumfacką

Marguerite ma prawo korzystać z usług Kylie, która w jednej czwartej jest również jej sekretarką, więc gdy nie załatwia telefonów dla Toma, nie siedzi przy komputerze, wystukując pisma dla Nory, i gdy nie zamawia obiadu dla Pat, bywa na rozkazy Marguerite. Zdarza się to niesłychanie rzadko, a zatem widzimy tę ostatnią, jak z uśmiechem włącza kserokopiarkę.

Poprzednia zastępczyni szefowej miała sekretarkę, ale gdy Jane zorientowała się, kto został zatrudniony, natychmiast zwolniła Cameron i zlikwidowała stanowisko. Od razu wezwała ekipę remontową, kazała rozebrać jej boks i usunąć sprzęty. Po Cameron pozostały tylko jaśniejsze smugi na wykładzinie tam, gdzie dawniej były ścianki jej kanciapki. Nikłe pozostałości to dla Jane wyrzut sumienia, niczym stanowiące dowód zbrodni ślady krwi wywabione środkiem do czyszczenia dywanów, więc zleciła czyszczenie całej wykładziny, żeby definitywnie się ich pozbyć.

Skutecznie pozbawiwszy Marguerite osobistej asystentki, idzie za ciosem: w czasie spotkań redakcyjnych zarzuca ją robotą, która ma być skończona na wczoraj, i złośliwie radzi, aby zleciła wszystko sekretarce. Marguerite pozornie przechodzi nad tym do porządku dziennego, jakby niezrażona, że musi dzielić się Kylie z innymi, lecz nie ulega wątpliwości, że głęboko przeżywa swoje poniżenie. Jest niczym pani domu, która tylko raz na jakiś czas może pozwolić sobie na wynajęcie sprzątaczk, choć marzy o gosposi na stałe.

– I ostatnia sprawa. Do artykułu o sukniach druzhen bierzemy jedynie topowych projektantów. Najlepsze marki i sesja zdjęciowa w mieście: w przystani promowej, na tle drapaczy chmur. Żadnych zdjęć w studio – mówi Jane, jakby to był jej pomysł, a nie idea znienawidzonej rywalki. – Jackie, zadzwoń do agencji modelek i wypytaj, czy w szafach ich głównych kontrahentów znajdują się takie kiecki. Zorganizujemy także konkurs i poprosimy czytelniczki o przysyłanie zdjęć, lecz modelki weźmiemy od Forda. Jackie, zamów sto koszulek z naszym logo. Laureatki powinny się cieszyć z takiej nagrody. Coś jeszcze?

Jane nie jest jedyną osobą przyglądającą się korpulentnej nieznanym w średnim wieku, która ma na sobie spodnie w kancik, wygodne buty oraz bluzkę z bufiastymi rękawami. W naszej redakcji obowiązuje inny styl, więc Jane podejrzewa inspekcję z góry; tam mieszczą się biura naszego wydawcy. Tylko dlatego zamiast wyjść natychmiast po zakończeniu ostatniego zdania, spytała, czy mamy inne sprawy do omówienia. Stara się zrobić na gościu dobre wrażenie, udając, że wsłuchuje się w głosy współpracowników i traktuje ich po partnersku.

– Tak – odzywa się Marguerite. – Chciałabym przedstawić wszystkim panią Beverly, moją osobistą totumfacką.

– Twoją totumfacką? – Rozwścieczona Jane krztusi się, jakby spróbowała nieznaną potrawę o fatalnym smaku. – Osobistą totumfacką? – Ze sposobu, w jaki wypowiada te słowa, można się domyślić, że nie ma pojęcia, co one znaczą. Nikt z nas nie wie.

– Pani Beverly będzie mi we wszystkim pomagać – wyjaśnia Marguerite z błyskiem w

oku, przekonana, że Jane nie orientuje się, kim jest totumfacka.

– Aha, ma być twoją sekretarką. – Jane rzuca jej karcące spojrzenie.

– Skądże! Jest nią Kylie. – Marguerite szuka jej wzrokiem, patrzy w oczy. – Ponad wszelką wątpliwość doskonale sobie radzi. Pani Beverly pełni funkcję mojej totumfackiej.

– To chyba jakaś australijska osobliwość – odpowiada lekceważąco Jane, choć nadal nie ma pojęcia, co jest grane. – Zapewne wśród aborygeńskiej starszyny takie rzeczy są na porządku dziennym, ale żyjemy w Nowym Jorku. To nie jest trzeciorzędna osada handlowa na odludziu.

– Mylisz się. Posiadanie totumfackich jest teraz na czasie – odpowiada Marguerite, mniej niż zwykle dotknięta impertynencją Jane. – Wiele gwiazd angażuje totumfackich.

Jane ma taką minę, jakby chciała powiedzieć, że jeśli raz jeszcze usłyszy ten wyraz, zacznie krzyczeć.

– Przykro mi. Nie stać nas na zatrudnienie twojej to... sekretarki.

– Och, naprawdę nie musisz się usprawiedliwiać – przekonuje Marguerite. – Jak wspomniałam, pani Beverly jest moją osobistą totumfacką. Płacę jej z własnej kieszeni.

– Ach tak, rozumiem – odpowiada Jane, udając, że wie, o co chodzi, mimo że nie jest w stanie pojąć, że można samemu za coś płacić, i to własną forszą. Milknie na długo, planując kolejne posunięcie. Parę chwil trwa, nim wykombinuje sposób niezwiązany z kasą. – Jaka szkoda, że panuje tutaj okropna ciasnota. Brak wolnego pomieszczenia, gdzie ta osoba mogłaby pracować. – Rzuca pani Beverly spojrzenie, które miało być współczujące, a świadczy o zadufaniu i poczuciu wyższości.

– Rozglądałam się. Miejsca nie brakuje – zapewnia z uśmiechem Marguerite.

– Nie ma szans na dodatkowe pomieszczenie! – wybucha Jane jak kretynka z marnej telenoweli.

– Czyżby? – Marguerite marszczy brwi. Jane bierze się w garść i pyta spokojniej:

– Co masz na myśli?

– Wydzielimy część korytarza obok windy towarowej.

– Nie możemy zrobić tam gabinetu dla twojej sekretarki. W razie pożaru byłaby zagrożona.

Marguerite wyjmuje jakieś pismo, podsuwa je Jane i czeka.

– Co to jest? – Jane sięga po kartkę papieru.

– Zgoda nowojorskiego komendanta straży pożarnej na wydzielenie gabinetu w korytarzu windy towarowej od strony północnej na dwudziestym drugim piętrze gmachu Ivy Publishing. Nie ma zagrożenia pożarowego.

– Rozumiem. Trzeba będzie ustalić szczegóły z działem techni... – Jane milknie, bo Marguerite podsuwa jej pod nos kolejne pismo. Jane nie raczy nawet spojrzeć na nie. Od razu wie, co zawiera.

– Ustaliłam wszystkie szczegóły z działem technicznym, kadrami i prawnikami – dodaje Marguerite, wyjmując stosowne dokumenty. – Zwróciłam się nawet do firmy sprzątającej. Zapewnili mnie, że opróżnianie dodatkowego kosza na śmieci nie będzie dla nich żadnym problemem. Oczywiście całe wyposażenie kupuję na własny koszt.

Umysł Jane pracuje na najwyższych obrotach, szukając korzystnego wyjścia. Lada chwila dym pójdzie jej z uszu. Na razie jest bezradna. Marguerite zapędziła ją w kozi róg. Jane może tylko skończyć zebranie.

– To już wszystko – mówi do podwładnych i podnosi się niezdarnie. Idąc ku drzwiom, zapewne powtarza sobie, że przegrała bitwę, ale wojna się nie skończyła. Planuje następny atak.

Następnego ranka zastajemy w redakcji wynajętego przez nią kamerdynera.

Ale głupie to życie

Dot uważa, że wiele można się dowiedzieć o ludziach, patrząc na ich okna.

– Nie kupuj zasłon, póki tego nie przeczytasz – mówi, gestykulując energicznie i ręką dając znaki, żebym weszła do jej gabinetu.

Na razie nie planuję takiej inwestycji, a ona nie trzyma niczego, co miałabym przeczytać, więc przytakuję ochoczo.

– Zgoda. – Zbieram leżące na krześle czasopisma, kładę je na podłodze i siadam.

– Nowa rubryka: „Najpiękniejszy wystrój”. Co miesiąc będziesz opisywać inny element wnętrza i przeprowadzać krótkie wywiady z kilkoma gwiazdami, pytając, co im się najbardziej podoba. Na pierwszy ogień pójdą okna. Po co nam lambrekiny? Kraciasty len czy zwiewny perkal? A może roleta? Te klimaty. – Podsuwa mi notatkę. – Spisałam propozycje. Tu masz numer telefonu Perky Collins.

Nie wiem, o kim mowa.

– Słucham?

– Perky Collins ma w telewizji kablowej autorski program poświęcony wnętrzom i ogrodom – wyjaśnia Dot takim tonem, jakby ta Perky była powszechnie znana, co nie jest prawdą.

Oglądalność takich programów jest znikoma. Gromadzą przed telewizorem zaledwie garstkę widzów.

– Jest dyplomowaną dekoratorką i ma naukowe podejście do wystroju wnętrz. Prowadzi własne badania nad kolorami i potrafi określić zależność między barwą i osobowością.

Dzwoni telefon Dot, co oznacza koniec spotkania. Gestem daję znak, że wychodzę. Nie zauważa tego, bo gdy unoszę dłoń, odwraca się w stronę okna. Znikam cichutko i wracam do mojego kącika.

Allison gdzieś się włóczy, więc jest dziwnie cicho. Wpatruję się w telefon, życząc sobie w duchu, aby zadzwonił. Daremnie siedzę bez ruchu niczym w transie. Po pięciu minutach nadal milczy jak zaklęty. Muszę pogodzić się z tym, że brak mi magicznych talentów, więc zaglądam do notatek Dot. Nie mani ochoty czytać wskazówek dotyczących nowej rubryki, ponieważ i tak wiem, jak ma wyglądać. Wszystkie robi się u nas wedle jednego wzorca: „Między nami dziewczynami”, „Własny styl”, „Nocne zabawy”. Niezależnie od tematu, zbierając materiał, należy obowiązkowo umówić się z gwiazdą i zadać kilka banalnych pytań. Gdyby znaleźli się państwo na bezludnej wyspie, jakich kosmetyków najbardziej by państwu brakowało? Który z wielkich projektantów najlepiej oddaje państwa wizję ludzkiej egzystencji? Krem nawilżający czy lakier do paznokci: co jest ważniejsze? Proszę dokończyć zdanie: Czuję się naga/nagi bez...

Takie wywiady robione są zazwyczaj za pośrednictwem agenta lub przez telefon, ale teksty pisze się tak, jakbyśmy siedziały na pokładzie jachtu twarzą w twarz z Seanem Connerym, obserwując wesołe igraszki stada delfinów wyskakujących z morskich fal. Stwarzamy iluzję prywatności, jakby „Styl i Blask” zrobił wywiad na wyłączność, specjalnie

dla swych czytelników.

Zaglądam do notatek, ponieważ brak pretekstu, żeby to dłużej odkładać. Na początek dekoracja okien, potem lawina tematów: lodówki (sprawdźmy, co jest w środku), łóżka (czy żar namiętności wygasł w waszym małżeństwie?) i ogrody (cierpienia niecierpliwego amatora).

Zadawanie głupich pytań gwiazdom rocka i aktorkom – albo ich agentom i rzecznikom prasowym – to u nas normalka. Ma być lekko, łatwo i przyjemnie, dogłębne bywa tylko osobiste upokorzenie. Mam wrażenie, że to „Randka w ciemno”, kiedy pytam gwiazdy, co myślą o współczesnych dziewczynach. Zresztą sama jestem sobie winna. Tyle jest fajnych pism, w których porusza się ważne tematy, zamiast stawiać pytania przyprawiające o dreszcze. Należałoby złożyć wymówienie i tam szukać pracy.

Wszystko czerwone

Maja wygląda na ciężko chorą.

Zachowuje ostrożność: regularnie myje ręce i stara się nie dotykać nimi oczu, ale dolegliwość jest zaraźliwa, więc obawia się, że przekazała ją paru współpracownikom.

– Mam nadzieję, że nikt tego ode mnie nie złapie – wmawia sobie, pólżąc na kanapie z ręcznikiem zmoczone w zimnej wodzie przy prawym oku. Lewe, czerwone i zażawione, patrzy na mnie.

Przyszłam, bo prosiła mnie o to. Miałam jej pomóc w układaniu listy tematów, ale słuchałam bez entuzjazmu. Nudzi mnie układanie konspektu do rozprawki o wolnych rodnikach, więc szybko zmieniam temat.

– Wszystko macasz – przypominam.

Korekta to istotny element procesu wydawniczego, a egzemplarza dotyka potem wiele dłoni. Przez ręce Mai przechodzi mnóstwo artykułów oraz ilustracje, a zarazki zapalenia spojówek szaleją. Nie ma siły, ktoś musi zachorować. Dlatego uczniowie podstawówek przechodzą choroby wieku dziecięcego zostają w domu, kiedy na nich padnie.

– Mówiłam ci przecież, że często myję ręce. Dziś robiłam to chyba z sześć razy. – Maja siada, a kompres zsuwa się, odsłaniając drugie chore oko, które wygląda gorzej od lewego. Jest tak nabrzmiałe i spuchnięte, że Maja ledwie widzi moją niezadowoloną minę. – Raz po raz biegam do łazienki, więc chyba przeniosę się tam z fotelem, tekstami i ołówkami. Mogę usiąść z robotą przy umywalce.

– Powinnaś zostać w domu – mówię karcącym głosem. – Pod koniec tygodnia będziesz miała na sumieniu kilkunastu chorych. Co ty na to?

– Dobrze wiesz, że nie mogę sobie pozwolić na chorowanie.

Dobrze mówi. Wolny strzelec nie ma przywilejów. Żadne prawa go nie chronią. Trzeba szkarlatyny albo różyczki, żeby położył się do łóżka.

– Mam nadzieję, że przynajmniej byłaś u lekarza. – Po minie poznaję, że brała pod uwagę taką możliwość, ale ją odrzuciła. – Maju! – złoścę się w imieniu mnóstwa zarażonych redaktorek i redaktorów, którym wkrótce oczy spuchną i poczerwienieją.

– Znalazłam informacje w Internecie. Samo przejdzie. – Patrzy na mnie czerwonymi ślepiami demona.

– Naprawdę?

– Jasne. To infekcja wirusowa.

– Jak długo trwa?

Maja zainfekowanymi paluchami z roztargnieniem skubie frędzle narzuty. Będzie musiała potem uprać kapę i poduszki albo spalić je niczym zainfekowaną maskotkę chorego dziecka.

– Zaledwie cztery tygodnie.

Wizja Mai przez cały miesiąc krążącej po Manhattanie niczym potwór, który umknął z horroru klasy B, sprawia, że wybucham śmiechem.

– Zadzwoń do lekarza. Po co masz się męczyć tak długo?

Opiera się, bo jej ubezpieczenie zdrowotne z bardzo wysoką składką nie obejmuje zwykłych, codziennych dolegliwości. Wykupiła je na wypadek ataku ślepej kiszki, niewydolności nerek, rozerwania torebki stawowej albo wypadku na nartach.

– Gdybyś zgłosiła się do przychodni, zapłaciłabyś w sumie sto dolarów. To niewiele, zważywszy na to, że ulżyłabyś sobie w cierpieniu. Poza tym jesteś to winna swoim współpracownikom.

Mamroce coś niezrozumiale. Chętnie przysunęłabym się bliżej, żeby lepiej słyszeć, ale nie chcę ryzykować, że dotknę przedmiotu, który wcześniej pomacała.

– Proszę?

– Współpracownicy! Też coś! – mówi pełnym głosem. – Nie zastanawia cię, gdzie to złapałam? Chodzę wyłącznie do redakcji.

Teraz ściemnia. Mamy wtorek, mogła się zarazić podczas weekendu. Podnoszę dłoń, chcąc coś wtrącić, ale nie pozwala mi dojść do słowa.

– Prawdopodobnie tam złapałam wirusa. Tak ci zależy na zdrowiu moich współpracowników, a wychodzi na to, że oni sprzedali mi to paskudztwo. Mogę się założyć, że tak było. – W miarę jak mówi, coraz bardziej zapala się do swojej wersji. – Jedna z redaktorek miała zapalenie spojówek, ale zamiast myć ręce i pójść do lekarza, rozsiewała zarazki, nie troszcząc się o stan zdrowia innych ludzi. Jutro poszukam winowajczyni, a gdy ją dopadnę... – Milknie, chrząka i patrzy na mnie z wyraźnym zakłopotaniem. – Żenada.

– Dlaczego?

– Nie sądziłam, że i do mnie odnoszą się reguły psychologii tłumu.

– Jesteś tłumem jednoosobowym – podkreślam.

– Zapewne, lecz jeśli sama z siebie tak się zaperzyłam, pomyśl, ile może działać nawiedzony mówca, gdy zwraca się do grupy rozwściezonych, bosych chłopów z motykami w rękach. – Maja jest poruszona tą wizją, jakby nagle uświadomiła sobie, że gdyby mieszkała w Salem, pierwsza rzuciłaby pochodnię na stos rzekomej czarownicy.

– Wyglupiasz się.

– Jesteś tego pewna? – Próbuje unieść brwi, ale opuchnięte powieki to uniemożliwiają. Oczy łzawią, nos ma zatkany.

– O Boże, nie wmawiaj mi, że twoi koledzy obojętnie patrzyli, jak cierpisz. Szefowa korekty powinna natychmiast wysłać cię do domu.

– Pracuję z obcymi ludźmi. – Maja wzrusza ramionami. – Nikt mi się nie przygląda. Połowa z nich nie pamięta mojego imienia i nazwiska, chociaż podpisuję się na każdym opracowanym tekście. Gdy mają do mnie interes, stają z tyłu i nawołują, póki się nie odwrócę.

– Nie możesz łązić po mieście z czerwonymi ślepiami.

– Założę ciemne okulary.

Pokazuje mi, jak w nich wygląda. Niewielka różnica, jakby hrabina z operetki zmieniła suknię. Rodzony ojciec jej nie pozna, ale widzowie nie dadzą się nabrać.

– I co? Naprawdę myślisz, że nie zauważą?

– Vig, nawet gdybym przyprawiła sobie garb i rogi, nikt by się tym nie przejął. Pracuję z

obcymi ludźmi – powtarza tonem doświadczonego przez życie, mądrego, staranego wiekiem wioskowego szamana.

Pomysł rozkwita

Pieter van Kessel jest wysoki i żyłasty. W dosłownym znaczeniu tego wyrazu przewyższa swoje otoczenie. Przypomina górujący nad Barceloną kościół Sagrada Familia. Czuję się przy nim niczym jednopiętrowa hacjenda. Twarz ma kościstą jak szkielet, ale niebrzydka. Rzadko mruga powiekami ciemno-piwnych oczu. Starannie przycięta bródka a la van Dykę stanowi widome nawiązanie do fascynacji rodzimym, niderlandzkim malarstwem.

– Nad tym obecnie pracuję – mówi, pokazując mi rysunki opatrzone swoim monogramem.

Nie znam się na cudzoziemskiej wymowie, zwłaszcza holenderskiej, lecz na moje ucho mówi bez obcego akcentu, zupełnie jak Kanadyjczycy, a nawet lepiej.

Bez najmniejszego problemu umówiłam się z nim na wywiad. Jackie nie miała ochoty dzwonić w tej sprawie do matki, więc dała mi wszystkie jej namiary: telefon do pracy, a także domowy, komórkowy, samochodowy. Wszystko sama zorganizowałam. I bardzo dobrze. Przyjemnie było wyeliminować z układu przynajmniej jedną pośredniczkę, zwłaszcza tak kapryśną i wymagającą jak Jackie.

Pani Guilbert okazała się chętna do pomocy i w moim imieniu zadzwoniła do swego przyjaciela Hansa, który odezwał się wkrótce, zachwycony możliwością zaistnienia na łamach naszego czasopisma. Pewnie ani razu nie miał go w ręku. Gotów był umówić się, kiedy zechcę.

Stoi mi teraz za plecami i wskazuje co ciekawsze detale projektów van Kessela, przed czym on sam się wzdraga, bo jest skromny albo nie chce wyjść na samochwałę. Oprócz naszej trójki w pomieszczeniu są dwie osoby: żona Kessela oraz Dezi Conran, drobna kobietka o zręcznych rękach w pośpiechu szyjąca spódnice.

Znajdujemy się w suterenie apartamentowca na Lower East Side. Po drugiej stronie ulicy mieści się muzeum mieszkalnictwa, gdzie z biletami można oglądać klitki, w których przed stu laty gnieździły się dziesięcioosobowe rodziny. Po upływie wielu dziesięcioleci tu i ówdzie niewiele się zmieniło.

W suterenie jest mało miejsca, a choć oficjalnie mieszkają tu sami Kesselowie, należy jednak uwzględnić także Dezi, Hansa oraz siedem plastikowych manekinów waletujących praktycznie na stałe. Robi się naprawdę ciasno.

Dyskusja o tkaninach, kroju, rodzajach szwów i pomysłach na nową kolekcję ciągnie się godzinami, więc proponuję wrócić do meritum, ponieważ do artykułu potrzebuję konkretów. Na dworze robi się coraz cieplej, więc temperatura w piwnicy rośnie. Krople potu spływają mi po plecach i karku.

Pieter sugeruje, żebyśmy poszli do znajdującej się w pobliżu restauracji. Wiezorami i w weekendy trudno się tam dostać, lecz teraz mamy upalne sierpniowe popołudnie, więc jest mnóstwo wolnych stolików, a senny właściciel z uśmiechem wskazuje nam jeden z nich. Z głośników dobiega niezbyt głośna muzyka techno.

– Jeśli następny pokaz okaże się sukcesem, trzeba będzie poszukać sponsora – mówi

Hans, gdy wybieramy potrawy – ale nasz podstawowy warunek: wzajemne zaufanie. Nie ma mowy, żeby ktoś namawiał Pietera do stosowania materiałów gorszej jakości lub ograniczał jego twórczą swobodę.

Pieter uśmiecha się niepewnie, skromność go nie opuszcza.

– Nie ma pośpiechu. Zobaczymy, jak wypadnie listopadowy pokaz, i wtedy, o ile to będzie konieczne, rozejrzemy się za sponsorami.

Zanim nowe wzory trafią do ekskluzywnych butików i dużych galerii mody, trzeba znaleźć inwestora, który sfinansuje produkcję krótkich serii i wstawienie gotowych ubrań do modnych sklepów, co sprawi, że trafią do ludzi tworzących nowe trendy. Tak wyrabia się markę.

Podchodzi kelnerka, żeby przyjąć zamówienie, ale nie zwracamy na nią uwagi. Bazgrzę zawzięcie w notatniku. Mam w nim już szkice z muzeum i zapiski zrobione podczas telefonicznych wywiadów z dawnymi współpracownikami Kessela. Kelnerka się niecierpliwi, więc na odczepnego zamawiam hamburgera.

Gdy odchodzi, pytam, kto się interesował projektami Kessela. Hans wpada mi w słowo i peroruje o drobnych sukcesach będących udziałem ich spółki. Gdyby się udało ściągnąć prasę i kupców na kolejny pokaz, na pewno można by nakręcić koniunkturę.

Gdy Hans wymienia nazwy kilku firm, które w sprzyjających okolicznościach chętnie wyłożyłyby kasę, ogarnia mnie euforia. Pieter i Hans robią świetne ciuchy i mogą wysoko zajść. Stoją na progu wielkiej kariery. Są na parterze i czekają na windę, która zawiezie ich na najwyższe piętro, a ja towarzyszę im w tej przełomowej chwili. Za trzy miesiące, góra pół roku, nazwisko Kessel znane będzie wszystkim ludziom ze świata mody. Minie rok i jego rzeczy trafią do markowych sklepów z konfekcją. Mam świetny temat i nie mogę go zmarnować. „Styl i Blask” raczej nie pisze o projektantach, chyba że gwiazdy noszą ich ubrania, ale nie zamierzam na razie przejmować się takimi ograniczeniami. Przygotuję konspekt i pokażę go Marguerite. Głowę mam pełną pomysłów. Napiszę o Pieterze i Hansie, a po roku wrócę do sprawy w kolejnym artykule. Pokażę, jak powodzenie wpłynęło na projektanta oraz ludzi z jego otoczenia.

Gdy dwie godziny później zegniam się z nimi, jestem w natchnieniu. Zdania same układają się w głowie. Śnię na jawie. Nie zamierzam ograniczyć się do udokumentowania początków kariery Pietera van Kessela. Chciałabym ją śledzić i opisywać przez wiele lat, stając się kronikarką jego sukcesów i tworząc biografię w odcinkach.

Akta Delii

Delia podchodzi do mego biurka, aby zadeklarować wolę współpracy.

– Aleks przedstawił mi twój plan – tłumaczy głośno, nie zwracając uwagi na realną możliwość, że ściany (a raczej cienkie przepierzenia) mają uszy. – Chcę zapewnić, że zrobię wszystko, czego sobie życzysz.

Unoszę dłoń i kładę palec na ustach, dając jej do zrozumienia, że moim pierwszym życzeniem jest, aby ściszyła głos. Allison tkwi u siebie i gada przez telefon o duszonej baraninie (Cytuję: „I ja tak sądziłam. Obawiałam się, że nie będzie mi smakowała. Musisz spróbować. To jest pyszne!”), nie chciałabym, aby usłyszała, że ktoś przypisuje mi autorstwo jej planu.

– Pogadajmy na zewnątrz – szepczę, rozglądając się, żeby sprawdzić, czy nie ma w pobliżu Sary albo Kate. – Chodź.

Delia bez słowa rusza za mną w stronę wind. Od razu widać, że pali się do rozmowy. Ledwie wsiadamy, otwiera usta, ale kręcąc głową, nie dopuszczając jej do słowa.

– Daruj, że zachowuję się jak 007, ale zawsze podejrzewałam, że w windzie są pluskwy – mówię, gdy wychodzimy na zalany słońcem plac przed budynkiem. Wraz z setkami zatrudnionych tu ludzi w garniturach i pod krawatami siadamy niedaleko fontanny.

– Nie przepraszaj, nawet gdybyś wykazywała nadmierną ostrożność – mówi Delia, która przez ostatnie dwa lata wodziła za nos wszystkich współpracowników. – Po pierwsze, w tej kwestii trudno przesadzić. Po drugie, nie wiem, czy ochroniarze z holu słyszą, co się mówi w windzie, ale na pewno mają podgląd. Raz, jadąc w dół, zdjęłam rajstopy, a gdy znalazłam się na parterze, gwizdali jak idioci.

– Może pójdziemy do łazienki?

Facet siedzący obok mnie pałaszuje kanapkę z tuńczykiem. Jedzie od niego rybą. Odchylam się do tyłu, oddycham pełną piersią, czuję świeżą woń chloru i omal nie wpadam do wody. Nasza fontanna jest pozbawiona ozdób i atrakcji: żadnego posągu, wodotrysku czy zmieniającego proporcje oświetlenia. To miejsce nabiera uroku jedynie około gwiazdki, kiedy słabowite dysze są wyłączane. Z basenu spuszcza się wtedy wodę i ustawia w nim wielką choinkę.

– Tu więcej zdziałamy – odpowiada, nie zwracając uwagi na odór tuńczyka drugiej świeżości. – Staram się wykonywać co najmniej dwie czynności naraz, choć niekiedy okoliczności mi to uniemożliwiają.

Delia nie wygląda na osobę hołdującą modzie. Ubiera się porządnie, tanio i wygodnie. Dziś ma na sobie prostą niebieską spódnicę do kolan i granatowy T-shirt. Prawie się nie maluje, a długie, gęste, ciemne włosy splata we francuski warkocz. Zawsze nosi dużą skórzaną aktówkę. Takie teczki rodzice ofiarowują dzieciom po egzaminie magisterskim. Aktówka Delii jest nawet opatrzona złotą plaketką z wypisanym kursywą monogramem. Wystarczy rzut oka na tę dziewczynę, aby odgadnąć, że jest praktyczna i nie traci czasu na głupstwa. Wcale się nie zdziwiłam, kiedy powiedziała, że zdjęła rajstopy w windzie, żeby

wykorzystać wolną chwilę. Nawet gdyby wiedziała, że w holu usłyszy przeciągły gwizd, na pewno by się nie zawahała.

Przechodzę do rzeczy, ale wcześniej rozglądam się czujnie, zwracając głowę najpierw ku tuńczykozercy, a potem w drugą stronę, żeby się upewnić, czy w pobliżu nie ma ludzi z redakcji jedzących kanapki albo palących papierosy. Żadnych znajomych twarzy.

– Aleks przedstawił ci plan? – pytam cicho. Lepiej mieć się na baczności. Siedzimy przed samym budynkiem. Lada chwila może stamtąd wyjść Jane, Allison albo Marguerite.

– Tak. Moim zdaniem, majstersztyk. Świetnie to wymyśliłaś – chwali przesadnie, chociaż z drugiej strony w jej przypadku o nadmiarze nie ma mowy, ponieważ kieruje się zasadą ekonomii wysiłku.

– Plan nie jest mój – poprawiam, bo nie chcę przypisywać sobie cudzych zasług. – Wymyśliła go Allison. Potem dziewczyny zaprosiły mnie do współpracy.

Delia w ogóle mnie nie słucha. Grzebie w torbie zawieszanej na ramieniu, wyciąga papierową aktówkę i podaje mi ją.

– Proszę. – Teczka jest tak gruba i ciężka, że omal jej nie upuściłam, zaskoczona wagą dokumentacji.

– Co to?

– Moje akta Jane – wyjaśnia, imię szefowej wypowiadając bezgłośnie.

Dla mnie to prawdziwa niespodzianka.

– Masz na nią haka?

Zakłopotana spogląda mi w oczy zza okularów w rogowej oprawie.

– Na każdego coś mam. Prawie wszystkim założyłam teczki.

– Naprawdę?

– Aha – odpowiada rzeczowo, jakby takie postępowanie nie miało nic wspólnego z tajnymi procedurami stosowanymi przez FBI. – Bez przerwy zbieram informacje.

– Masz także moją teczkę?

– Oczywiście.

– A Cartera? – To nasz woźny. Roznosi pocztę i reperuje zepsute ekspresy do kawy.

– Pewnie.

Spoglądam na nią, rozważając te informacje. Mniejsza z tym, że ta cwana bestia zapewne sporo o mnie wie. Coś innego leży mi na sercu. Delia nie tylko pracuje za dwoje, wykonując robotę swoją i Kellera, lecz także sprawnie niczym dyplomowana agentka prowadzi dyskretną inwigilację w naszym niewielkim zespole. Czego się tknie, wszystko robi znakomicie. Tak myślę, patrząc, jak wyglądzają wymaginowane fałdki na niemodnej spódnicy. Zastanawiam się, co w ogóle robię w redakcyjnej branży, skoro brak mi podobnej determinacji oraz ciekawości.

– Założyłaś teczki wszystkim, nawet mnie i Carterowi? – upewniam się, czy właściwie zrozumiałam Delię. – Mogę zajrzeć do swojej? Jeśli wypiszę rewers i złożę na nim poświadczony notarialnie podpis, dasz mi kopię dokumentów?

– Nie.

– A nie jesteś do tego zobligowana postanowieniami ustawy o danych osobowych?

– Jej przepisy odnoszą się do agend rządowych, a nie do osób prywatnych – tłumaczy z uśmiechem.

– Ujawnię, co mam na ciebie, jeśli zobaczę zawartość mojej teczki – próbuję z innej strony. Nie mam wprawdzie żadnych akt, lecz jestem niemal pewna, że gdybym się postarała, pod koniec dnia znalazłoby się na nią to i owo.

Niestety, taki kompromis Delii nie interesuje, więc udała, że nie słyszy mojej propozycji.

– Założyłam również teczkę Marguerite. Udostępnię ci ją najszybciej, jak to będzie możliwe. Zazwyczaj dopiero po dwóch miesiącach zaczynam zbierać informacje, o ile warto. Brak mi czasu, żeby inwigilować wszystkich. – Wzrusza ramionami, jakby czuła się winna wobec ludzi, których prywatność nie została przez nią naruszona. – Moim zdaniem to najrozsądniejsze wyjście, ale w zaistniałych okolicznościach dla Marguerite należy zrobić wyjątek.

– Naturalnie – przytakuję, choć moim zdaniem logika podpowiada, że najlepsza byłaby całkowita rezygnacja z inwigilowania kolegów.

Zaglądam do teczki i wyjmuję stos kartek. Są to głównie kserokopie stron wyrwanych z rozmaitych czasopism. Przeglądam je, czytając tytuły. To i tak ogromny materiał. Będę miała o czym myśleć przez cały tydzień. Czuję się nieco przeciążona.

– Informacje ułożone są w porządku chronologicznym. Zaczęłam od naszych spotkań sam na sam. Trudno powiedzieć, czy znajdziesz tam coś interesującego, ale na wszelki wypadek postanowiłam ci to pokazać. – Chichoce jakby w ataku histerii i starannie wygładza kolejne nieistniejące fałdy na spódnicy. – Niesamowita sprawa. Gdybyś potrzebowała mojej pomocy, dzwoń natychmiast.

– Zgoda. – Przez moment zastanawiam się, czy powiedzieć jej, że oprócz Allison w spisku uczestniczą także Kate i Sara, lecz po chwili zastanowienia rezygnuję z tego pomysłu. Wolałabym, żeby nie rozdawała kopii swoich akt niepowołanym koleżankom w redakcji.

– Dzięki za dane. Będę na nie uważać. Nie zaleję ich kawą.

– To kopia. Oryginały mam w mieszkaniu. – Spogląda na zegarek i wstaje. – Aleks... – Energicznym gestem robi w powietrzu znak przypominający cudzysłów. – Aleks ma za pięć minut emailową konsultację z agentem zamieszkałym na Zachodnim Wybrzeżu.

Tuńczykożerca skończył śmierzącą kanapkę i odszedł, więc zrobiło się całkiem przyjemnie. Chętnie zostałabym przy fontannie, ale chcąc nie chcąc wstaję.

– Jak ty to robisz?

– Co? – pyta.

– Jak udajesz Aleksa, nie wzbudzając podejrzeń. Delia wybucha śmiechem.

– To wyłącznie jego zasługa. Był taki kochany, że wszystkich do siebie zraził. Nikt już nie chce się z nim kontaktować, więc kiedy mówię, że będę go reprezentowała, bo nie ma czasu na spotkanie, zawsze słyszę westchnienie ulgi. Nikt nie zgłasza najmniejszych zastrzeżeń – wyjaśnia, patrząc na migające światelko panelu windy.

W środku milczymy jak zakłete, chociaż jesteśmy same. Ostrożności nigdy za wiele.

Etap numer trzy

Keller dzwoni do mnie we środę z samego rana, aby powiedzieć, że zrobił swoje.

– Lawina ruszyła. Wczoraj o szóstej po południu Delia podsunęła Jackie spis listopadowych imprez. – Po jego głosie poznaję, że perspektywa obalenia Jane kręci go bardziej, niż można by się spodziewać po facecie, którego trzeba było szantażować, aby przystąpił do spisku.

– Nie przesadzaj z tym szantażem – mityguje, gdy mu o tym mówię, ścisząc głos do szeptu. – Spanikowałaś przy pierwszej próbie kontrofensywy. Moim zdaniem, powinnaś trzymać się dziennikarstwa. Od razu widać, że gry wojenne to nie jest twoja specjalność.

– Rozgrywka z Jane nie jest wojną. Keller parska śmiechem.

– Nie sądzisz, że podsuniecie Jane listy z imprezami to pierwsze agresywne posunięcie?

– Ależ skąd! – protestuję, bo nieświadomie zmylił rachubę. Pierwszym ruchem było podrzucenie notatki dotyczącej „Odlotu lilii”.

– Tak czy inaczej – odpowiada – coraz bardziej zapalam się do tego pomysłu. Kiedy zgodziłem się pomóc, miałem pewne wątpliwości, które zniknęły, gdy zobaczyłem reakcję Delii. Całkiem możliwe, że ma już dość ukrywania się w moim cieniu.

Myszę o szufladzie wypełnionej teczkami zawierającymi dane współpracowników.

– Nie bierz tego do siebie. Podejrzewam, że Delia w ogóle nie życzy sobie, żeby ją ktoś przyćmiewał.

– Cała ona! Chodząca ambicja. Wykonuje swoją pracę znacznie lepiej, niż ja to kiedykolwiek robiłem. Termin złożenia listopadowego spisu imprez upływa za dwa tygodnie. Pewnie czekałbym do ostatniej chwili, bo nienawidzę rozmów z agentami.

– W takim razie dobrze się stało, że jesteś architektem.

– Skoro już o tym mowa, już kończę, bo czas ucieka, a muszę jeszcze pójść z Redbullem na dłuższy spacer.

– Kelly się nie odezwała? – pytam, nie odczuwając specjalnych wyrzutów sumienia.

Według Redbullka dłuższy spacer oznacza dodatkowe dziesięć minut wylegiwania się w cieniu, co równie dobrze mógłby robić w domu.

– Nie. Dostałem od znajomego namiary innego wyprowadzacza, ale chyba nic z tego nie będzie.

– Dlaczego?

– Facet nazywa się Killer.

– Może to ksywa?

– Tym gorzej, nie sądzisz? Gość ujawnia swoje intencje.

Jak na ogra samotnika ryczącego na wszystkich, którzy zbliżą się do jego pustelni, Keller jest wyjątkowo gadatliwy.

– Mówiłeś, że się spieszysz.

– Tak, tak. Chciałem tylko zapytać, czy jutro wieczorem jesteś zajęta.

– Dlaczego? – pytam, czując, że grunt usuwa mi się spod nóg. Emocjonalny popapraniec,

emocjonalny popapraniec...

– Mam plan.

– Jaki?

– Nie umywa się do twojego i nie doprowadzi do upadku osoby ludzkiej, ale może być fajnie. Co o tym myślisz?

– Plan nie jest mój – podkreślam głośno, żeby Allison usłyszała, o ile podsłuchuje. – Ja go nie wymyśliłam.

– Proszę?

Kusi mnie, żeby mu wszystko powiedzieć i wyznać, że Allison jest geniuszem zła. To ona znalazła sposób, żeby dorwać Jane. Chętnie oznajmiłabym również, że jak na złość umawiam się wyłącznie z facetami, od których powinnam trzymać się z daleka. A jednak milczę. Rezygnuję z wyznań i zgadzam się na spotkanie w barze U Izabeli o siódmej trzydzieści.

Układ

Jane wzywa mnie do swego gabinetu. Gdy wchodzę, podnosi głowę i mówi, żebym usiadła, a następnie wypytuje o moją rodzinę. Niespodziewanie czuję lęk. Nie dość powiedzieć, że takie zachowanie jest u niej osobliwe. To krańcowe przeciwieństwo tego, co mamy na co dzień. Tylko delikwentka po lobotomii dałaby się nabrać na takie sztuczki.

– Rodzice zdrowi? – pyta.

– Owszem, dziękuję – odpowiadam ostrożnie, starając się ukryć zaskoczenie.

– Nadal mieszkają na Florydzie?

– W Missouri – poprawiam, bo najwyraźniej strzelała na oślep. Nie wie nic o moich rodzicach.

– Tak, tak. – Zapada kłopotliwe milczenie. Jane patrzy na mnie bez słowa. Gapi się tak uporczywie, że omal nie zaczęłam wiercić się na krześle. Gdyby to był gabinet onkologa, zaczęłabym podejrzewać, że za chwilę usłyszę wyrok: guz jest złośliwy i nie można go operować. – Vig, jak długo byłaś moją asystentką?

– Dwa lata.

– Zgadza się. Kawał czasu. – Jane wstaje z fotela, przysuwa krzesło do biurka i siada obok mnie. Teraz jak równa z równą siedzimy po stronie interesanta. – Przez te dwa lata wytworzyła się między nami silna więź oparta na ciężkiej pracy i wzajemnym szacunku.

Nie wydaje mi się, żeby w tym gabinecie kiedykolwiek padło sformułowanie: wzajemny szacunek. Moja obawa przeradza się w paniczny strach. Lękam się, że Jane poprosi mnie o nader osobistą przysługę i będzie chciała, żebym zrobiła dla niej rzecz, na którą można się zdobyć tylko wobec najbliższych przyjaciół, na przykład żebym podrapała ją po plecach.

– No tak – przyznaję dla świętego spokoju. Poprawiam się na krześle i chowam dłonie za plecami. Nie chcę, żeby trzymała mnie za rączkę.

Niepotrzebnie się obawiałam. Jane odfajkowała postulat równości. Wstaje i opiera się o biurko.

– Moim zdaniem, czas na awans.

Nie ma zwyczaju, żeby w takich sprawach pytać podwładną o zdanie. Osobliwa sytuacja, ale już mnie to nie dziwi, ponieważ teraz wszystko jest nienormalne.

– Twój – mówi z wymuszonym uśmiechem. Nie czuje się dobrze jako zwiastunka dobrej nowiny.

Jestem tak zaskoczona, że nie mogę wykrztusić słowa i gapię się na nią jak sroka w gnat.

– Chciałabyś zostać starszym redaktorem? No pewnie. Bardzo przyjemna niespodzianka.

– Jasne.

– Świetnie. – Jane wraca za biurko i siada w obrotowym fotelu z czarną skórzaną tapicerką. – Każę Jackie przesłać wszystkim wiadomość o twoim awansie. Pierwsze zadanie, które wykonasz dla mnie na nowym stanowisku, polega na tym, że zadzwonisz do agentki Gavina Marshalla.

– Gavina Marshalla? – Dlaczego jestem zaskoczona? Powinam się tego spodziewać.

– Tak, tak, do autora wystawy „Odlot lili”. Zadzwoń do agentki i powiedz, że chcemy się spotkać, aby omówić wszystkie kwestie dotyczące objęcia patronatu medialnego nad tą wystawą.

– Ale Marguerite powiedziała...

– Vig, jesteś teraz starszą redaktorką, więc nie masz czasu być dla niej dziewczyną na posyłki. Oczywiście jeśli wolisz, żeby się tobą wysługiwała, powiem Jackie, by wstrzymała się z rozsyłaniem zawiadomień o twoim awansie.

Groźba jest oczywista.

– Ależ skąd. Nie ma potrzeby.

– Też tak myślałam. – Jane uśmiecha się chytrze. Znam tę minę, która zresztą najlepiej *do* niej pasuje. – W takim razie powiedz Marguerite, że nic nie działa.

– Proszę? – Gram wprawdzie znaczonymi kartami, ale staram się przestrzegać innych zasad, a teraz powinnam być zaskoczona.

– Wyjaśnij, że dzwoniłaś do agentki, ale ta cię splawiła, bo nie jest zainteresowana współpracą. Koniec, kropka.

Gdyby Marguerite naprawdę chciała nawiązać kontakt z Marshalllem i usłyszała od agentki, że ta nie jest zainteresowana współpracą, z pewnością nie byłoby po sprawie. Szczęśliwie – a raczej nieszczęśliwie – dla Jane nasza Marguerite nie ma pojęcia, co jest grane.

– Zgoda.

– Dobrze. W takim razie zorganizuj spotkanie. Zapytaj Jackie, kiedy jestem wolna. Chciałabym jak najszybciej zobaczyć się z agentką. Nie zapominaj, że czas nagli, bo pracujemy już nad grudniowym numerem. – Podnosi słuchawkę na znak, że spotkanie dobiegło końca. Inni powiedzieliby „do widzenia”, lecz Jane nie zwraca sobie głowy takimi głupstwami.

Gdy kładę dłoń na kłamce, raz jeszcze zwraca się do mnie po imieniu.

– Vig, nikomu ani słowa. Zachowajmy to w tajemnicy, rozumiesz? Nie chcę, żebyś przeze mnie podpadła wiceszefowej.

Obiecuję solennie milczeć jak grób i wychodzę.

Ramowy szkic: 24 sierpnia – zmiana gatunku

Maja pisze o trupach znajdujących w metrze, rzymskich łaźniach i opuszczonych mieszkaniach zamkniętych na głucho. Rozrzuca zwłoki hojną ręką i pozwala je odnaleźć nieprzygotowanym na te niespodzianki bohaterom. Przechodnie potykają się o – trupy, a pisarka zmusza dyletantów do prowadzenia śledztwa i szukania mordercy. Takie są powieści Mai, w których zwykli ludzie stopniowo nabierają odwagi, posuwając się mozolnie śladem nieboszczyka. Nikt tego nie kupi.

– Moje powieści są zbyt mało zagadkowe, żeby uznać je za kryminały – powiedziała, gdy siedziałyśmy w barze hotelu Paramount. – Z drugiej strony jednak wydają się nazbyt tajemnicze, żeby uchodzić za powieści obyczajowe. To hybrydy. Ni pies, nie wydra, dziwaczne mieszańce, do których nikt już nie ma serca.

Po kilku głębszych Maja staje się czułościową.

Postanowiła pisać kryminały, bo uznała, że to łatwizna. Sądziła, że będzie produkować je dziesiątkami, ponieważ zna schematy fabularne, i sprzedawać hurtowo, bo na powieści detektywistyczne od dawna jest duży popyt. Dopiero później zorientowała się, że nie potrafi spłodzić typowego kryminału. Z czasem odkryła również, że ich jednorodność jest uciążliwa, bo nie wolno na krok odejść od schematu, a rozwiązanie zagadki kryminalnej i wskazanie mordercy nie ma nic wspólnego z rozwojem osobowości bohaterów.

– Zacznę pisać romanse – oświadcza teraz, otwierając brązową torbę.

Wyciąga kanapkę z szynką i żółtym serem, butelkę soku owocowego, torebkę chipsów ziemniaczanych oraz babeczkę. Przygotowała sobie taki lunch, jaki matka szykuje do szkoły piątoklasiście. Brakuje tylko jabłka.

Mój posiłek jest znacznie skromniejszy: kanapka z masłem orzechowym i galaretką; żadnych dodatków, napoju, deseru.

– Romanse? – powtarzam.

– Aha.

– Dlaczego?

– Bo są koszmarnie – odpowiada, jakby te słowa wszystko wyjaśniały. Oczy ma nadal przekrwione, ale są już mniej opuchnięte i przestały łzawić. Zapisane przez lekarza krople powoli zaczynają skutkować.

Jej wyjaśnienie niczego nie tłumaczy.

– I co z tego, że są koszmarnie?

– No, nie wszystkie. Część nadaje się do czytania, ale większość to chłam. Co miesiąc wydaje się ich tak dużo, że po prostu nie mogą trzymać poziomu. Tak samo dzieje się, gdy zwiększa się liczba drużyn uczestniczących w rozgrywkach sportowych – dodaje, mrużąc oczy, bo słońce świeci jej prosto w twarz.

Jemy lunch, siedząc na ławce w Central Parku. Po drugiej stronie ulicy stoi hotel Plaża, widzimy też kilka niezadowolonych koni ciągnących bryczki, którymi jadą turyści.

Pojawił się nowy wątek. Maja do tej pory nie używała sportowych porównań.

– A co się dzieje, jeśli w rozgrywkach sportowych uczestniczy więcej drużyn? – powtarzam jej określenie.

– Poziom spada na pysk i pojawiają się partacze. Te zwroty brzmią znajomo; tak piszą dziennikarze sportowi, ale nie są to moje klimaty.

– Skoro tak mówisz...

– Popyt jest tak wielki, że przy masowej produkcji nie da się utrzymać wysokiej jakości – wyjaśnia. – Na pewno jestem w stanie pisać co dwa miesiące sto tysięcy słów. Moim zdaniem to łatwizna.

– Nie – odpowiadam.

– Dlaczego?

– Bo nie.

– O co ci chodzi?

– Nie podoba mi się twój pomysł wejścia na rynek romansu – mówię, przerażona wizją Mai piszącej co dwa miesiące sto tysięcy słów na temat, który w ogóle jej nie interesuje. – Szkoda twojego czasu.

– Czemu tak sądzisz?

– Nic z tego nie będzie.

Zirytowana albo zła mamroce coś pod nosem i okruch bułki wypada jej z ust.

– Dlaczego?

– Bo nie znasz się na pisaniu romansów.

– A na czym tu się znać? Dwoje ludzi zakochuje się i już.

– Gardzisz tym gatunkiem.

– Ale mogę na nim sporo zarobić. – Wzrusza ramionami.

– No nie!

– Co nie?

– Nie pisz romansów. Zapomnij o kryminałach. Pisz książki.

– Śmieszny pomysł, wiesz? – mówi, zaglądając do torebki z chipsami.

– Co cię tak śmieszy?

Nie odpowiada, lecz wcale się temu nie dziwię. Wiele razy wałkowałyśmy już ten temat. Zawsze chroni się za murem milczenia, lecz dokładnie wiem, co myśli.

Pisanie książek przyporządkowanych określonym gatunkom jest łatwe. Wystarczy robić swoje najlepiej, jak potrafimy, i konsekwentnie trzymać się schematu, ale nasz produkt nie umywa się do dzieł pisarzy, których uwielbiamy, takich jak: E. M. Forster, Christopher Isherwood, Virginia Woolf. Zresztą to nie ma znaczenia. Nikt od nas nie oczekuje arcydzieł. Płodzenie komercyjnych powieści jest łatwe. Trudno natomiast uznać siebie za pisarkę z prawdziwego zdarzenia.

– Musisz z tym skończyć – mówię po chwili milczenia.

– O co ci chodzi? – Maja udaje kretynkę, mruga powiekami i zajada chipsy.

– Mówię o ramowym schemacie, kuksańcach i świadomym przyspieszeniu oraz zmianach gatunków literackich. To mi przypomina zasadę dwunastu kroków ruchu AA, tyle że u ciebie jest ich dwanaście tysięcy. Daj sobie z tym spokój i skup się na ważnych sprawach – radzę,

ogarnięta nagłą irytacją. Jestem zniecierpliwiona i nie mogę dłużej nad sobą panować. – Wiem, że taka decyzja budzi obawy. Sama zwlekałam całe dwa dni, nim zdecydowałam się zadzwonić do Kessela z prośbą o wywiad. Ty również musisz zdobyć się na odwagę.

– Nie mam pojęcia, jak doszło do tego, że występuję jako wzór celowego i świadomego działania, lecz trudno nie zauważyć, że pojawiła się nowa Vig Morgan, która wie, czego chce, i urzeczywistnia swoje plany.

Maja zamilkła. Żuje ziemniaczane chipsy i patrzy na mnie podpuchniętymi oczami.

– Chyba napiszę powieść historyczną. Anglia, początek dziewiętnastego wieku...

Wzdycham ciężko.

Teczka Jane

Nim teczka Jane dostała się w moje ręce, Delia przejrzała dokumenty i ocenzurowała je, usuwając dane, których nie powinnam znać. Niektóre akapity zamazane są czarnym flamastrem tak samo jak pewne fragmenty listów w 1941 roku wysyłanych z frontu przez dziadka. Czarnym tuszem przekreślano wszelkie informacje, które mogłyby ułatwić określenie miejsca, gdzie stacjonuje oddział. Nie potrafię wskazać zasad, którymi kierowała się Delia. Próbowałam je odtworzyć, ale to mnie przerasta. Istny paragraf dwadzieścia dwa. Te klimaty.

Dziewięćdziesiąt procent danych to banał i nuda do kwadratu. Podczas lektury walczyłam z sennością. Zdrzemnąłam się w końcu nad uzasadnieniem dołączonym do nagrody przyznanej Jane przez Stowarzyszenie Redaktorek za najlepsze czasopismo roku. Obudził mnie dzwonek telefonu. Ochlapałam twarz zimną wodą i próbowałam czytać dalej, lecz poległam przy mowie dziękczynnej wygłoszonej przez laureatkę. Liczyła siedem stron. Nie byłam w stanie czytać górnolotnych frazesów kierowanych do koleżanek po fachu i czcigodnych sióstr w redaktorstwie. Problem w tym, że Jane nie jest siostrą; to jedynaczka, która woli bawić się sama. Ciekawe okazały się natomiast rachunki, faktury i paragony stanowiące widomy dowód, że Jane systematycznie okrada firmę. Każde krzesło w jej mieszkaniu, każda wisząca na ścianie litografia Picassa, wszystkie ubrania, w których paraduje, zostały kupione za pieniądze Ivy Publishing Group. „Styl i Blask” płaci za coroczne dwutygodniowe wakacje na Borneo oraz uroczne weekendy w Aspen. Finansujemy wizyty u fryzjera, masażysty i pedikiurzystki, u której bywa raz w tygodniu. Je obiady na koszt firmy, która łoży też na środki komunikacji oraz bilety do teatrów na Broadwayu. Ivy Publishing nie płaci jedynie chesnego za jej dzieci chodzące do kosztownych prywatnych szkół w Upper East Side, ale to jedynie kwestia czasu. Za parę lat przekona księgowość, że erudycja i odkrywczy styl jej córki twórczo ożywia formę tekstów publikowanych w naszym piśmie.

– To ocean informacji – mówię do Delii, gdy spotykamy się w stołówce. Na ladzie same potrawy krajów południowych wyłożone na podgrzewanych tacach, gdzie zazwyczaj leży odgrzewana fasola i wołowina w potrawce z ostrym sosem. Dzisiaj króluje tutaj egzotyczna kuchnia. – Dlaczego ich nie wykorzystasz?

– Próbowałam. Jane jest nietykalna. Trudno się do niej dostać.

– Próbowałaś?

– Owszem. – Napelnia talerz. – Przed rokiem podrzuciłam kilka rachunków Bobowi Carsonowi z działu finansowego. Nawet okiem nie mrugnął, gdy zobaczył, że „Styl i Blask” zapłacił za jej lifting.

– Zrobiła operację plastyczną?

– Nie zauważyłaś? – pyta z uśmiechem. – W sprawozdaniu z wydatków ujęła tę pozycję jako masaż regeneracyjny.

– Serio?

– Naprawdę tak było. – Zerka na mnie z ciekawością, biorąc porcję kurczaka. – Byłaś jej

asystentką. Robiłaś dla niej raporty kasowe, prawda?

– Nie zwracałam uwagi na to, co robię. – Wzruszam ramionami. – Nawet gdyby kupiła Statuę Wolności, nie zrobiłoby to na mnie żadnego wrażenia. Jak przekazałaś mu rachunki?

– Kiedy nikt nie patrzył, wsunęłam do jego przegródki. – Z pytającym spojrzeniem podsuwa mi chochlę napełnioną smażonym piżmianem jadalnym.

Odmawiam ruchem głowy. Idę za Delią wzdłuż tac z egzotycznymi frykasami, nie zamierzam ich jeść. Zjadłam lunch z Mają, więc przysłałam tylko na deser.

– Nie mrugnął okiem?

– Zero reakcji podobnie jak wówczas, gdy podrzuciłam mu papiery, z których wynikało, że Jane wyprzedaje firmowe meble, a zysk chowa do kieszeni. Jej wydatki i przychody są przez księgowość traktowane inaczej niż pozostałe. Jak myślisz, dlaczego tak się zapaliłam do twego pomysłu? Najwyższy czas, żeby to zmienić.

– Zgadzam się – mówię, roztrząsając fakt, że Delia spiskowała przeciwko Jane równie długo i nieskutecznie jak CIA przeciw Fidelowi Castro.

Delia niesie tacę wypełnioną południowymi smakołykami w stronę kasy.

– Wiążę z tym planem wielkie nadzieje. Moim zdaniem, mamy szansę. Myślę, że znajdziemy w końcu srebrną kulę, która ją załatwi.

Odprowadzam ją wzrokiem, a następnie sięgam po ryżowe ciastko i maszeruję do kasy.

Po prostu randka

Keller zabiera mnie na tradycyjną potańcówkę z wodzirejem.

– Nie znam kroków – mówię, gdy wchodzimy do wielkiej sali, która wygląda i pachnie jak stołówka liceum. Znajdujemy się w piwnicy kościoła na rogu Broadwayu i Osiemdziesiątej Szóstej. Salę ozdobiono czerwonymi i zielonymi serpentynami, które wiszą pod sufitem jak gwiazdkowe dekoracje.

Aleks obejmuje mnie w talii i prowadzi do stolika, gdzie kupuje się bilety, i płaci należne dziesięć dolarów. Kasjer chowa banknot do metalowej kasetki.

– Spokojnie, to łatwe. Słuchaj wodzireja i obserwuj innych tancerzy.

Trudne zadanie. Na zabawie z wodzirejem byłam z ojcem, kiedy miałam dwadzieścia dwa lata. Słabo pamiętam tamten wieczór, ale mam jeszcze granatową bandankę, którą wtedy wygrałam na loterii. Gdyby nie to, całkiem zapomniałabym o imprezie sprzed lat.

– Pierwszy raz jestem na parafialnej potańcówce – mówię, rozglądając się po sali. W głębi zespół muzyczny już szykuje się do grania. Zwalisty mężczyzna z wydatnym brzuchem i kocią bródką stroi gitarę i próbuje akordy. – Cały dochód idzie na sieroty?

Keller bierze mnie za rękę i prowadzi do stoiska z napojami.

– Nie mam pojęcia, czy w tej parafii są sieroty, i na co przeznaczony jest dochód z imprezy. – Wskazuje listę oferowanych napojów. – Co dla ciebie?

Jeszcze młoda godzina, lecz wlałam już w siebie dwa dżiny z tonikiem: jeden gdy czekałam na Aleksa, a drugi w czasie krótkiej pogawędki. Po dwóch mocnych drinkach jestem na lekkim rauszu, więc powinnam wziąć colę. To byłoby rozsądne posunięcie, ale zdrowy rozsądek mnie opuszcza. Skoro przyszedłam na parafialną potańcówkę z wodzirejem, należy mi się piwo. Nie dam rady płaść na trzeźwo.

W sali jest tłok. Chętnych do zabawy nie brakuje, więc musimy lawirować w tłumie, żeby znaleźć zaciszne miejsce.

– Jak się dowiedziałeś o imprezce? – pytam.

– Przeczytałem ogłoszenie w „Rezydencie”. To lokalna gazeta – tłumaczy, pociągając spory łyk piwa. – Od dawna wybierałem się na taką potańcówkę. W młodości podczas letnich obozów szalałem jak wariat na takich zabawach.

– Niesamowite!

– Że szalałem jak wariat?

– To dla mnie nie nowina. Dziwię się raczej, że czytasz lokalną prasę.

Patrzy na mnie z jawnym zdziwieniem.

– A ty nie?

– No... niestety – potwierdzam, czując się tak, jakbym wyznawała grzech śmiertelny. Moja spowiedź jeszcze się nie skończyła. Mam na sumieniu gorsze przewinienie. – Nie wiem nawet, jaki tytuł ma nasz dzielnicowy periodyk.

– Gdzie mieszkasz?

– Cornelia, między Bleecker i Czwartą Zachodnią.

- „Villager”.
- Skąd wiesz?
- Prasa lokalna to mój konik.
- Nie wierzę. – Zaczynam się śmiać.
- Kiedyś tam mieszkałem.

Już mam zapytać, kiedy i gdzie, lecz orkiestra kończy stroić instrumenty i wnet zacznie grać. Dwoma efektownymi haustami kończę piwo, rzucam do kosza na śmieci kubek z czerwonego plastiku i staję obok Aleksa w czworoboku, gdzie brakowało ostatniej pary. Żołądek mam ściśnięty ze strachu, zaraz dostanę mdłości. Zerkam na mego partnera.

- Dasz sobie radę. – Próbuje dodać mi otuchy i pewności siebie, co mu się nie udaje.

Uśmiechem dziękuję mu jednak za te starania.

Przyglądam się innym tancerzom z mojego czworoboku. Wszyscy sprawiają wrażenie lekko wystraszonych. Kobieta stojąca naprzeciwko machinalnie szarpie na wszystkie strony rękę partnera. Ich obawy są dla mnie pociechą. Ledwie orkiestra zaczyna grać pierwszy utwór, odprężam się powoli, a gdy wodzirej krzyczy, że mamy przesunąć się w prawo, jestem prawie wyluzowana. Obserwuję tancerzy i jakoś sobie radzę, choć jestem pół kroku za innymi.

- Fajnie było – mówię, gdy muzycy odkładają instrumenty.

Jestem zdyszana i spocona. Nie można powiedzieć, że bym w czasie tych płaśów korzystnie się prezentowała.

– Mówisz, jakbyś była zdumiona. – Aleks prowadzi mnie ku schodom wiodącym na ulicę. W piwnicy było gorąco i duszno, więc przyjemnie jest odetchnąć nocnym sierpniowym powietrzem.

- No wiesz, zwykła parafialna zabawa.

- Kobieto małej wiary!

– Nie była to renomowana impreza – upieram się, chcąc mu dać do zrozumienia, że mało kto dobrze się bawi na takich potańcówkach.

Keller kręci głową, jakby uważał, że muszę się jeszcze wiele nauczyć.

- Masz ochotę na lody? Za rogiem jest cukiernia, gdzie mają świetne desery lodowe.

Dopiero dziesiąta. Jestem pełna energii, więc zgadzam się. Skręcamy w przecnicę i wchodzimy do Time Cafe. Zamawiamy lody z kremem czekoladowym i podwójną porcją orzechów.

Keller jest zabawny, miły i świetnie tańczy. Chyba zawrócił mi w głowie. Daremnie walczę z fatalnym zauroczeniem. Wygląda na to, że sprawa jest przesądzona.

Wróg za ścianą

Allison pożąda mego stanowiska.

– To nieuczciwe. Ja wpadłam na doskonały pomysł, a ona dostała awans i wielki gabinet.

Wkładam do tekturowego pudła resztę biurowych ruchomości: zszywacz, spinacze do papieru, nożyczki, koperty, pineski, długopisy, a następnie oklejam wieko taśmą samoprzylepną. Mam do pokonania niecałe dwadzieścia metrów, ale muszę zabezpieczyć dobytek. Nie ma odwrotu.

– Tak, przecież mówiłam. Pomysł był mój. Prosiłyśmy ją tylko o drobną przysługę. Błahostka bez żadnych konsekwencji dla całej sprawy. Teraz załatwiła sobie awans, który mnie się należał, i została starszą redaktorką.

Kolej na szafkę z dokumentami i notatkami. W ciągu trzech lat trochę się ich nazbierało. Zdrowy rozsądek podpowiada, że należy przeprowadzić selekcję, bo większość to makulatura, którą należy wyrzucić.

– No wiesz, prawdziwy salon. Pamiętasz moje pierwsze mieszkanie? Ten gabinet jest od niego większy. No właśnie, ma nawet balkon.

Niezadowolona Allison przez cały ranek plotkuje o moim awansie. Wisi na telefonie, odkąd przysłała do pracy i znalazła na biurku wiadomość. Zadzwoiła już chyba do wszystkich znajomych, żeby poskarżyć się na tę niesprawiedliwość. Cisza zapada na moment, gdy Allison bierze oddech albo wystukuje kolejny numer. Christine wysuwa głowę ponad cienką ściankę i przewraca oczami, solidaryzując się ze mną.

– Jest okropna – szepce, choć nie ma takiej potrzeby. Allison słyszy tylko siebie.

Rzucam wypchane papierami brązowe koperty do ażurowych pojemników z żółtego plastiku dostarczonych przez dział techniczny. Sortowanie może poczekać. Zajmę się tym w nowym gabinecie, gdzie będę miała ciszę i spokój.

– Wiem.

– O czym ona mówi?

– Proszę? – rzucam z roztargnieniem, spoglądając na leżący w rogu boksu stos upominków z rozmaitych promocji. Do czego może się przydać piłka plażowa z napisem: „Mistrzostwo gwarantowane”?

– Ciągle mówi o swoim pomysle albo planie. – Christine opiera się o przepierzenie.

Im więcej ludzi wie o spisku, tym mniejsza szansa na jego powodzenie. Podaję piłkę Christine, ale ona nie chce prezentu i nie zważając na jego zalety, kręci głową. Wypuszczam powietrze z plastikowej kuli i wrzucam ją do kosza na śmieci.

– Sama zadaję sobie pytanie, co to za plan. Christine słucha gadaniny Allison równie długo, jak ja. Od lat jesteśmy na nią skazane.

– Obawiam się, że jej odbija.

– Naprawdę? – pytam zaskoczona diagnozą. Christine o nikim, nawet o Jane, nie powie złego słowa.

– Jej opowieści nigdy nie miały sensu, a przynajmniej ja nie byłam w stanie się go

doszukać. Ostatnio robi się też podła i agresywna. – Christine pochyla się i dodaje szeptem: – Mnie to wygląda na schizofrenię.

Nie spodziewałam się po niej takiego stwierdzenia, ale traktuję ową hipotezę z należąą powagą i szacunkiem, choć w pierwszej chwili omal się nie roześmiałam.

– Aż tak źle?

– Jej opowieści są niespójne, zdradza objawy manii prześladowczej, a pewne fragmenty rozmów świadczą o halucynacjach.

Świetna diagnoza. Znam prawdę, lecz Christine omal mnie nie przekonała. Sama nie wiem, jak zareagować.

– Sądzisz, że powinniśmy coś zrobić? – pyta.

– Co? – rzucam. To miał być okrzyk, ale dla niej zabrzmiał jak pytanie.

– Interweniować – mówi z powagą.

Oczywiście wyobraźni widzę Christine zapewniającą Allison, że wszystko będzie dobrze, podczas gdy sanitariusze ze szpitala psychiatrycznego w Bellevue pakują naszą gadulę w kaftan bezpieczeństwa.

– Nie – mówię. – Moim zdaniem, lepiej z tym poczekać.

– Zadzwonimy do jej ojca? – Christine jest bardzo poruszona, a ja czuję się okropnie, celowo podsycając te obawy.

– Jeszcze nie teraz – radzę, by zyskać na czasie.

– Schizofrenia to poważna choroba, więc nie można działać pochopnie. Najpierw trzeba się upewnić, czy na pewno mamy z nią do czynienia. Trzeba jeszcze przez jakiś czas obserwować Allison.

– Od dawna się jej przyglądam – wyznaje Christine.

– Jesteś pewna, że zwłoka to dobry pomysł?

Za kilka dni Allison ochłonie i pogodzi się z moim awansem. Gniew minie, ustępując miejsca uporczywej niechęci.

– Najzupełniej.

Nie wygląda na przekonaną, ale przynajmniej na pewien czas przyjmuje moje rady za dobrą monetę. Gdy pyta, czy potrzebuję pomocy, zapewniam, że kontroluję sytuację.

Skok na głęboką wodę

Mój awans powoduje też pewne zmiany w topografii miejsca akcji: Jane przydzieliła mi dawny gabinet Eleanor, zamieniony niedawno na skład rupieci. Składowali je tam pracownicy działu technicznego. Pod ścianami piętrzą się wysokie stosy tegorocznych numerów „Stylu i Blasku”, które dygocą złowieszczo, ilekroć przechodzę obok. Techniczni obiecali wprawdzie, że dziś albo jutro usuną stąd niepotrzebne rzeczy, ale im nie dowierzam. Mój awans jest niepewny jak domek z kart, a zsuniecie rupieci do kąta wydaje się chwilowym ustępstwem. Podejrzewam, że archiwalne numery rozpełzną się wkrótce po całym pomieszczeniu, zajmując każdy skrawek wolnej przestrzeni.

Mój gabinet jest dwa razy większy od pokoju Marguerite, a poza tym jej się należy, więc jestem trochę zakłopotana, gdy pukam do drzwi ciasnej klitki.

– O, Vig. Zapraszam – mówi przyjaźnie. – Gratulacje z powodu awansu. Starsza redaktorka... *Quel magnifique*. Usiądź, proszę, i opowiedz mi wszystko.

Od mojej poprzedniej wizyty za sprawą Marguerite, albo jej totumfackiej, w pokoju dokonały się pewne zmiany. Krzesła mają po cztery nogi i nie skrzypią. Wielka poprawa.

– Właściwie nie ma o czym opowiadać.

– Wiedziałas, na co się zanosz? Jak długo byłaś samodzielną redaktorką? – wypytuje Marguerite.

Jest bardzo uprzejma, ale szeroki uśmiech to zasłona dymna. Niemal widzę trybiki pracujące w jej mózgu. Próbuje wydedukować, jak moje wyniesienie ma się do jej ewentualnego upadku. W ciągu ostatnich dwóch tygodni wszystkie działania Jane skierowane były przeciwko niej, więc nie dziwię się takiej podejrzliwości.

– Zaledwie rok – odpowiadam, choć byłabym bliższa prawdy, mówiąc o dwunastu koszmarnych miesiącach. – Nie mam pojęcia, jak to możliwe. Zwykle na awans czeka się latami, póki ktoś nie odejdzie.

– Aha. Ja również tak sądziłam. Domyślam się, że zdaniem Jane zasługujesz na szczególne względy – mówi, jakby rozwiązywała na głos równanie matematyczne: Szczodroblliwość Jane plus awans Vig równa się klęsce Marguerite.

Zmyliła rachubę, ale skąd ma o tym wiedzieć?

– Zapewne – odpowiadam wymijająco.

– Cóż, niezależnie od powodów mam pewność, że zasługujesz na awans. Od razu mnie uderzyło, że jesteś bardzo mądrą dziewczyną – konkluduje Marguerite, splatając dłonie i pochylając się nad biurkiem. – Z czym przychodzisz? Jak mogę ci pomóc?

– Chciałabym omówić pewien temat.

– Doskonale. Zamieniam się w słuch.

– O ile dobrze pamiętam, ostatnio doszliśmy do wniosku, że mogłabym pisać więcej tekstów poradnikowych...

– Tak. Mam twoją listę tematów, ale nie zdążyłam na nią spojrzeć – wtrąca z przeproszającym uśmiechem.

Przyszłam do niej w innej sprawie.

– Rzecz w tym, że wpadł mi do głowy całkiem inny pomysł, nie tak praktyczny jak poradnictwo, ale konkretniejszy od naszych typowych artykułów.

– Tak? – Patrzy na mnie zaciekawiona.

Nie czekając na dodatkową zachętę, opisuję plan śledzenia kariery młodego projektanta stojącego u progu efektownej kariery. Marguerite w lot chwyta, o co chodzi, słucha uważnie i robi notatki, jakby rzecz naprawdę była warta zainteresowania. Jej reakcja utwierdza mnie w przekonaniu, że należy pisać o Kesselu. Będę śledzić i relacjonować jego sukcesy, mocno trzymając kciuki, ale nie mam złudzeń. Awans oznacza swobodę i większą odpowiedzialność, lecz nie daje mi wpływu na zawartość pisma. „Styl i Blask” jest niczym skamieniałości; trzeba cudu, żeby zmienić jego charakter i kształt.

– Informuj mnie na bieżąco – prosi Marguerite po wysłuchaniu peanu na temat kolekcji Kessela. – Chętnie poszłabym na jego następny pokaz.

Niewiele brakuje, żebym z radości spłonęła rumieńcem. Czuję, że policzki mi różowieją, i próbuję wziąć się w garść. Nie powinnam reagować euforycznie na każdy przejaw życzliwości. To nie wypada.

– Oczywiście dam ci znać.

– Masz inne pomysły, które chciałabyś omówić? – Zerka na zegarek. – Zawsze ciekawią mnie nowości. Australia leży trochę na uboczu, ale to nam daje możliwość zamieszczania nietypowych tekstów. Znasz naszą serię artykułów o tamtejszych młodych projektantach?

Nie miałam nigdy w ręku australijskiej edycji „Vogue’a”, lecz mimo to gratuluję świetnego pomysłu. Małe kłamstwo zostało nagrodzone, bo Marguerite uśmiecha się jeszcze promienniej.

– Znakomicie. Porozmawiajmy o twoich sugestiach. Byłabym wdzięczna, gdybyś zechciała przygotować krótkie konspekty.

– Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy zamieścić artykuł o ludziach wymyślających nowe trendy – mówię powoli, bo jakiś czas temu wpadłam na ten pomysł, lecz jeszcze nie wiem, jak go ugryźć. – Zwykle pokazujemy reakcję gwiazd na takie nowinki, zwykle są to kasowe aktorki, lecz tym razem warto by zajrzeć za kulisy teatru mody. Najbardziej kreatywne są nastolatki kupujące w tanich sklepach. Mają odjazdowe pomysły – opowiadam, a potem streszczam podstawową zasadę teorii trendów: najpierw przyjmowane są przez nieliczną awangardę, następnie przez nieufnych, ale ciekawskich obserwatorów, a w końcu przez masową publiczność.

Nie ja to wymyśliłam i jestem pewna, że Marguerite zna te reguły, ale nie mogę sobie odmówić przyjemności rozmowy na ich temat, bo nareszcie ktoś mnie uważnie słucha, a to prawdziwa rewelacja.

Etap numer cztery

Gavin Marshall przypomina mi państwo buforowe leżące między dwoma zwaśnionymi mocarstwami.

– Chyba pani żartuje – mówi Jane, strzepując serwetkę przed nosem Anity Smithers, jego agentki. – Nie możemy tam zrobić wernisazu. Za mało miejsca! Gdzie staną vipy? Gavin, podzielasz moje obawy, prawda?

– Galeria Karpfinger zdecydowała się wystawie jego prace, więc tam zrobimy wernisaz. Dobrze mówię, mój drogi? – nagabuje Anita i chwyta białą dłoń artysty, żeby dowieść tej dyletantce, jak silna więź ich łączy.

Gavin pozostaje bierny. Anita to kawał baby. Grubokoścista, mierzy ponad metr osiemdziesiąt. Gdybym zobaczyła ją w ciemnej ulicy, zmykałabym, gdzie pieprz rośnie.

Gavin milczy. Sprawia wrażenie niepozornego, tak fizyczne, jak i duchowo. Ze wzrokiem utkwionym w talerzu gazpacho udaje, że jest sam przy stoliku. Kilka razy złapałam go na tym, że rozgląda się po sali, jakby planował ucieczkę, ale mu przeszło. Teraz zachowuje się nienagannie i dotrzymuje nam towarzystwa.

– Dlaczego nie robicie wystawy w bardziej ekskluzywnym wnętrzu? Co myślicie o muzeum Guggenheima? – pyta Jane, dziobiąc widelcem sałatkę. Nie próbuje dłużej ukrywać zdenerwowania.

Gdy spotkałyśmy się z artystą i jego agentką przy barze restauracji Sea Grill, Jane i Anita od pierwszego wejrzenia zapalały do siebie żywiołową niechęcią. Obie noszą jedwabne apaszki i okulary przeciwsłoneczne na łańcuszkach. Krótco mówiąc, są sobie warte.

– Wystawa została przygotowana dla galerii i tam zostanie zaprezentowana. – Anita ściska dłoń klienta, oczekując wsparcia. – Gavinie, bądź tak miły i wytłumacz pani tę prostą zasadę.

Jane chwyta go za drugą rękę. Sam jest sobie winien. Niepotrzebnie odłożył łyżkę, wystawiając się na niebezpieczeństwo.

– Szkoda, że jako jedyna w tym gronie uważam, że pańskie wspaniałe dzieła powinny być wystawiane w muzeum.

Prace Gavina znajdują się w wielu renomowanych muzeach na całym świecie, ale Jane nie ma o tym zielonego pojęcia. Zachowuje się jak prezenterka telewizyjna, która o swoim gościu wie tyle, ile asystenci napisali jej na kartce.

Anita prosi Gavina, aby zechciał wymienić muzea wystawiające jego dzieła, a gdy artysta milczy jak zaklęty, skwapliwie recytuje listę osiągnięć. Nie ma powodu, żeby się ociągała. W końcu za to jej płaci.

– Wernisaz odbędzie się w galerii Karpfinger. Koniec dyskusji – stwierdza kategorycznie Anita, chwytając Gavina za ramię, jakby chciała mu dać do zrozumienia, że oczekuje wyraźnego poparcia. Powinien wybuchnąć gniewem i demonstracyjnie opuścić lokal. – Jeśli to pani nie odpowiada, nie mamy o czym rozmawiać.

Jane żałuje, że przyszła na to spotkanie. Nie przywykła rozmawiać z osobami równie

aroganckimi jak ona. Z trudem odnajduje się w nietypowej sytuacji. Gdyby nie chęć pokonania Marguerite na jej własnym terytorium, dawno odeszłaby w obłoku woni Tresor.

– Mogłabym podobnie jak pani awanturować się o głupstwa, ale arcydzieła Gavina są najważniejsze. Dla dobra sztuki muszę przewyciężyć osobiste uprzedzenia. Niektórzy z nas zdolni są do takich poświęceń.

Anita pogardliwie krzywi usta. Przez całe życie poświęcała się w imię sztuki, więc nie życzy sobie, żeby ta wyfiokowana faryzeuszka prawila jej morały.

– Wernisaz odbędzie się w galerii Karpfinger. Jane jest o włos od wybuchu wściekłości. Jeszcze chwila i wyjdzie, nie bacząc na swoje knowania.

– Jane, a może zorganizujemy bankiet po wernisażu? – proponuję.

– Jaki bankiet? – Anita wietrzy podstęp.

– Świetnie. Wiem już gdzie: Mehanata 416 p. n. e.

– ożywia się Jane, wymieniając nazwę restauracji z tradycyjną kuchnią bułgarską, tłumnie odwiedzanej przez topmodelki.

Uwielbia bankiety po oficjalnych imprezach, na które zaprasza się śmietankę towarzyską Nowego Jorku, więc grono gości jest szczuplejsze, za to doborowe, a gwiazdy są na wyciągnięcie ręki. – Zarezerwujemy salę w głębi lokalu. Potrzebny nam didżej. Vig, zajmij się tym.

– Zwraca się do Gavina: – Pan będzie gościem honorowym. Trzeba panu kupić odpowiednie ubranie – dodaje, obrzucając krytycznym spojrzeniem znoszone dzinsy i sprany Tshirt. – Zabiorę pana na zakupy. Proszę zdać się na mnie. Ja tu wszystkich znam.

Interweniuję z obawy, że wyrwie mu rękę ze stawu. Jest wyraźnie przerażony. Patrzy na swoją dłoń, jakby widział nieznaną formę życia i gotów jest poświęcić kończyny, żeby wyrwać się na wolność.

– Hej, to chyba Damien Hirst, prawda? – wymieniam nazwisko znane w artystycznych kręgach. – O, właśnie macha do pana – dodaję, wskazując ręką stojące w rogu dorodne rośliny doniczkowe.

Dwa ciekawskie babiszony rozluźniają chwyt. Oswobodzony Gavin zrywa się na równe nogi.

– Muszę się z nim przywitać. Ignorując go, wyszedłbym na gbura – mówi przepraszającym tonem, ale po kryjomu oddycha z ulgą.

– Omówcie wszystko między sobą – proponuję Jane i Anicie.

Wolałabym nie zostawiać ich samych, ale nie mam wyboru. Muszę pilnować Gavina. Jeśli się wycofa, diabli wezmą cały plan.

Gdy wychodzimy na Piątą Aleję, z dala od wścibskich ślepi, odwraca się do mnie.

– Umieram z głodu. Chcesz coś zjeść? – Automatycznie przechodzi na ty.

– Jasne – odpowiadam, zdumiona, że nie zwiął. Ja bym umknęła. Popędziłabym co sił w nogach w przeciwnym kierunku. – Na co masz ochotę?

– Może być cokolwiek, byle nie gazpacho.

– Po drugiej stronie ulicy jest kafeteria, gdzie można kupić kanapki i sałatki.

– Dobry pomysł. Prowadź.

– Dziwne. Wydajesz się normalny – mówię szczerze.

– Na Anitę mam tylko jeden sposób: olewam ją – wyjaśnia z eleganckim oksfordzkim akcentem. – Stan podobny do katatonii pozwala bezboleśnie znosić jej obecność.

– Dlaczego się jej trzymasz?

Gavin wzrusza ramionami. Z dala od swojej agentki szybko się odpręża. Nie wytrzeszcza już niebieskich oczu.

– Brytyjski agent mi ją polecił, a ja mu wierzę. Jest naprawdę dobra w swojej branży.

Chętnie powiedziałabym to samo o Jane, ale zdrowy rozsądek mi nie pozwala popełnić takiego głupstwa, więc zmieniam temat.

– Wszyscy w redakcji są bardzo przejęci z powodu objęcia patronatu medialnego nad twoją wystawą.

– Czyżby? – odpowiada dość sceptycznie.

Jane zaszkodziła naszej sprawie bardziej, niż sądziłam.

– „Styl i Blask” nie powinien być oceniany na podstawie fanaberii naczelnej. Właściwie jest tylko figurantką.

Gdy wchodzimy do Lou’s Cafe, otwieram przed nim drzwi. Lokalik jest kameralny, ma zaledwie siedem stolików, ale dochodzi pół do trzeciej, więc pora lunchu minęła i dlatego nie brakuje wolnych miejsc. Właściciel prowadzi nas do stolika przy oknie, z widokiem na zalaną słońcem ulicę. Mimo włączonej klimatyzacji jest mi gorąco.

– „Styl i Blask” oceniam po wyglądzie i treści – odpowiada Gavin, biorąc od kelnera menu. – To kretyńskie czasopismo.

Już zamierzam z werwą bronić naszej kulturotwórczej roli na rynku mediów, ale nie mogę się przemóc. Jak to mówią, prawda wyzwala.

– Tak, wiem, ale staramy się zmienić oblicze i zyskać wiarygodność. Stąd pomysł współpracy z tobą.

– Naprawdę?

– „Styl i Blask” nie może z dnia na dzień stać się poważnym czasopismem. Nasi czytelnicy ogłosiliby protest. Twoja wystawa stanowi dla nas sposobność, żeby opisać ważne wydarzenie kulturalne i wejść w świat sztuki wysokiej, dając zarazem czytelnikom to, czego się domagają: obrazki z życia gwiazd i kreacje topowych projektantów. Pokażemy cię tak, że zabłyśniesz.

Po chwili zastanowienia pyta:

– Jesteś pewna, że nie zrobicie ze mnie pajaca?

– Opowiem ci, jak to będzie wyglądało – proponuję, mając nadzieję, że kiedy się dowie, odzyska spokój. – W twojej londyńskiej pracowni zjawi się nasz fotograf oraz dziennikarka. Pierwszy przez dziesięć godzin będzie marudzić, że światło jest fatalne. Dziennikarka zaprosi cię na obiad i zada kilka prostych pytań dotyczących twoich prac: Skąd czerpiesz inspirację? Czyim wpływom ulegasz? Następnie przeprowadzimy krótkie wywiady z projektantami, którzy użyczyli swoich kreaqi, i usłyszymy, że są zaszczyceni, bo wybrałeś ich stroje z myślą o wspaniałej wystawie, a twój młody wiek przypomina im własne początki. Na koniec poprosimy o wypowiedź paru krytyków sztuki, którzy będą wychwalać twoje obrazoburcze

dzieła i bronić ich przed konserwatystami, tłumacząc, że artyści muszą przecierać nowe szlaki, a wbrew groźbie wiecznego potępienia najwyższą nagrodą jest arcydzieło. – Przesuwam krzesło, uciekając przed promieniami słońca. – Nie ma się czego bać. Żadnych niespodzianek. Dwa tysiące słów ułożonych w dobrze ci znane formuły i slogany.

– Na pewno? – Zaraz spyta, gdzie jest haczyk, podobnie jak kontrahent czytający kontrakt i wypatrujący niekorzystnej klauzuli wypisanej *petitem*.

– Na pewno.

– Obiecujesz?

– Jestem tylko starszym redaktorem, więc nie mogę nikomu niczego obiecać – wyznaję uczciwie – lecz nie wydaje mi się, żeby w kwestii *vipów* szykowały się jakieś niespodzianki. Czy ktoś z gwiazd lub gwiazdorów kupił twoje prace?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– W takim razie nie masz powodu do obaw – zapewniam. – Poświęcimy twojej wystawie osiem prześlicznych stron. Będziesz musiał tylko sfotografować się na tle plakatu z naszym logo. Potrafisz się na to zdobyć?

Gavin kiwa głową i sięga po menu. Ma dość rozmowy o interesach.

– Co polecasz?

– Sałatka z kurczaka i mandarynek jest pyszna – odpowiadam.

Gdy wreszcie podchodzi do nas kelner, zamawiamy ją oboje. Jemy, popijając lemoniadą, i rozmawiamy o treściach zawartych w „Odlocie lili”.

Dobrze się czuję w towarzystwie Gavina, więc staram się odprężyć, słuchając jego wyjaśnień na temat pozbawionego wszelkiej duchowości, niemal religijnego kultu mody. Usiłuję myśleć pozytywnie, ale dręczą mnie wyrzuty sumienia, ponieważ jego obawy są więcej niż uzasadnione. Powinnam wyznać prawdę. Nie mam pojęcia, co jeszcze wykombinują redakcyjne koleżanki, ale moja wyobraźnia ma przecież swoje granice. Mnie pewne pomysły nie przyszłyby *do* głowy, ale Dot, Jane i Lydia bywają nieobliczalne. Są w niebie i na ziemi rzeczy, o których nie śniło się filozofom.

Karuzela z madonnami

Lydia zajmuje narożny gabinet, tak obszerny i przestronny, że spokojnie mieści się tam siedem osób. Gdy wchodzę, Marguerite, Anna i Dot siedzą na kanapie ustawionej naprzeciwko okna. Pot opiera stopy na niskim stoliku, w jednej ręce ma kubek z kawą, w drugiej pączka. Dwoje dyrektorów, Soledad i Harry, z którymi rozmawiam jedynie podczas gwiazdkowego przyjęcia, przychodzą tuż za mną, częstują się pączkami z pudełka leżącego na biurku Lydii, siadają na kanapce w rogu i zaczynają opowiadać o fatalnym poranku. Nastrój jest serdeczny, panuje atmosfera wzajemnego zrozumienia. Tak wyglądają zebrania starszych redaktorów.

Zostałam tu zaproszona po raz pierwszy, więc mam tremę. Czuję się jak pierwszego dnia w nowej szkole. Czy ktoś się do mnie odezwie? Czy nie zapomniałam wypracowania? Biorę pączka i obiecuję sobie, że zrobię na nich dobre wrażenie. Pięć lat pracowałam na tę chwilę.

Przez kilka minut gawędzimy o błahostkach, a potem Lydia przechodzi do meritum.

– Część z was już wie, że w grudniowym numerze pojawiają się pewne innowacje. Jane zarządziła burzę mózgów.

Wszyscy są zaintrygowani, z czego wniosek, że jestem tu jedyną osobą, która wie, co ten zwrot tak naprawdę oznacza dla tej kretynki Jane.

– W grudniu zamieścimy duży artykuł poświęcony Gavinowi Marshallowi oraz sprawozdanie z bankietu, który w listopadzie wydamy z okazji wernisażu jego wystawy – informuje, zerkając ukradkiem na Marguerite, żeby wy badać jej reakcję. Widząc pogodną twarz, ukrywa rozczarowanie i mówi dalej. – Jak zapewne wiecie, Gavin jest młodym, lecz wziętym brytyjskim artystą. Jego dzieła są awangardowe, często bywają krytykowane za używanie symboli religijnych – kontynuuje, zwracając się do Marguerite na wypadek, gdyby umknęło jej nazwisko ekscentrycznego plastyka.

Anna, ubrana dziś w czerwone spodnie, dzianinową bluzkę z mnóstwem falbanek i kościaną obrożę (pamiątka z odpustu), podnosi głowę znad kalendarza.

– Moim zdaniem, temat jest zdradliwy. „Styl i Blask” nie powinien go brać. Na pewno chcemy się tym zająć?

Pytanie jest uzasadnione i w odmiennych okolicznościach Lydia sama by je zadała, ale teraz bagatelizuje uwagę Anny. Na równi z Jane nie znosi Marguerite.

– Dla nas nie ma zdradliwych tematów. Jesteśmy wyrocznią w kwestiach dotyczących mody i stylu – cytuje nasze hasło reklamowe.

– A tytuł wystawy? – pyta Dot.

– „Odłot lilii” – pada odpowiedź. Marguerite omal nie zakrzuszyła się pączkiem.

– Przepraszam – mówi zdławionym głosem, gdy udaje jej się przełknąć. – To znaczy, chodzi o „Madonnę na prochach”? – Marguerite jest w szoku. Najwyraźniej ma dość oleju w głowie, by zdawać sobie sprawę, że pokazywanie Madonny w kreacjach wielkich projektantów to nie jest temat dla nas.

Oczywiście Lydia nie zdaje sobie z tego sprawy. Doczekała się wreszcie upragnionej

reakcji. Teraz z radością i satysfakcją może donieść, że Marguerite po prostu osłupiała, kiedy okazało się, że sprytna Jane sprzątnęła jej sprzed nosa świetny pomysł.

– Owszem. Skoro bawią cię trywialne dowcipy brukowców, możemy wymienić lansowany przez nie tytuł „Madonna na prochach”, ale Jane woli „Odlot lilii”. Gavin zgromadził kolekcję damskich i męskich strojów wieczorowych użyzowanych przez najślawniejszych projektantów, które założył na gipsowe repliki słynnych wyrzeźbionych Madonn. – Lydia robi nam wykład.

Anna marszczy brwi. Uchodzimy wprawdzie za wyrocznię w kwestii mody i stylu, ale nadal ma wątpliwości, czy powinniśmy zajmować się plastyczną awangardą.

– Jesteś pewna?

– Że stroje pochodzą z najlepszych domów mody? Naturalnie – odpowiada Lydia. – Mam tu listę projektantów: Tom Ford, Alexander McQueen, Michael Kors, Stella McCartney, Julien MacDonald. Wszyscy użyzyli swoich kreacji i pojawią się na wydanym przez nas przyjęciu. Mamy okazję zabłysnąć. Nazwa pisma zacznie się odtąd kojarzyć nie tylko z najnowszą modą, lecz także ze sztuką współczesną. – Nim ktokolwiek ma czas zaprotestować, dodaje: – Jane chce, żeby „Odlot lilii” był motywem przewodnim całego grudniowego numeru.

– Jak to rozumiesz? – pytam, ogarnięta nagłym niepokojem.

– Tematyka numeru ma nawiązywać do wystawy – tłumaczy Lydia. Nie zraża się, choć sześcioro słuchaczy patrzy na nią tępym wzrokiem.

Milczenie przedłuża się, lecz niezrażona Lydia spokojnie nas obserwuje. Pierwsza zajrzyła Soledad.

– Nie jestem pewna, czy dobrze myślę, ale moim zdaniem chodzi o to, że Madonna stała się też ikoną świata mody. Jej indywidualny styl wpływa na stroje od dwóch tysięcy lat.

– W poprzednim sezonie modne były sandały z rzemieniami. Pewnie takie nosiła – wpada jej w słowo Anna.

– Biel i błękit to jej kolory. Zawsze modne – dodaje Harry.

– Dajmy artykuł o sławach, które też były wzorem cnót i wyczucia stylu: Audrey Hepburn, księżna Monako, Jackie Kennedy.

– Świetny pomysł – mówi odruchowo Lydia, bo te nazwiska mają u nas dobre notowania.

– Och, co za pomysł! – woła uradowana Anna. Lada chwila zacznie podskakiwać na kanapie. – Dajmy tekst o aktorkach grających Madonnę: kadry z filmów oraz ich współczesna interpretacja.

Lydia jest zachwycona. Cieszy się podobnie jak Anna.

– Niech fotografuje Richard Avedon lub Annie Leibovitz. Ci z „Vanity Fair” umrą z zazdrości.

– A sceny narodzin? – wtrąca Harry. Wszystkie spoglądamy na niego.

– No? Co z nimi? – pyta Dot.

– Mówię o malarstwie. Zrobię dzisiaj listę znanych obrazów przedstawiających scenę narodzenia, zakupionych przez gwiazdy. – Harry był dawniej redaktorem działu wnętrza i nawet kiedy awansował, stare pasje pozostały. – Wykonam kilka telefonów i

zbiore informacje.

Lydia kiwa głową. Uwielbia, kiedy redaktorzy sami zgłaszają się do roboty, bo dzięki temu nie musi dzielić zadań i ma kłopot z głowy.

– Zgoda, możesz się tym zająć. Co jeszcze?

Dot: Zwiastowanie: w jakim stroju przyjąć anioła.

Soledad: Krzyżyki – ceny do 100 dolarów, do 1000 dolarów i 10 000 dolarów.

Marguerite: Ucieczka do Egiptu i powrót w rodzinne strony: wakacje nad Nilem i Jeziorem Galilejskim.

Milczę podczas tego prania mózgów. Siedzę cicha i zasepiona, odczuwając straszliwy żal. Przyzwoity człowiek pobiegłby natychmiast do Gavina Marshalla, żeby go ostrzec, na co się zanoszą. Bogu ducha winny artysta ma stać się główną atrakcją tandetnego cyrku z pseudoreligijnym odniesieniem. Z drugiej strony wiem, że tego nie zrobię. Posunęłam się za daleko w dziele zniszczenia Jane, więc muszę brnąć dalej i powrócić z tarczą lub na tarczy. Czas pokaże, jak to się skończy.

– Zrobiliśmy dobry początek – mówi Lydia, podsumowując zebranie. Pół godziny gadaliśmy o Madonnie, lecz nikt nie wspomniał o chrześcijanach i wierze. Nasza Matka Boska to świecka nad świeckimi. – Podsunę wasze pomysły Jane. Wkrótce poznacie jej opinię. – Lydia sięga po pudełko, w którym zostały tylko trzy pączki. Pyta, czy ktoś ma na nie ochotę, a że chętnych brak, zamierza cisnąć pudełko do kosza.

Proponuję zostawić je w kuchence dla głodnych kolegów z redakcji. Inni gapią się na mnie z jawnym oburzeniem. Lydia śmieje się pogardliwie, mówi, że jestem komiczna, i wyrzuca pudełko.

Na odchodnym mówi jeszcze, że wszyscy byliśmy fantastyczni, ale jej nie wierzę, bo nie sądzę, żeby zrobiła na nich dobre wrażenie.

Drinki w hotelu

Maja przymierza rozmaite ohydztwa, żeby sprawdzić, które z nich najbardziej przyciąga uwagę.

– Dobra, spróbujmy jeszcze raz. Jak myślisz, co jest lepsze. Jak ci się podoba taka sztuczka? – Wsuwa na przednie zęby czarną nakładkę. – A może to? – Zasłania oko czarną opaską.

– Stawiam na zęby. Są fantastyczne – odpowiadam po chwili namysłu.

– Dlaczego? – Przegląda się znowu, szczerząc zęby, a następnie zerka na mnie jednym okiem.

– Bo mniej rzucają się w oczy, więc są bardziej wyrafinowane. Można je zobaczyć tylko wtedy, kiedy się uśmiechasz. A poza tym nie będą utrudniać ci pracy. Trudno robić korektę, patrząc jednym okiem – tłumaczę, biorąc pod uwagę także praktyczną stronę zagadnienia.

Maja zapisuje moje wyjaśnienie. Przypomina ankietera testującego produkty na zlecenie producenta.

– Teraz poduszka. – Ma torbę wypchaną śmiesznymi gadżetami, do której sięga po kolejny przedmiot. Kiedy wciska poduszkę pod elastyczny T-shirt, wchodzi spóźniony Gavin.

Jesteśmy w barze hotelu 60 Thompson. Gavin i jego agentka zatrzymali się tutaj na czas pobytu w Nowym Jorku. Rozglądam się pilnie, szukając wzrokiem Anity. Mam nadzieję, że nie pojawi się dzisiaj.

Gavin od razu domyśla się, w czym rzecz. Na powitanie całuje mnie w policzek i wybucha śmiechem.

– Spokojnie. Umówiła się dziś na plotki z inną agentką. – Spogląda na Maję, która waha się, czy wcisnąć poduszkę pod T-shirt, czy ją wyjąć. Po raz pierwszy w życiu przyszło jej witać się z obcym człowiekiem w pół drogi do zaawansowanej ciąży, więc nie wie, jak się zachować.

– Gavin, to jest moja przyjaciółka Maja, o której ci opowiadałam.

– Cześć – mówi, wyciągając rękę. – Miło cię poznać.

– Zjawileś się w samą porę – odpowiada Maja.

– Muszę dokonać wyboru. Co wydaje ci się bardziej przekonujące: zaawansowana ciąża?

– Wstaje, prezentując wydatny brzuch. – A może lepszy będzie garb?

– Na naszych oczach przesuwam poduszkę.

Gavin z wielką powagą traktujący jej pytanie wydyma usta.

– Mogę raz jeszcze zobaczyć wersję z ciążą?

Dopijam dzin z tonikiem i usiłuję opanować kołatanie serca. Poczucie winy jest niemal obezwładniająca, przyprawia o zawroty głowy. Oddycham głęboko, co może się skończyć hiperwentylacją.

Gestem proszę barmana o kolejnego drinka. Zawroty głowy mam od momentu, kiedy Gavin zadzwonił z wiadomością, że oficjalnie wyraża zgodę na opublikowanie materiału w „Stylu i Blasku”. Zastrzegł sobie jednak, żeby nie było żadnych hec, a potem zaproponował

toast, żeby uczcić porozumienie komercji i sztuki wysokiej. To miał być jego ostatni wieczór w Nowym Jorku.

– Wieczorem nie mogę – odparłam w panice. Właśnie skończyło się pranie mózgow u Lydii. Wyrzuty sumienia nie dawały mi spokoju. Do wieczora zostałyby ze mnie strzęp człowieka.

– Trudno.

– Bardzo chciałabym się z tobą zobaczyć, ale umówiłam się z koleżanką do kina. Przełożyłabym spotkanie, ale Maja jest w dołku. Właśnie zerwała z chłopakiem, więc muszę ją wspierać – paplałam bez sensu. Tak się zachowuję, kiedy dokucza mi poczucie winy.

– Na którą idziecie do kina?

– Na... dziewiątą. – Nie potrafię kłamać, więc kiedy ściemniam, moja opowieść nie trzyma się kupy.

– Nie jesteś pewna? – W jego głosie zabrzmiał ton podejrzliwości, więc poprawiłam się, starając się dodać moim słowom nieco wiarygodności.

– Pół do dziesiątej.

– W takim razie wpadnij na drinka do baru mojego hotelu.

– Ale Maja...

– Przyjdźcie razem – zaproponował. – Ja też niedawno zerwałem z dziewczyną. Będziemy topić smutki w alkoholu. Whiskey z wodą skutecznie leczy złamane serca. Będziemy się nawzajem pocieszać.

Maja nie pija whiskey, lecz niewątpliwie potrzebuje pociechy.

– Zgoda – powiedziałam, kapitulując. Pewne sytuacje są po prostu nie do przewalczenia. Ledwie się rozłączył, zadzwoniłam do Mai, tłumacząc, jak sprawy stoją. Rozbawiła ją opowieść o burzy mózgow.

– Jak to było ze sceną narodzin? Tropicie obrazy wybitnych malarzy znajdujące się w posiadaniu gwiazd, tak?

Maja nie miała na wieczór żadnych planów, więc chętnie zgodziła się na spotkanie, żeby w towarzystwie znanego brytyjskiego artysty poużalać się nad sobą.

– Fajnie, że zadzwoniłaś – powiedziała. – Właśnie pracuję nad artykułem i chętnie potraktuję cię jak królika doświadczalnego.

– Tylko nie każ mi wymieniać dziesięciu sposobów, żeby rozkochać faceta – ostrzegłam. Roześmiała się i zapewniła, że chodzi o całkiem inne sprawy.

– Czym się zajmujesz? – pyta Gavin, kiedy już zdecydował, że garb kręci go bardziej niż zaawansowana ciąża. Zgodziłam się z tym wyborem, a poduszka wylądowała w różowej reklamówce.

– Haruję dla obcych ludzi – odpowiada Maja, bazgrząc w notesie.

Spodziewał się innej odpowiedzi. Zapewne sądził, że ma przed sobą projektantkę kostiumów lub dekoratorkę wnętrz, ale skinieniem głowy przyjmuje do wiadomości zagadkowe określenie.

– W pełnym wymiarze godzin?

– Raczej w dowolnym. Pracuję, kiedy mam na to ochotę. – Trzyma na kolanach drugą

torbę i grzebie w niej z zapalem.

– Maja jest pisarką.

– Raczej korektorką. – Rozgniewana patrzy na mnie spode łba. Fundamentalna zasada ramowego szkicu na resztę życia: Nie uważaj się za pisarkę, póki nie sprzedasz produktu.

– Naprawdę jesteś korektorką? – dziwi się Gavin, przezornie unikając wszelkich komentarzy.

– Niektórzy nazywają nas siłą pomocniczą, odmawiając prawa do ludzkiej godności.

– Ale piszesz?

– Trochę.

Irytacja Mai pomaga mi zapomnieć o wyrzutach sumienia. Po raz pierwszy od pięciu godzin oddycham swobodnie.

– Pracuje teraz nad artykułem. Maju – zwracam się do niej niczym gospodyni talk show – opowiedz nam o tym. – Maja wprawdzie nie ma ochoty być w centrum uwagi, ale zgadza się na moją propozycję, bo jest zachwycona swoim pomysłem i chce go z nami przegadać.

– Haruję dla obcych ludzi – powtarza. Zniecierpliwiona przewracam oczami. Czyżby nie była świadoma, że to już było? Ileż można!

Gavin spokojnie czeka na dalszy ciąg opowieści.

– Zleceniodawcy rzadko patrzą mi w oczy, a większość współpracowników nie pamięta nawet mojego imienia – tłumaczy Maja. – Ostatnio przechodziłam wirusowe zapalenie spojówek i pies z kulawą nogą nie zwrócił uwagi na moje przekrwione oczy.

– Może ci ludzie są zbyt uprzejmi, żeby robić uwagi dotyczące twojego wyglądu? – podpowiada Gavin.

Maja kręci głową.

– Daleko im do uprzejmości. Gdy wkładam modny sweterek, nie słyszę żadnych komplementów. Kicham, ale nikt mi nie mówi: na zdrowie. Nikogo też nie interesuje moje samopoczucie. Problem nie w tym, że moi współpracownicy są przesadnie uprzejmi i powściągliwi. Kiedy łąziłam z czerwonymi oczyma, wpadł mi do głowy fajny pomysł. – Robi efektowną pauzę. – Zacznę chodzić po redakcjach w cudacznym przebraniu. Bardzo jestem ciekawa, kiedy doczekam się wreszcie jakiejś uwagi.

– W takim razie zmieniam zdanie – wtrąca Gavin. – Zaawansowana ciąża lepiej ci pasuje.

– Dlaczego? – Maja zapisuje w notesie jego uwagę.

– Bo z tego, co wiem, nagłe pojawienie się garbu na plecach można uzasadnić względami medycznymi, na przykład wypadkiem albo obciążeniami rodzinnymi. Ale jak wyjaśnić, że dziewczyna z dnia na dzień zmienia się w ociężałą przyszłą matkę? – rozwija swoją myśl Gavin. Przed oczyma staje mi dwadzieścia słynnych posągów Madonny odzianych w ciążowe ubrania. – Stawiam na brzuch. Tamci ludzie zaczną się zastanawiać, jak mogli wcześniej nie spostrzec, że jesteś taka zmieniona.

– Dobrze mówi – wtrącam. – Zgadzam się.

– Zanotowałam: przygniatająca większość głosuje na brzuch. Przejdźmy teraz do kolejnego pomysłu.

– Wyciąga z torby plastikowe maski noszone przez dzieci w święto Halloween. – Potwór

Frankensteina czy wilkołak?

Gavin bez namysłu odrzuca obie maski.

– Ani jedna, ani druga. Są zbyt oczywiste. Chcesz sprowokować reakcję, a nie ją wymusić. Zamarkuj na szyi blizny, jakie miał trup ożywiony przez Frankensteina.

– Świetny pomysł! – Maja klaszcze w dłonie. – Właśnie takiego wsparcia potrzebowałam.

– Rozumiem, że wszystko opiszesz. Komu zamierzasz sprzedać artykuł? – pyta Gavin.

Maja wzrusza ramionami, a jej entuzjazm przygasa.

– Mam kontakty wyłącznie z pismami kobiecymi, a ich to nie zainteresuje.

Energicznie kiwam głową na znak, że dobrze mówi.

– Zbagatelizują sprawę. Już widzę tytuł w „Cosmopolitan”: „Mój chłopak haruje dla obcych ludzi – dziewięć kwestii wartych rozważenia, nim zwiążesz się z nim na dłużej”.

– A dzienniki? Mają przecież niedzielne dodatki, w których publikują takie reportaże. Każda gazeta lubi kawałki z życia wzięte – zastanawia się Gavin.

– „New York Times” wydaje dodatek pod tytułem „Lives”, ale o innym profilu. Są prorodzinni, interesują się głównie dziećmi. U nich trzeba by tak ująć sprawę: „Moja córka haruje dla obcych ludzi”.

– Jasne, jasne. – Gavin nie daje za wygraną. Jak mógłby ulec naciskom wielkonakładowej prasy, skoro ma już w ręku świat sztuki? – A snobistyczne szmatławce w rodzaju „New Yorkera”? Taki reportaż byłby dla nich idealny.

– Święte słowa! Pod warunkiem, że raczyliby zniżyć się do mego poziomu. Nie interesują ich ambitne korektorki wędrujące po redakcjach z wydrukami swych dzieł.

Gavinowi nie brak pomysłów.

– A „Salon”? Przed paroma miesiącami był tam artykuł o moich pracach.

Maja nie zna tego czasopisma, więc spogląda na mnie pytająco. Wzruszam ramionami.

– Chyba warto spróbować. Gdzie można kupić egzemplarz?

Nikt z nas nie zna odpowiedzi na to pytanie, ale zgadzamy się, że trzeba zbadać ten trop. Maja dziękuje Gavinowi za okazane zainteresowanie i pomoc, a następnie proponuje, że mu coś postawi.

– Nie – pada odpowiedź. – Nalegam, żebyś była moim gościem. Zaprosiłem cię przecież na drinka.

Pięć minut spierają się o prawdziwość ostatniego zdania, lecz w końcu osiągnają kompromis. Maja pozwala za siebie zapłacić Gavinowi, który przyznaje, że najpierw zaprosił mnie, a ją przy okazji.

– Jestem na przyczepkę – konkluduje Maja, gdy dochodzą do porozumienia – jak kubek dołączony do paczki kawy.

– Wyglądasz mi raczej na to drugie.

Skoro Maja jest i kubkiem, i kawą, jaka rola mnie przypada? Mam być śmietanką? Co ja tutaj robię? Tameci dwoje zapomnieli o moim istnieniu. Zaiskrzyło między nimi. Tak im się dobrze rozmawia, że seans o dziewiętej trzydzięci idzie w zapomnienie. Mija dziesiąta, jedenasta, dwunasta... Zero reakcji.

O dwunastej trzydzięci padam z nóg, więc żegnam się z nimi. Ledwie raczyli to

zauważyć. Po kilku cosmopolitanach Maja jest tak wyluzowana, że zaczyna opowiadać o swoim pisaniu. Nie o chałturach, tylko o prawdziwych utworach. Powierza Gavinowi wszystkie sekrety, które nie są zbyt ekscytujące. Opowiada też o utraconej agentce. Gavin rewanżuje się, przedstawiając swoje przeprawy z agentami, lecz mimo wszelkich trudności zachowuje pogodę ducha i tryska optymizmem. Maja wspomina o ramowym szkicu i swoich zamierzeniach, lecz nie precyzuje, w czym rzecz.

Gdy odchodzę, dyskutują o komicznej możliwości otrucia anorektyczki. Maja ma nowy pomysł na powieść. Z ulgą stwierdzam, że nie jest to romans.

Kombinacje

Zdaniem Jane, wszystkiemu winne są zastrzyki z botoksu.

– Dawniej od razu było wiadomo, że Marguerite coś knuje. – Gdy między jej brwiami pojawiały się drobniutkie zmarszczki, należało mieć się na baczności. Boże drogi, tak łatwo było ją przejrzeć. Złączone brwi oznaczały, że szuka zemsty, a mocno zmarszczone, że chce kogoś zniszczyć. Teraz przez nowoczesną kosmetologię trudno zgadnąć, co kombinuje – obrusza się Jane, choć co pół roku likwiduje kurze łapki. – Na szczęście mam ciebie.

– Jak to? – pytam ostrożnie, niepewna, czy salwować się ucieczką, póki jest na to czas.

Coś się dzieje. W powietrzu wisi bardzo nieprzyjemna afera. Poznają to po błyszczących oczach Jane i uniesionych w górę kącikach jej ust. Promienieje szczęściem tylko wówczas, gdy planuje czyjaś katastrofę.

– Będziesz moimi oczami i uszami – mówi, delikatnie bębniąc palcami po lśniącem blacie biurka. – Masz się trzymać w jej pobliżu, ale nie za blisko. Nie chcemy wzbudzać podejrzeń. Gdy rozmawia przez telefon, kręć się koło jej gabinetu. Przetrzęsij szuflady biurka. Zajrzyj do plików komputerowych i odkryj poufne hasła. Siedź ją, kiedy wyjdzie na obiad.

Słucham z uprzejmym wyrazem twarzy i robię notatki, ale nie zamierzam wypełniać tych poleceń, choć Jane jest święcie przekonana, że będę szpiegować jako jej człowiek w Hawanie.

– Zadzwoń do George’a. Niech ci wskaże odpowiedni sprzęt.

George pisze dla nas o technice. Mieszka w Montanie, gdzie ma górską chatę. Raz w miesiącu przysyła tekst dotyczący nowoczesnych gadżetów.

– A co on ma do tego?

– Przygotowuje artykuł o wyposażeniu ochroniarzy strzegących posiadłości gwiazd. Powinien mieć adresy i telefony specjalistycznych sklepów. Zapłać swoją kartą kredytową i weź rachunek. Wpiszemy go w koszta.

– Dobrze – zgadzam się potulnie, jakby kupowanie elektronicznych pluskiew oraz innych szpiegowskich urządzeń było dla mnie chlebem codziennym. Ale nie jest.

Zadzwonię do George’a na wypadek, gdyby Jane przyszło do głowy mnie kontrolować, ale nie zamierzam w czasie przerwy obiadowej biegać po Manhattanie w poszukiwaniu superkamer i cienkich jak włos minimikrofonów. Przyczaję się na kilka dni, a potem wymyślę drobną intrygę, którą rzekomo wyśledziłam podczas misji szpiegowskiej. To powinno uspokoić Jane.

– Informuj mnie na bieżąco – mówi i wraca do listy życzeń.

Siedzę w jej gabinecie prawie dwadzieścia trzy minuty i przez cały ten czas słyszę wyłącznie polecenia: zadzwoń do firmy cateringowej, umów mnie z Anitą, wyślij faks do galerii Karpfinger, przygotuj dla prasy tekst informujący o patronacie medialnym objętym przez nas nad wystawą „Odlot lili”. Ostatnio Jane traktuje mnie jak swego ordynansa. Zostałam starszym redaktorem, a zarazem spadłam do poziomu zwykłej sekretarki. Nie ma w tym żadnej sprzeczności. Tak Jane odnosi się do ludzi, których uważa za swoich dłużników.

– Chcę mieć szczegółowe informacje, co robi przez cały dzień. Wiedza to potęga. Teraz gdy wie, że twórczo rozwinęłam jej pomysł, zagotuje się ze złości – peroruje Jane, z lubością kreśląc portret Marguerite jako wścieklej żony. – Dobra, zmykaj. Mam poważniejsze sprawy na głowie. Przeszkadzasz mi.

Wychodzę z gabinetu i mijam Jackie, która udaje zajęta czytaniem pism, a tak naprawdę liczy minuty, które spędziłam z szefową za zamkniętymi drzwiami gabinetu. Jest wściekła, kiedy tam wchodzi, bo wmówiła sobie, że dybię na jej ciepłą posadkę. Sam pomysł, że ktoś pragnie być dla Jane dziewczyną na posyłki, jest tak zabawny, że uśmiecham się mimo woli. Jackie upewnia się, że jestem uszczęśliwiona, więc z jawną niechęcią odprowadza mnie wzrokiem.

Ot, kolejna randka

Aleks pyta, dlaczego tkwię w redakcji „Stylu i Blasku”.

Przez trzy kwadranse słucha cierpliwie moich skarg na mściwość Jane, brak polotu Dot oraz totalne uzależnienie całego zespołu od świata vipów. W ciągu ostatnich pięciu lat takie idiotyzmy stopniowo zdominowały całe moje życie.

Gdy skończyłam, przechyla głowę na bok, przygląda mi się bez słowa, a potem zadaje nieuchronne pytanie: dlaczego? Dlaczego się z tym godzę? Dlaczego jeszcze nie odeszłam? Dlaczego pielęgnuję, hołubię, wręcz kocham swoje niezadowolenie?

– Z tym kochaniem chyba przesadziłeś – odcinam się urażona.

– Wiesz, czemu ja trzymam się swojej posady. Dlaczego ty się nie zwolnisz?

Jest kilka odpowiedzi na to pytanie. Rozważam je, czekając, aż kelner przyniesie zamówione potrawy. Gdybym chciała być zupełnie szczerą, przyznałabym się do swojej bierności. Mogłabym także odpowiedzieć, że właściwie nie wiem, co chcę w życiu robić, więc na razie wolę zostać tam, gdzie jestem. Powinam także ujawnić, że boję się zmian, bo paraliżuje mnie lęk, że trafię z deszczu pod rynnę. Na razie jednak zachowam to wszystko dla siebie.

Aleks wciąż jest dla mnie nowością. Jego zapach, śmiech, dotknięcie warg, gdy całuje mnie w policzek... Te doznania są odświętne jak migotliwy blask srebrzystej świecy. Nie chcę, żeby mi spowszedniały. Wołałabym jeszcze przez pewien czas nie ujawniać siebie pasywnej, bezwolnej, pełnej obaw. Aleks Keller jest popaprańcem i nie ma dla nas przeszłości, lecz nadal próbuję zrobić na nim dobre wrażenie.

– Wiesz, kim jest Pieter van Kessel? – pytam, a następnie szczegółowo opisuję jego kolekcję oraz swój pomysł na serię artykułów.

Można by pomyśleć, że zmieniam temat i wykręcam się od odpowiedzi, ale tak nie jest. Van Kessel i jego kreacje to główny powód, który trzyma mnie w redakcji. Nawet gdyby zrobiło się tam przyjemniej i spokojniej, gdyby ustała prymitywna dyktatura Jane, to by mi nie wystarczyło. Ostatnio łuski spadły mi z oczu, częściowo dzięki Mai i jej nieustannemu marudzeniu. Nagle odkryłam, że chciałabym dać ludziom coś więcej niż listę dziesięciu topowych szamponów. Nie zamierzam ograniczać się do udzielania praktycznych porad niezbyt lotnym konsumentom. I tutaj pojawia się Marguerite, ponieważ miałam nadzieję, że dzięki niej osiągnę cel.

– Dobry pomysł – mówi Aleks, gdy zakończyłam autoprezentację, której na pewno chętnie wysłuchałby ewentualny pracodawca, bo pokazałam się jako osoba kreatywna, pełna werwy i ciekawa świata. – Ale Jane się tym nie zainteresuje. Kiedy sześć lat temu zostałam redaktorem kroniki towarzyskiej, próbowałam włączyć do niej imprezy spoza naszego kanonu i relacjonować głośne wydarzenia kulturalne niezależnie od tego, czy uczestniczą w nich gwiazdy pierwszej wielkości. Jane natychmiast podcięła mi skrzydła, choć to wyrażenie nie oddaje istoty rzeczy, bo zakłada minimum zainteresowania, a ona po prostu olała temat, a przy okazji i mnie.

Kelner przynosi nam talerze z hamburgerami i wielką michę parujących frytek. Wybraliśmy się dzisiaj do obskurnej, zaniedbanej knajpki w East Village, gdzie podają najlepsze hamburgery na całym Manhattanie. Po raz pierwszy zaprosiłam Aleksa do jednego z moich ulubionych miejsc. Dotychczas on planował nasze randki i decydował, dokąd idziemy. Nie wiedzieć czemu obudziłam się rano ze stanowczym postanowieniem, że dziś podzielę się z nim pierwszą z wielu radości mojego życia.

– Dlaczego postanowiłeś studiować? – pytam. Aleks nie jest jedynym współpracownikiem, którego Jane bez pardonu posłała do diabła, zatrzasnąjąc mu drzwi przed nosem, lecz o ile mi wiadomo, tylko on nie przejął się taką odprawą, zablokował je butem i zrobił swoje.

– Właściwie nie mam nic przeciwko temu, żeby Jane mnie olewała. Wiesz, że potrafiłem to wykorzystać.

– Jak wpadłeś na pomysł, żeby na koszt firmy skończyć architekturę?

Aleks odwraca butelkę z ketchupem, czeka cierpliwie, aż kleks czerwonego sosu spłynie na hamburgera, i odstawia ją na bok.

– Sam nie wiem. Z pewnością nie doznałem olśnienia. Nie było żadnego przełomu. Zacząłem chodzić na jedne zajęcia w semestrze, ponieważ firma za nie płaciła, więc byłoby głupotą nie skorzystać z okazji. To był jeden z niewątpliwych atutów posady. Wybrałem ćwiczenia z rysunku i trafiłem na wspaniałego wykładowcę, który namawiał mnie do studiowania architektury. – Wzrusza ramionami. – Nim uświadomiłem sobie, co się dzieje, odbywałem niemal regularne studia, a w przerwach między zajęciami dzwoniłem do naszych autorów. Howard mi pomagał, ale to było prawdziwe szaleństwo. Na szczęście pojawiła się Delia i przejęła pałeczkę. A co z tobą?

Tak się składa, że nie wykorzystuję okazji do bezpłatnego podnoszenia kwalifikacji; nie mam też swojej Delii, która za mnie tyrałaby w redakcyjnym kieracie. Dlatego bez słowa gapię się na Aleksa, niepewna, co odpowiedzieć, żeby nie wyjść na idiotkę.

– Ze mną... ?

– Jak trafiłaś do redakcji? Czy mam rozumieć, że bawiło cię to produkowanie bzdur?

Wybucham śmiechem. Trafnie określił nasze opowiadki z życia gwiazd, choć skandale w świecie vipów to nie nasza specjalność.

– Kiedy przyjechałam tu z Bierlyville w stanie Missouri z dwiema walizkami i teczką wypełnioną moimi artykułami publikowanymi w „Bierlyville Times”, nie wiedziałam, czym chcę się zajmować. Marzył mi się blask i splendor wielkiego świata, a oferta „Stylu & Blasku” wyglądała obiecująco.

– Aha! Marzenia bywają zdradliwe. Pamiętasz króla Midasa? Chciał, żeby wszystko, czego dotknie, zmieniało się w złoto. Pragnienie stało się przekleństwem. Twój wymarzony wielki świat okazał się tandetnym półświatkiem.

Uśmiecham się smutno, dając mu do zrozumienia, że wyciągnęłam wnioski z życiowej lekcji, lecz najgorsze wspomnienie zachowuję dla siebie. Nie wyznam Aleksowi, że łudziłam się, jakoby ten czar i splendor udzielał się każdemu, kto obraca się wśród gwiazd. Chciałam błyszczeć światłem odbitym.

– Jesteś z Bierlyville? – pyta, wyraźnie zaciekawiony moim życiorysem, raczej ubogim w

spektakularne wydarzenia.

Przez kilka minut gawędzę o rodzinnym miasteczku, które ma zaledwie 1244 mieszkańców. Połowa z nich pochodzi od kukurydzianych baronów z rodziny Bierly, którzy w roku 1873 założyli własną osadę. Od paru tygodni Aleks i ja często się spotykamy, ale dopiero dziś wspominamy dawne czasy. Zwykle nasze rozmowy dotyczą teraźniejszości. Tak to jest, gdy ma się do czynienia z popaprańcami: skoro przeszłość nie istnieje, nie ma też przyszłości.

– Mamy tylko jedno światła. Sygnalizator stoi w samym środku miasta, ale kierowcy zatrzymują się na czerwonym tylko w czasie egzaminu na prawo jazdy. Na co dzień to swoista dekoracja jak butelki po drogich alkoholach w lokalnym klubiku.

Opowiadam ze szczegółami o krótkim i niesławnym epizodzie dotyczącym mego udziału w dziecięcym konkursie piękności. Otrzymałam wyróżnienie, a nagrodą było wiaderko lodów. Aleks rewanżuje się anegdotami ze swego dzieciństwa w podmiejskim New Jersey. Jest uroczy i zabawny, a gdy zbieramy się do odejścia, wbrew moim protestom sam płaci rachunek. Gdy odprowadza mnie do domu, trzymamy się za ręce.

Zatrzymujemy się przed drzwiami mojego mieszkania. Ściskam w dłoni klucze. Instykt szepce, żeby zaprosić Aleksa, otworzyć mu i rzucić się w jego ramiona. Zbyt często przeżywałam, ‘‘takie dylematy, więc przynajmniej raz chcę okazać zdrowy rozsądek.

Aleks pochyla głowę i całuje mnie. Wargi ma pełne i miękkie. Przytulam się i obejmuję go za szyję. Wsuwam mu palce we włosy. Jestem świadoma, że powinnam się odsunąć, ale jego pocałunki tłumią ostrzegawczy głos brzęący w mojej głowie (emocjonalny popapraniec, emocjonalny poparaniec...), który cichnie pod dotknięciem jego miękkich ust, więc zapominam o rozsądku.

Afera z majordomusem

Jane nie zatrudniła wprawdzie lokaja, ale znalazła sobie człowieka, który będzie mieć pieczę nad jej sprawami i tytułować ją madame. Stickly został sprowadzony z Anglii, a jego rodowód i referencje tworzą grubą księgę. Gdy Jane na zebraniu zwołanym jedynie po to, żeby przedstawić Stickly'ego, czyta listę osobistości, którym on i jego przodkowie wiernie służyli, wyliczanka staje się również ćwiczeniem z arytmetyki: Jerzy I, Jerzy II, Jerzy III, Jerzy IV, Harold I, Harold II, Elżbieta I... Wygląda na to, że w każdym przełomowym momencie angielskiej historii: pod Hastings, przy podpisywaniu Magna Carta albo w czasie ślubu Karola i Diany jakiś Stickly ocierał bohaterom pot z czoła i spieszył z filiżanką herbaty. Wszyscy oni mieli przechodzące z ojca na syna niesamowite wyczucie historycznej chwili – podobnie jak Forrest Gump, ale w przeciwieństwie do niego nie zawracali sobie głowy żadną filozofią życiową.

Jane z jawnym upodobaniem używa określenia majordomus, co kojarzy się raczej z fabułami Gilberta i Sullivana. Zapewne jej zdaniem kamerdyner trąci myszką. Stickly jest postawnym mężczyzną zbudowanym jak zawodnik rugby. Ma wielkie łapska, a grtibe paluchy wciśnięte w białe rękawiczki wyglądają niczym kiełbaski. Nasza skromna siedziba na dwudziestym drugim piętrze nie jest dla niego właściwym miejscem, a i wyzwania stawia nader mizerne. Czymże jest rezerwowanie stolika w nowojorskiej restauracji wobec ogrodowego party u księżnej Chesterborough?

Stickly cierpi również na przypadłość zgubną dla większości dokładnych i ambitnych mistrzów w swoim fachu: ma za dużo wolnego czasu i zbyt często pracuje na jałowym biegu. Jane przydzieliła mu obszerny narożny gabinet, w którym nie składuje się rupieci i archiwalnych numerów pisma, widzujemy go jednak dość często w odgrodzonym regałem korytarzyku pani Beverly.

Podczas dzisiejszego zebrania też siedzą razem w rogu sali konferencyjnej.

– Allison – mówi prowadząca je Lydia – przygotowałaś tekst na temat dekolców w szpic, w którym niedawno rozmawialiśmy?

– Vig usłyszała, że jestem strasznie zapracowana, i obiecała napisać go za mnie – odpowiada Allison, otwierając szeroko oczy i mierząc ją spojrzeniem niewiniątka zawsze mówiącego prawdę.

Wprawdzie nie miałam dotąd pojęcia o tym odruchu serdeczności, ale kiwam głową, jakby pytanie nie było dla mnie zaskoczeniem.

– Tekst jest na ukończeniu. Muszę go jedynie wygładzić. Chciałam się upewnić, ile słów mam do dyspozycji?

Lydia zagląda do notatek. Potrzebuje kilku chwil, żeby odszukać informację.

– Wygląda na to, że musisz zmieścić się w trzystu słowach. Byłoby dobrze, gdybyś pod koniec dnia podrzuciła mi gotowy artykuł. Pamiętaj o przykładach. Skupiamy się na vipach – podkreśla, jakbym potrzebowała takiego przypomnienia. U nas liczą się przecież tylko vipy.

Dopisuję artykułik do listy dzisiejszych obowiązków. Czuję się jak Kopciuszek. Mam

tylę pracy, że bez pomocy komanda wrózek nie dam sobie rady.

Cotygodniowe zebrania, dawniej nudne i kompletnie jałowe, teraz budzą lęk i poczucie zagrożenia. Gdy Allison po raz pierwszy zwała na mnie swoją robotę, broniłam się zawzięcie. Zaprotestowałam, starannie dobierając słowa i podkreślając, że mam strasznie dużo pracy, więc z przykrością muszę odmówić. Jane, zawsze szukająca sposobności, żeby rządzić, dzielić i przewodzić, zrobiła pokazówkę, w obecności całego zespołu wytykając mi egoizm i brak poczucia odpowiedzialności. Kiedy byłam jej asystentką, wciąż publicznie mnie upokarzała. Powróciły koszmarne chwile. Przez cały dzień wzdragałam się na ich wspomnienie.

– Marguerite, jak stoimy z artykułem o sukniach druhen? – pyta Lydia.

– Pani Beverly dziś odbiera ostatnią. – Marguerite spogląda na swą totumfacką. – Kiedy pani to załatwi?

– Tak się składa, że Stickly obiecał mnie wyręczyć – odpowiada pani Beverly, z wdzięcznością spoglądając na kolegę.

– Serdeczne dzięki, Stickly – mówi Marguerite.

– Drobiazg, madame. – Stickly kłania się lekko.

Obecna na zebraniu Jane, dotąd śmiertelnie znudzona, ożywia się nagle. Nie życzy sobie, żeby jej majordomus bił pokłony Marguerite, zwracał się do niej per madame i był jej chłopcem na posyłki.

– Stickly nie zdoła się dziś stąd wyrwać. Jest bardzo zajęty.

– Naprawdę, madame?

– Owszem. Musisz uporządkować moją dokumentację – odpowiada Jane.

– Już to zrobiłem, madame.

– Miałam na myśli dokumenty finansowe – poprawią się natychmiast Jane, z tryumfem spoglądając na Marguerite. Nie potrafi udawać zasmuconej. – Niestety, to mu zajmie cały dzień.

– Nic nie szkodzi – wtrąca pani Beverly. – Chętnie odbiorę sukienkę. Eltonie, gdybyś nie dawał sobie rady z tymi papierzyskami, chętnie pomogę.

„Styl i Blask” stroni od ducha przyjaznej współpracy, toteż zarówno Jane, jak i Marguerite starają się zdusić w zarodku nową tendencję. Następuje krótka, agresywna sprzeczka o to, czyją powinnością jest porządkowanie redakcyjnych dokumentów finansowych. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Allison zgłosiła mnie do tej roboty na ochotnika.

Stickly i pani Beverly obserwują tę scenę z kamiennymi twarzami, ale odnoszę wrażenie, że mimo pozorów uprzejmej obojętności w głębi ducha są przerażeni. Ich obawy budzi agresja Jane i fałsz Marguerite walczących jak gladiatorzy w rzymskim Koloseum. Mierzi ich także bezduszność nas, widzów. Wszyscy przypominamy służbę, która z chorobliwą ciekawością gapi się na rozjątrzone damy z wyższych sfer.

Znów intrygujemy

Kate wzywa mnie do łazienki. Dostaję od niej e-mailowy gryps z wiadomością, że punktualnie o trzeciej trzydzieści mam przyjść na spotkanie. Parę tygodni minęło od naszej ostatniej narady, a w tym czasie sporo się zmieniło. Dla Allison jestem teraz wrogiem publicznym numer jeden. Na mój widok toczy pianę z ust i robi złośliwe komentarze za moimi plecami. Jest nie do zniesienia, więc wołałabym nie *zamykać* się z nią w niewielkim pomieszczeniu, nawet gdyby na dłuższą metę wspólne spiskowanie miało nam obu wyjść na dobre.

Gdy wchodzę, Sara i Kate już czekają. Sara siedzi na kanapie i natychmiast przesuwa się, robiąc mi miejsce. Kate stoi przy umywalce. Trzyma w ręku czerwony długopis oraz plik spiętych kartek. Przegląda je, z rzadka kiwając głową. Mamroce do siebie, więc Sara i ja, szanując jej prywatność, rozmawiamy o aferze związanej z osobami pani Beverly i Stickly'ego. Niech spokojnie ułoży sobie wszystko w głowie.

– No dobrze – odzywa się po kilku minutach. Wydaje się zmieniona. Nie chodzi jedynie o rekwizyty i władczy ton. Jest wyprostowana, a głowę trzyma wysoko. Mimo butów na płaskim obcasie zdaje się jakby wyższa. – Za kilka tygodni mamy wernisaż i bankiet, więc trzeba omówić parę spraw.

Zdziwiona rozglądam się wokół. Zaczynamy bez przywódczyni naszego sprzysiężenia?

– Nie przyjdzie – mówi Kate, jakby czytała w myślach.

– Jak to?

– Nie przyjdzie – potwierdza Sara. – Postanowiłyśmy wykluczyć ją z naszego grona.

– Jak to: wykluczyć? – Jestem w szoku. Nie zdarzyło mi się dotąd nikogo definitywnie odrzucić, więc czuję się nieswojo.

Kate energicznie kiwa głową.

– Tak. Wywaliłyśmy ją raz na zawsze.

Od paru tygodni staram się unikać ciosów Allison, więc jestem zadowolona, że jej tu nie ma. Co za ulga! Nie muszę oglądać nadąsanej twarzy, znosić napastliwych oskarżeń, słuchać gniewnych filipik wprawiających mnie w zakłopotanie. Allison złośliwością dorównuje Jane, a że długo u niej pracuje, sporo się nauczyła. Mimo wszystko czuję, że powinnam zaprotestować.

– Ale to jej plan...

Sara przygląda się obrębkowi dżinsowej spódnicy w westernowym stylu i unika mojego spojrzenia, jakby także miała wyrzuty sumienia z powodu wykluczenia Allison.

Kate śmiało podejmuje wątek.

– Rzeczywiście to ona wszystko wymyśliła – mówi, wyraźnie zirytowana moim przypomnieniem. – Ale ostatnio skupiła się niemal obsesyjnie na kwestii twojego awansu, a nasza intryga wymaga całkowitego zaangażowania. Więc Allison została odsunięta. – Milknie na chwilę i spogląda na Sarę. – Szkodziła naszej sprawie.

Zasmucona Sara kiwa głową.

– Właściwie sama się wykluczyła.

– Dobra – mówię. Podejrzewam, że Sara nie wierzy w swoje słowa, ale to nie mój problem. Jestem zadowolona, że nie muszę znosić obecności Allison. – Co chcecie omówić?

Kate przegląda notatki i zerka na mnie.

– Po pierwsze: jak idą przygotowania do bankietu?

– Gładko – odpowiadam, chociaż nie mam pewności, czy to cała prawda. Dziś po południu Jane umówiła się z Anitą na obiad, żeby ustalić ostatnie szczegóły. Czekam niecierpliwie na raport o zaistniałych szkodach. – Wynajęłam już firmę cateringową, zespół muzyczny i fotografów.

Kate nie chodzi jednak o szczegóły związane z moimi obowiązkami. Od razu przechodzi do meritum. Chce wiedzieć, czy wystawa będzie miała należyłą oprawę.

– Kto z vipów zapowiedział swoje przybycie? Jaki jest odzew ze strony mediów? Będą ludzie z prasy i ogólnokrajowych sieci telewizyjnych?

– Vipy są zainteresowane. Wielu potwierdziło przybycie. Ludzie Gavina obiecali ściągnąć tu doborową grupę młodych angielskich znakomitości. Jeśli chodzi o media, zawiadomienia nie zostały jeszcze rozesłane.

– Nie zostały rozesłane? – Kate unosi brwi.

– Owszem – przytakuję, myśląc o zaległościach piętrzących się na moim biurku. Zamiast siedzieć na zebraniu i planować na parę tygodni do przodu, powinnam teraz pracować w pocie czoła.

– Ach tak – mamroce Kate z jawnym niezadowoleniem. – A kiedy możemy się tego spodziewać?

Zapewniam ją, że wysyłka nastąpi pod koniec tygodnia, ale nie jestem pewna, czy dotrzymam terminu. W tych sprawach nauczyłam się kłamać z kamienną twarzą, żeby uniknąć punktów karnych.

Kate wzdycha i pospiesznie robi notatkę.

– No dobrze. Gdy zabierzesz się wreszcie do pisania zawiadomień, pamiętaj o podkreśleniu roli Jane w tej sprawie. Musimy wszędzie mieć jej odciski palców, żeby całe odium spadło na nią. W czasie bankietu dopilnuj, żeby ją było widać na każdym zdjęciu, zwłaszcza przy figurach Madonny. Niech się wdzięczy i szczerzy zęby. – Kate spogląda pytająco na Sarę. – Stowarzyszenia religijne zaalarmowane?

– Jak wiesz, przygotowałam już list interwencyjny.

– Sara rzuca mi znaczące spojrzenie. Cholerna prymuska! – Napisałam go w imieniu KLOR-u. Muszę tylko pójść do kserokopiami, żeby powielić tekst, który zostanie wysłany do organizacji chrześcijańskich.

– KLOR?

– Katolicka Liga Obrony Religii – wyjaśnia Kate.

– Wymyśliłam tę organizację, żeby uwiarygodnić protest. – Zwraca się ponownie do Sary. – Gdzie zrobisz kopie?

Sara mówi, że jeszcze się nad tym nie zastanawiała, ale w sąsiedztwie nie brak punktów kserograficznych.

– Na rogu jest zakład.

– O nie! Im dalej od redakcji, tym lepiej. Nie zapomnij o kamuflażu.

Sara nie była przygotowana na takie zalecenie. Wcale nie jest przygotowana tak dobrze, jak się jej wydawało.

– O kamuflażu?

– Owszem.

– Mam włożyć perukę?

– Tak! Zmień wygląd, przygotuj sobie kapelusz, ciemne okulary, buty, biżuterię – wylicza zniecierpliwiona Kate.

Dodatki to jej żywioł. Całymi dniami zajmuje się katalogowaniem modnych akcesoriów: tu złoty naszyjnik, tam pasek pleciony z rzemieni i ozdobiony srebrną klamrą, ówdzie zegareczek wysadzany brylantami. Czuje się urażona lekceważącym tonem Sary.

– Jasne – mruczy tamta, znowu przyglądając się obrębkowi spódnicy. – Załatwiłam też numer telefonu z pocztą głosową dla KLOR-u.

Kate kiwa głową, zapominając o zniecierpliwieniu.

– Informacje przekazywane w imieniu Ligi muszą być pełne pasji i świętego oburzenia, co mi przypomina o zadaniu numer trzy: KLOR musi też napisać do reklamodawców współpracujących ze „Stylem i Blaskiem”, grożąc bojkotem ich produktów, jeśli nadal będą wspierać czasopismo pozostające na usługach szatana. Pracuję nad piątą wersją. Jutro pod koniec dnia dostaniecie tekst do wglądu. Będzie w przegródkach, więc nie przegapcie wiadomości. – Kate wzdycha i zagląda do notatek. – To chyba wszystko. Następne spotkanie za tydzień o tej samej porze. Zapiszcie w kalendarzach. Zajmiemy się układaniem terminarza i ustalimy, kiedy należy zaalarmować reklamodawców i stowarzyszenia religijne. Vig, mam nadzieję, że do tego czasu uporasz się z zawiadomieniem dla prasy. Chciałabym także dostać listę vipów, którzy mają być na wernisażu i bankiecie. Są pytania? – dodaje na koniec.

Przeprowadziła zebranie z podziwu godną konsekwencją. Tylko przez dwadzieścia minut była przywódczynią spisku, lecz od razu widać, że czuje się w tej roli jak ryba w wodzie. Policzki ma zarumienione, oczy lśnią. Lubi mówić ludziom, co mają robić. Uwielbia rozkazywać podwładnym, którzy natychmiast tańczą, jak im zagra. Prawdziwy talent marnuje się w szafie wypełnionej dodatkami.

Akta Marguerite

Delia wchodzi do mego gabinetu, tuląc do piersi grubą brązową kopertę. Rozgląda się pospiesznie, zamyka drzwi, siada na krześle dla gości i przysuwa je do biurka, przewracając stos egzemplarzy pisma ze stycznia tego roku. Ułożyłam je starannie, lecz konstrukcja wkrótce przechyliła się na bok niczym wieża w Pizie. Skruszona Delia przeprasza tysiącrotnie, pada na kolana i bierze się do sprzątanía, choć tłumaczę, żeby się nie przejmowała, bo w moim gabinecie wystarczy jeden śmiały ruch i natychmiast *coś* leci na podłogę. Wbrew obietnicom dział techniczny nie raczył usunąć archiwalnych egzemplarzy, a koledzy (niewątpliwie zachęcani przez Allison) nadal znoszą tu wszelkie rupiecie, jakbym urzędowała w redakcyjnej gradami.

Gdy czasopisma leżą w równiutkim stosiku, Delia siada ponownie, tym razem zachowując większą ostrożność.

– Zdozymałam nowe informacje – mówi cicho. Nadal tuli do piersi kopertę. Przypomina zaszcute zwierzątko i sprawia wrażenie mocno wystraszonej.

– Doskonale – mówię cicho, żeby jej nie przestraszyć.

Kiwa głową, bierze głęboki oddech i mówi:

– Jane spowodowała deportację Marguerite. Przez kilka chwil gapię się na Delię, nie rozumiejąc, w czym rzecz. Chyba się przesłyszałam. Jaka deportacja? Czy Jane jest w stanie zmusić kogokolwiek do opuszczenia Stanów? Moim zdaniem, domeną szefowej jest doprowadzanie sekretarek do płaczu i odrzucanie tekstów na moment przed ich posłaniem do druku.

– Słucham?

– Jane spowodowała deportację Marguerite. – Delia rozluźnia ramiona, kładzie teczkę na biurku i przesuwá w moją stronę. – Osiem lat temu.

Otwieram ją i przeglądam dokumenty. Są tam zdjęcia młodej Marguerite, jej artykuły z „Parvenu” i australijskiej edycji „Vogue’a”, kserokopie wycinków prasowych, odręczne notatki dotyczące rozmów telefonicznych odbywanych przez Delię z dawnymi współpracownikami i krewnymi naszej wiceszefowej. Akta nie zostały ocenzone. Delia nie miała na to czasu albo uznała, że może mi zaufać.

– Marguerite alias Marge Miller urodziła się na przedmieściu Perth – mówi.

Przez moment nie jestem w stanie wykrztusić słowa.

– Perth?

– Miasto w Australii – podrzuca.

– Wiem, lecz nie jestem pewna, czy dobrze cię zrozumiałam.

– A co tu jest do rozumienia? Marguerite to Australijka.

– Naprawdę?

Delia potakująco kiwa głową.

– Rodowita.

– Nie jest Francuzką?

– Skądże! Została nią dopiero... – Delia zagląda do teczki i sprawdza w dokumentach – kiedy skończyła dwadzieścia trzy lata.

– Aha – mówię, usiłując przyjąć do wiadomości, że nasze redakcyjne uosobienie Audrey Hepburn nie jest Europejką.

– Jako piętnastolatka przeniosła się do Sydney. Przez kilka lat pracowała w brukowcach. Potem zniknęła na rok, a po dwudziestych pierwszych urodzinach pojawiła się w Londynie jako Marguerite Tourneau. Została sekretarką w redakcji „Hallo”. Po dwóch latach przeprowadziła się do Nowego Jorku i dostała posadę sekretarki w „Parvenu”, gdzie zaczęła się podawać za francuską emigrantkę. Tam poznała Jane – opowiada Delia, kartkując akta. – Jej ówczesne poczynania nadal są dla mnie zagadką, ale dzwoniłam do jej współpracowników, którzy przyrzekli odezwać się do mnie. Ustaliłam już kilka faktów: Marguerite awansowała na redaktorkę, a kilka miesięcy później Jane odeszła. Przez kilka lat trzymały się od siebie z daleka, a potem obie stanęły do konkursu na stanowisko naczelnej pisma „Face”. Od sekretarki szefa publikującego te wydawnictwa dowiedziałam się, że szły łeb w łeb, lecz niespodziewanie Marguerite została deportowana, więc posada dostała się Jane.

– Nie... – mówię.

– Tak. – Delia uśmiecha się. Oto powód, dla którego zbiera informacje o nas wszystkich: czasami wychodzą na jaw niesamowite rzeczy.

– Ludzie tak nie postępują.

Wzrusza ramionami, dając do zrozumienia, że jej definicja elementarnej przyzwoitości nie jest tak rygorystyczna jak moja.

– Jak doszło do deportacji?

Delia kartkuje leżące przede mną dokumenty i podaje mi jeden z nich.

– Spójrz na imię i nazwisko pracownika Urzędu Imigracyjnego, który prowadził sprawę.

David Whiting. Nie kojarzę.

Widząc moją niepewną minę, Delia wzdycha zniecierpliwiona.

– Zaglądałaś do teczki, którą ci dałam? Whiting to panieńskie nazwisko Jane, a David Whiting jest jej bratem. Deportacje to jego specjalność. Za drobną opłatą chętnie pomagał usunąć ze Stanów, kogo trzeba. Wpadł kilka lat później, lecz sprawę zatuszowano. Teraz pracuje w Departamencie Stanu. Ma niewielkie możliwości, lecz nie zaszkodzi, jeśli będziemy działać ostrożniej. A skoro już o tym mowa, jak nasze sprawy?

Relacjonuję ostatnie zebranie w redakcyjnej łazience. Muszę przyznać, że dopiero teraz pozbyłam się wątpliwości i uznałam, że obalenie Jane CarolynAnn McNeill jest nie tylko pożądane, lecz także absolutnie konieczne. W świetle ostatnich odkryć nie będzie to wyłącznie działanie w interesie swoim i kolegów, ale również sprawiedliwa kara za ohydne knowania.

Wiosenna kolekcja

Motywy przewodnim pokazu Pietera van Kessela jest świeże spojrzenie na miasto oraz jego odnowa.

– Jaka odnowa? – handryczy się Marguerite, ciaśniej otulając ramiona szalem. Nie marznie, bo w zatłoczonym pomieszczeniu ustawiono grzejniki, ale boi się pobrudzić sukienkę. – Moim zdaniem, to miejskie dno. Gorzej bywa tylko w slumsach.

Van Kessel zorganizował jesienny pokaz na placu budowy nowej biblioteki. Gmach ledwie wyszedł z ziemi. Widać tylko fundamenty, ale i tak dziwię się, że inwestor pozwolił ustawić tu namiot i zaprosić dziennikarzy. W takich sytuacjach nieuchronnie powstaje okropne zamieszanie.

– Nie jest tak źle – mówię, gdy zajmujemy wreszcie nasze miejsca.

Długo musiałyśmy się przeciskać, bo są w pierwszym rzędzie. Nie przywykłam siedzieć tak blisko wybiegu. Siłą rzeczy musiałam wziąć: na siebie funkcję przewodnika, a Marguerite szła za mną, obserwując zebranych.

Chusteczką ściera z krzesła warstewkę kurzu i sadowi się wygodnie.

– Niesamowity pokaz – mruczy.

Goście dopisali. Jest ich więcej niż ktokolwiek oczekiwał. Opowieści podawane z ust do ust szerzą się lotem błyskawicy, co sprawia, że podczas jesiennego tygodnia mody zaproszenia na pokaz van Kessela są po prostu rozchwytywane. Marguerite wita się z dyrektorami działu sprzedaży renomowanych sieci handlowych, którzy stawili się w komplecie. Jestem uradowana, szczerze uradowana, bo van Kessel zasługuje na uznanie, a poza tym już widzę, że mam gotowy materiał do drugiego artykułu.

Marguerite nie jest w świecie mody postacią anonimową i ma swoich wielbicieli, którzy otoczyli ją teraz, chcąc się pokazać w towarzystwie pięknej i wpływowej damy zasiadającej w pierwszym rzędzie. Gdy Marguerite peroruje o klasycznym stylu van Kessela inspirowanym kulturą dawnej Europy (czytała moje notatki), siedzę nieruchomo na krześle, przyglądając się swoim dłoniom. Nie znam tu nikogo. Drugi raz jestem na pokazie mody, więc nie mam pojęcia, jak się zachować. Trzymam się na dystans, bo moim zdaniem to najlepsze wyjście, choć zapewne dużo tracę.

– Wstrętna zołza – szepce mi do ucha pani siedząca obok.

Najwyraźniej mimo woli czymś się jej naraziłam. Odwracam głowę, zdumiona, lecz gotowa do obrony. Moja sąsiadka jest wiekowa i nadzwyczaj wytworna: siwe, lekko falujące, krótkie włosy ostrzyżone na pazia, luźny jedwabny garnitur w dawnym stylu oraz brylanty. Twarz i postać wydają się znajome, jakbym często ją widywała; na pewno nie w metrze, jadąc do pracy.

– Przepraszam? – rzucam pytającym tonem, choć brak mi tchu.

Kobieta jest zdziwiona moją uwagą. Chyba nie mówiła o mnie. Zapewne ma zwyczaj mamrotać do siebie półgłosem.

– Wybacz, kochanie. Tak mi się wyrwało. Nie miej mi tego za złe.

– Przepraszam! – mówię ponownie, zmieniając intonację.

– Nie ma za co, kochanie. Nie ty popełniłaś gafę.

– Wybucha śmiechem i przygląda ręką siwe włosy.

Uśmiecham się nieśmiało. Spoglądam na wybieg. Kobieta siedząca obok mnie z pewnością jest weteranką świata mody i nie zadaje się z pariasami.

– Nie widywałam cię dotąd – zagaduje po chwili.

– Pierwszy raz jesteś na pokazie mody?

– Prawie pani zgadła. Oglądałam tylko czerwcowy pokaz van Kessela.

Wyraźnie zaintrygowana unosi brwi. Tamtą imprezę widzieli jedynie prawdziwi znawcy.

– Żałuję, że mnie tam nie było, ale o jego istnieniu dowiedziałam się z recenzji w „Timesie”. Pochlebiam sobie, że jestem na bieżąco, ale projektantów szybko przybywa. To nie to co dawniej.

– Na tamten pokaz zaprosiła mnie koleżanka. Jej matka współpracowała dawniej z asystentem van Kessela i miała wolny bilet – tłumaczę, aby nie pomyślała, że ma do czynienia z wytrawną znawczynią. Nie jestem koneserem, po prostu dopisało mi szczęście. – Kolekcja okazała się znakomita, więc od razu pobiegłam do pracowni van Kessela. Pół dnia przesiedziałam z nim i jego zespołem.

– Mądra dziewczyna – chwali mnie sąsiadka. Rumienię się z radości. Nie chodzi o komplement;

bardziej mnie ucieszył ton aprobaty słyszalny w jej głosie. Miło, gdy ktoś nas docenia.

– Dziękuję. Pomyślałam, że byłoby interesujące obserwować nowy talent i komentować na bieżąco rozwój kariery. Chciałabym poświęcić van Kesselowi serię artykułów.

Starsza pani kiwa głową. Tak, pomysł jest dobry.

– Gdzie się ukaza?

– Nie sądzę, żeby zostały opublikowane. Moja sąsiadka jest zdziwiona.

– Jestem dziennikarką „Stylu i Blasku”.

– Aha. – Ta nazwa wszystko tłumaczy.

– Niestety – dodaję smutno. – Usiłowałam przekonać szefostwo do swego pomysłu, lecz takie teksty nie pasują do naszego profilu.

– A szkoda. – Siwowłosa pani klepie mnie po ręku. Wzruszam ramionami. Mnie to już nie rusza. Przyzwyczajenie jest drugą naturą.

– Mówi się trudno. Moje ryzyko, moja strata.

– Wybacz, kochanie. Zachowałam się skandalicznie. Powinnam od razu się przedstawić. Jestem Ellis Masters. – Podaje mi dłoń.

Ellis Masters w świecie mody jest żywą legendą i najwyższym autorytetem. Jednym słowem niszczy oraz napędza kariery i wcale nie zamierza przejść na emeryturę.

– To dla mnie zaszczyt, że panią poznałam – mówię, walcząc z pokusą, żeby paść na kolana i ucałować jej dłoń. Powtarzam sobie w duchu, że to królowa świata mody, a nie koronowana głowa. – Nazywam się Vig Morgan.

– Miło cię poznać, Vig. – Zerka na wysadzany drogimi kamieniami zegarek. – Mam nadzieję, że wkrótce zaczną. Dziś wieczorem mam być na trzech innych pokazach. –

Uśmiecha się do mnie i dodaje uprzejmie:

– Nie zapomnę o naszym spotkaniu.

Miły gest. Niby drobiazg, a cieszy, chociaż nie wiąże z tym wielkich nadziei.

Wielbiciele Marguerite odeszli, więc spostrzegła wreszcie, obok kogo siedzę.

– Ellis, kochanie! Jak cudnie znów cię widzieć!

– szczebiocze uradowana. Zrywa się na równe nogi i podbiega, żeby uściskać wytworną damę, która bez entuzjazmu przyjmuje te karesy i szybko uwalnia się z jej objęć.

– Witaj, Marge – mówi głosem pozbawionym ciepła i życzliwości.

Marguerite nie zwraca na to uwagi i papie jak najęta o dawnych dobrych czasach, o Paryżu i wspólnych znajomych, z którymi straciły kontakt. Ellis Masters przez moment sprawia wrażenie schwytej w pułapkę, więc już mam wtrącić, że Harrison Ford macha do Marguerite zza betonowego filaru, ale starsza pani taktownie przerywa jej monolog i zwraca się do swego sąsiada, popularnego aktora, który chyba nie wie, z kim ma do czynienia, lecz najwyraźniej potrafi docenić klasę rozmówcy.

– Ona jest taka kochana. Wieki się nie widziałyśmy – papie dalej Marguerite. – Przepraszam, Vig, że cię nie przedstawiłam, ale Ellis bywa chimeryczna i nic na to nie można poradzić.

– Skąd ją znasz? – pytam. Zastanawia mnie chłód bijący od Ellis i jawna niechęć do Marguerite.

– Pracowałam w „Parvenu”, gdy nim kierowała. To było sto lat temu, gdy dopiero zaczynałam. Nie miałam pieniędzy i musiałam biegać po wyprzedażach, żeby upolować fajne ciuchy.

Marguerite rozrzewnia się i chętnie powspominałaby dawne czasy, ale nie ma na to szans, bo słychać już muzykę, a bębny dudnią tak głośno, że całkiem ją zagłuszają. Patrzą na wybieg, a w uszach brzmia mi słowa Ellis Masters: wstrętne żoła.

Trwały związek? Ależ skąd!

Rodzice Aleksa przyjechali do miasta i będą nocować.

– To jedynie przystanek w drodze do Londynu – powiedział, gdy wcześniej zatelefonował do mnie, aby wyjaśnić, dlaczego po pokazie van Kessela nie pójdzie ze mną na kolację. – Wylatują z samego rana, więc przed dziesiątą powinni wrócić do hotelu. Wpadnę do ciebie, kiedy ich odwiozę.

Byłam trochę rozczarowana, że nie przyszło mu do głowy przedstawić mnie rodzicom, ale zgodziłam się zmienić plany i powiedziałam, że zobaczymy się później. Właściwie trudno się dziwić, że nie chciał poznać mnie z rodzicami. Znajomość z Alekssem trudno nazwać stałym związkiem, a przecież dopiero gdy ludzie chcą być razem przez dłuższy czas, aranżują spotkania w rodzinnym gronie. My widzimy się regularnie i lubimy być razem, ale unikamy poważnych tematów. Nie pytam Aleksa, czy widuje się z blondynką o zmysłowym głosie, jego nie interesuje, czy chodzi na randki z innym.

Oczywiście mam tylko Aleksa. Szczerze mówiąc, jestem nim zauroczona do tego stopnia, że czasami trudno mi się skupić na innych sprawach. Z drugiej strony jednak chodziłam już z tyloma facetami, że zdaję sobie sprawę, jak istotne jest zachowanie dystansu. Byłam sama kawał czasu, więc teraz wiem, na co mogę sobie pozwolić.

O dziesiątej siedemnaście Aleks staje na progu mojego mieszkania. Kupił pyszne lody waniliowe i czekoladowy sos. Przygotowując deser, – wypytuje o pokaz. Ciekawi go Pieter van Kessel i moje pomysły na serię artykułów.

Monologuję z wielkim ożywieniem przez pół godziny, ale nie przerywa, tylko zachęcająco kiwa głową. Zawsze marzyłam o chłopaku, który tak dobrze by mnie rozumiał.

Pałaszujemy lody; nawet pucharki i łyżeczki zostają starannie wylizane. Aleks mówi, że powinien wrócić do domu i wyprowadzić Redbullka. Powtarza, że na niego już pora, ale zostaje.

Gdy o trzeciej nad ranem wstaję z łóżka, muszę uważać, żeby nie potknąć się o jego nogi. Wracam szybko i patrzę na niego. Przy czerwonej poświacie budzika dostrzegam znamię na plecach, tuż pod łopatką. Muskam je opuszkami palców i już mam się odsunąć, ale przyciąga mnie i obejmuje z całej siły. Nie wyslizgnę się już z ciepłych ramion.

Długo nie mogę zasnąć. Leżę mocno przytulona do Aleksa i powtarzam sobie jak mantrę, że wbrew pozorom to nie jest trwały związek.

Nadeszła upragniona chwila...

Moja rozmówczyni nazywa się Leila Chisholm i pracuje w „Timesie”.

– To dla nas prawdziwa gratka – mówi. – Pokaz wiosennej kolekcji Pietera van Kessela okazał się wielkim sukcesem. Wszyscy chcą z nim rozmawiać, a on po prostu zniknął jak kamień w wodę. Próbowaliśmy coś wyciągnąć od jego ludzi, ale trudno ich namierzyć. Wygląda na to, że facet nie ma nawet rzecznika prasowego, więc pani spada nam jak z nieba.

– Kto powiedział pani o wywiadzie? – pytam. Wciąż nie mogę uwierzyć, że „New York Times” chce kupić mój tekst.

– Ellis Masters wspomniała o tym jednej z moich redaktorek – pada odpowiedź. – Wiemy od niej, że chce pani napisać serię artykułów, swego rodzaju kronikę dokonań młodego, ale wyjątkowo uzdolnionego projektanta.

– Rozważam taką możliwość – przyznaję ostrożnie. Jestem świadoma, że muszę działać delikatnie i nie dać się ponieść emocjom.

– Bierzemy.

– Proszę?

Mówiła wyraźnie, ale chcę to raz jeszcze usłyszeć.

– Bierzemy pani tekst – skwapliwie powtarza pani redaktor. – Niech pani nam sprzeda całą serię artykułów. Kupujemy wszystkie na pniu.

– Zgoda – odpowiadam. Podpisałam wprawdzie zobowiązanie, że dopóki pracuję dla Ivy Publishing, oni mają prawo pierwokupu wszystkich moich pomysłów, ale się tym nie przejmuję, bo nic nie wskazuje na to, żeby Jane nagle zainteresowała się kroniką dokonań Pietera van Kessela, który jest dziś na topie w świecie mody. „Styl i Blask” nie promuje wschodzących gwiazd, nas interesują wyłącznie starzy wyjadacze.

– Świetnie. Chcemy dać ten artykuł w piątkowym numerze – informuje rzeczowo Leila Chisholm. – Potrzebujemy trzech tysięcy słów. Na kiedy będzie pani gotowa?

Kalkuluje pospiesznie. Mam dwanaście stron notatek do przeczytania. Tekst napiszę w dwie godziny.

– Na jutro.

– Rano? – pyta.

Myślałam o popołudniu, ale muszę być elastyczna. Nudne zaległości piętrzące się na moim biurku mogą poczekać. Nie tknę niczego, dopóki nie skończę artykułu o van Kesselu.

– Koło jedenastej?

– Wolałabym trochę wcześniej, ale mówi się trudno – ustępuje. – Proszę mi podać numer faksu. Zaraz prześlę pani umowę.

Siedzę przez kwadrans nad faksem, wpatrując się w niego jak zaczarowana. Tekst umowy wygląda blade, więc muszę wyteżać wzrok, ale dla mnie to najpiękniejsza poezja.

Teraz powinnam zadzwonić do rodziców, a potem odtńczyć taniec radości, lecz na wszelki wypadek zaglądam do Marguerite i pytam, czy jej zdaniem „Styl i Blask” kupi ode mnie artykuły o van Kesselu.

– Teraz? Nie sądzę. – Smutno kręci głową. – Gdybym była naczelną... – Zawiesza głos, nie kończąc zdania.

Dłużej nie zawracam jej głowy, bo usłyszałam to, co chciałam usłyszeć. Znikam, uśmiechając się promiennie. Teraz mogę już sobie pozwolić na okazanie radości.

– Dzięki – dodaję zdławionym głosem, bo ze szczęścia dech mi zapiera.

Wracam do gabinetu, zamykam drzwi i tańczę jak szalona. Trzy tysiące słów dla „New York Timesa”! Nie do wiary! Chyba śnię! Zawsze o tym marzyłam. Dlatego zostałam dziennikarką.

Biorę kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić, i mówię sobie, że pora zabrać się do pracy. Zaraz wyjmę dyktafon i kasety, ale przedtem napiszę list z podziękowaniem do pani Ellis Masters. Taki skromny dowód wdzięczność, bo mam świadomość, że na zawsze pozostanę jej dłużniczką.

Znowu drinki

Hotelowy bar i hol to ulubione miejsca Mai. Pociąga ją elegancja zbytkownych wnętrz i poczucie tymczasowości. W hotelu czuje się, jakby sama była daleko od domu. Ludzie są tutaj zaabsorbowani własnym życiem. W innych miejscach stale uciekają.

– Nie kochałam nigdy Rogera – mówi Maja, gdy kelner przynosi jej koktajl o nazwie capirinha. Nigdy go nie piła, ale ma ochotę na nowego drinka. Cosmopolitan kojarzy jej się z duchowym kryzysem po odejściu Rogera, którego przecież w ogóle nie kochała. Poza tym chce spróbować alkoholu pędzonego z trzciny cukrowej.

Pociągam łyk mojito. Nowym drinkiem opijam życiową odmianę. Czekam cierpliwie, aż Maja rozwinie wcześniejszą myśl. Sama także mam wiele do opowiedzenia, ale moje rewelacje muszą poczekać. Rozmowy o związkach mają pierwszeństwo.

– Szczerze mówiąc, nigdy się nie łudziłam, że to miłość – kontynuuje Maja. Test capirinho wypadł pomyślnie. – Tamten pierścionek był jak trucizna i podziałał na mnie obezwładniająco. Kiedy znalazłam go w szufladzie, byłam jak zaczadziła i łudziłam się, że kocham Rogera. Teraz myślę, że czułam przemożną tęsknotę za małą stabilizacją, która jest przecież uludą. Zachciało mi się obiadków w rodzinnym gronie – wyznaje trochę zakłopotana.

Trudno przyjąć do wiadomości, że takie marzenie dopada nie tylko kumpli z przedmieścia, którzy postanowili tam pozostać.

– To ludzkie – zapewniam, a Maja uśmiecha się promiennie.

– Mam nadzieję, że mnie i Gavinowi się uda. A już się bałam, że jest dla mnie tylko odskocznią po zawodzie miłosnym.

Właśnie upiłam łyk rumu doprawionego sokiem z limonki, więc gdy usłyszałam niespodziewane wyznanie, zakrztusiłam się i prychnęłam. Maja i Gavin?! Nic mi o tym nie wiadomo.

– Co?!

– Gavin i ja wymieniliśmy telefony. Jesteśmy w kontakcie – wyjaśnia, unikając mego spojrzenia, jakby czuła się zakłopotana.

– Dlaczego nie pisnęłaś ani słówka?

– Co miałam powiedzieć? Że rozmawiamy godzinami? Że chyba się zakochałam? – odpowiada ironicznie. – Przecież. to żalosne. Dreszcz mnie przechodzi na samą myśl, że mam się przyznać, ile czasu wiszę na telefonie.

Nie zwracam uwagi na samokrytykę i od razu przechodzę do meritum.

– Jesteś zakochana?

Z udawaną obojętnością wzrusza ramionami. Wygadała się i teraz nadrabia miną, próbując się wycofać.

– Bardzo go lubisz, prawda?

Patrzy w stronę drzwi, jakby oczekiwała, że Gavin lada chwila tu przyjdzie. Uświadamiam sobie, że wczoraj późnym wieczorem przyleciał do Nowego Jorku i z samego

rana pojechał do galerii, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Znam upór Mai. Teraz niczego się nie dowiem. Daremnie waliłabym głową w mur, więc zmieniam temat.

– „Times” kupił ode mnie artykuł.

Maja odwraca głowę i chwyta moją dłoń tak gwałtownie, że rum wylewa się na ramię i blat.

– Naprawdę?

Wycieram plamę serwetką i opowiadam ze szczegółami, jak do tego doszło.

– Mój dobry człowieku – Maja uderza dłonią o bar, żeby przywołać opornego barmana – prosimy o butelkę najtańszego szampana.

– Nie ma potrzeby...

– Cicho! Taki sukces trzeba opić szampanem. Czym chcesz wnieść toast?

Nim zdążyłam powiedzieć, że mojito i capirinha mi wystarczą, barman już otwiera butelkę moeta.

– Zresztą ja także mam co oblewać – zwierza się Maja, podając mi wąski kieliszek.

– Mów szybko!

– Najpierw wypijmy za ciebie. – Unosi kieliszek. – Zdrowie Hedwig Morgan, dziennikarki i mojej przyjaciółki.

Te słowa brzmią zabawnie i uroczo, więc spełniam toast, jednym haustem wypijając całą zawartość kieliszka.

– Dobrze, teraz twoja nowina.

– Zaczęłam nową powieść...

– Świetnie. O czym?

– Próba otrucia anorektyczki, ale nie jest to kryminał. Żadnych trupów.

Napełniam kieliszki i unoszę swój do toastu. Zachęcam Maję, żeby poszła w moje ślady, ale nie słucha.

– Za literaturę!

– Nie wydaje mi się...

– Przestań! Nie obruszyłam się, gdy plotłaś głupstwa, więc zaciśnij zęby i cierp w milczeniu.

Maja wie, że lekko wstawiona Vig łatwo się nie podda.

– No dobrze. Za literaturę. – Po chwili milczenia dodaje: – Kilka początkowych rozdziałów dałam do przeczytania nowojorskiej agentce zaprzyjaźnionej z londyńskim pełnomocnikiem Gavina. Przeczytała je przez wzgląd na niego, ale powiedziała, że tekst dobrze się zapowiada. Gdy tylko skończę, zaraz mam jej przesłać całość.

Uradowane, a zarazem trochę nieufne wobec kapryśnego losu wznosimy kolejne toasty. Gdy w drzwiach staje Gavin, obie czujemy się niezwykłe. Świat stoi przed nami otworem. Przypominamy potężną Godzillę, a przeszkody na naszej drodze są jak dachy japońskiej wioski.

Maja zarzuca Gavinowi ramiona na szyję i obsypuje go pocałunkami, które on przyjmuje ze wstydliwym uśmiechem. Spogląda na mnie ponad jej ramieniem i macha na powitanie.

Dawno się nie widzieli, więc idę do łazienki i siedzę tam dobrych kilka minut, żeby mieli trochę czasu dla siebie. Podziwiam wystrój wnętrza, żałując, że nie przyszedłam z Alekssem.

Gdy zadzwoniłam wcześniej, żeby podzielić się dobrą nowiną, zamierzałam go zaprosić, lecz coś mnie powstrzymało. Wspólne świętowanie przełomowych chwil dotyczy głównie stałych związków.

Ostrzeżenia

Zdesperowana Christine wygłasza mi prawdziwe kazanie.

– Nie godzi się ubierać Madonny w jedwabną suknię z dekoltem w karo i obcisłym karczkiem. Nawet jeśli to kreacja Givenchy, należy oczekiwać kary niebios. Człowiek ma być pokorny i bogobożny. Tak jest napisane w Biblii.

Nie wiem, bo nie czytałam, a pokora i bogobożność są mi z gruntu obce, lecz nie ulega wątpliwości, że Christine mówi szczerze. Znam się na objawach paniki i potrafię je rozpoznać.

– Wszystko będzie dobrze – uspokajam łagodnym tonem.

Drzwi się otwierają i do gabinetu wchodzi Sara. Uśmiecha się szeroko. Jest trochę zbita z tropu, widząc u mnie Christine, ale reflektuje się natychmiast i mówi:

– Już pikietują.

– Tak? – odpowiadam pytająco.

– Pikietują budynek – mówi, z trudem ukrywając rozgorączkowanie. To pierwsza oznaka, że nasz plan może być skuteczny. – Oblegają nas hordy rozgniewanych chrześcijan trzymających transparenty, na których wypisane są cytaty z Pisma. Zjawiała się też policja. Usiłują rozproszyć tłum, bo protest jest nielegalny. Brak pozwolenia na demonstrację. – Wybuchają śmiechem. – Policja! Nie do wiary, co? Jest lepiej, niż się spodziewałam. Christine obrzuca Sarę karcącym spojrzeniem.

– Trzeba odwołać wernisaż i bankiet, nim spadnie na nas plaga szarańczy.

– Jakiej szarańczy? – dziwi się Sara, wznosząc brwi.

– Porozmawiaj z Jane. To jej pomysł – radzę Christine, która nie jest zachwycona tą sugestią, ponieważ boi się szefowej.

– A ty byś nie mogła? – zwraca się do mnie. Pomysł jest tak zabawny, że omal nie wybucham śmiechem.

– Dlaczego ja?

– Jane cię posłucha – nalega Christine, składając ręce jak do modlitwy.

Znowu to samo. Dlaczego wszyscy sądzą, że Jane liczy się z moim zdaniem?

– Nie zamierzam prosić jej, żeby odwołała imprezę. Nie ma powodu.

– A protesty? – Christine nie daje za wygraną. – Ci ludzie mogą nas zaatakować.

– Umówmy się, że jeśli do czwartej tłum się nie uspokoi, a fanatycy nadal będą wariować, zobaczę, co da się zrobić.

O czwartej będzie za późno na odwołanie bankietu, ale Christine nie jest tego świadoma, więc oddycha z ulgą.

– Dzięki, Vig.

Wzruszam ramionami, jakbym chciała powiedzieć, że nie ma za co dziękować. Zresztą to prawda. Nawet gdybym chciała porozmawiać z Jane, nie dam rady się z nią skontaktować, bo siedzi w salonie piękności i robi się na bóstwo.

Christine wychodzi, a Sara przyciska twarz do szyby i obserwuje policjantów

rozpraszających demonstrację.

Gdy przyłączam się do niej, wchodzi Delia.

– Niesamowite, co? – odzywa się, zerkając ponad naszymi ramionami.

– Polecę na dół, żeby lepiej widzieć – szczebioce uradowana Sara. – Idziecie ze mną?

Delia i ja nie mamy na to ochoty, więc tylko odprowadzamy ją wzrokiem, gdy wybiega do holu.

– Wygląda na to, że wszystko idzie według planu – mówię. Delia kiwa głową i ostrożnie siada na krześle.

– Owszem, lecz powstał mały problem.

Jestem ateistką, ale przypominam sobie ostrzeżenia Christine, przez moment serce ścisza mi lęk. Plaga szarańczy na Piątej Alei?

– Jaki problem?

– Pamiętasz rozmowę o Australii?

– Czego dotyczyła?

– Deportacji Marguerite dokonanej na życzenie Jane.

– Ach tak, naturalnie.

– Okazało się, że to była zemsta, i to uzasadniona.

– Delia kładzie na biurku notatnik akademicki w żółtych okładkach.

Otwieram go, lecz daremnie usiłuję przeczytać tajemnicze gryzmoły, bo Delia bazgrze jak kura pazurem. Tych hieroglifów nie da się rozszyfrować.

– Co to jest?

– Moje zapiski. Rozmawiałam przez telefon z Lucy Binders, dawną sekretarką naczelnej „Parvenu”. Bardzo miła kobieta. Teraz jest agentką ubezpieczeniową.

Chętnie dowiedziałabym się, jak Delia odnalazła sekretarkę Ellis Masters sprzed dwunastu lat, ale staram się panować nad ciekawością, bo detektywistyczne talenty Delii nie mają tu nic do rzeczy.

– Co powiedziała Lucy Binders?

– Według niej, Marguerite to kłamliwa suka oraz intrygantka, bez skrupułów manipulująca ludźmi. Została starszą redaktorką, bo sypiała z sekretarzem redakcji, a po awansie urządziła podwładnym, między innymi Jane, prawdziwe piekło. Dawała jej kretyńskie tematy i zbyt krótkie terminy, których nie można było dotrzymać, fałszowała teksty, wprowadzając kompromitujące zmiany. Po pięciu miesiącach Jane została zwolniona. Kontaktowałam się również z kilkoma redaktorkami australijskiej edycji „Vogue’a”, ale wszystkie nabrały wody w usta, jakby się zmówiły, że nie chcą wracać do tamtych czasów. Zresztą i tak sporo wiemy. Mam przecucie, że coś tu śmierdzi. Czyżby naprawdę groziła nam biblijna plaga szarańczy? Instynkt podpowiada, że trzeba odwołać imprezę i wiać, ale nawet gdyby się udało, nie zapanuję nad sytuacją. Jak mam skłonić demonstrantów pikietujących budynek wydawnictwa, żeby wrócili do domu? Nie ma takiego sposobu.

– Dobra. Prowadź dalej swoje śledztwo. Na Marguerite również trzeba mieć haka. To nam się może przydać – odpowiadam, mocno przerażona własnym oportunizmem.

Spisek uknuty przeciwko Jane miał być jednorazowym wyskokiem, a nie nowym

sposobem na życie.

– Jestem tego samego zdania, szefowo – mówi Delia, uśmiechając się z zadowoleniem.

Cieszy ją moja nowa bezwzględność. Pewnie sądzi, że wkrótce sama założę wszystkim teczki.

Nie wiem, o czym to świadczy, ale mam szczerą nadzieję, że źle mnie oceniła.

Spadaj, Judaszu!

Gdy przyjeżdżam do galerii, Gavin właśnie demontuje „Odłot lili” i pakuje Madonnę do pudła jak dzieciak, który stwierdził, że zabiera swoje zabawki i przenosi się na inne podwórko.

– Co się dzieje? – pytam, widząc, że zdejmuje lśniące pończochy figurze ubranej w klasyczny kostium Chanel.

Poza tym wszystko gra: pracownicy firmy cateringowej instalują bar, akustycy sprawdzają nagłośnienie, demonstranci wnoszą podium i wrzeszczą na przechodzące obok stylistki. Jedyne Gavin opiera się powszechnemu dążeniu do urzeczywistnienia wspólnego celu. Milczy jak zaklęty.

– Hej, *co* jest grane?! – wołam.

Odwraca się i staje ze mną twarzą w twarz. Jego oczy ciskają błyskawice, wargi są zaciśnięte. To nie jest pogodny, sympatyczny Gavin, który po niezliczonych toastach i obfitej kolacji całował mnie w czoło na pożegnanie, gdy o trzeciej nad ranem dotarliśmy we trójkę pod mój dom.

Bierze głęboki oddech i mówi pogardliwym tonem:

– Nowe szaty Madonny.

– Aha – mruczę i cofam się o krok.

Od trzech miesięcy wiedziałam, że ta chwila nadejdzie. To było nieuchronne, ale gdy piliśmy szampana, świętując mój wielki sukces, całkiem o tym zapomniałam. Wczoraj wieczorem powinnam była uprzedzić Gavina, co przeczyta w grudniowym numerze „Styl i Blasku”. Na lekkim rauszu inaczej przyjąłby tę wiadomość.

Nadal chaotycznie rozbiera Madonny i wykrzykuje tytuły z grudniowego numeru. Nawet przyjdzie Mai ubranej w długą czarną suknię, z brylantowym diademem we włosach, niewiele zmienia. Wyżywa się teraz na nas obu. Bogu ducha winna Maja nie ma pojęcia, o co chodzi, bo rzadko bierze do ręki „Styl i Blask”.

– Gavin jest wściekły, bo trochę zaszaleliśmy w ostatnim numerze. Pełno w nim odniesień do jego wystawy – tłumaczę.

– Ach tak – szepce Maja.

– Nawet się nie wypierasz, prawda? Od początku wiedziałas, na co się zanosi! – wrzeszczy Gavin. – Zdejmuję Madonnie żakiet Chanel i niedbale ciska do pudła.

– Było dla ciebie oczywiste, że zostanę ośmieszony i upokorzony, ale nic mi nie powiedziałaś. Wczoraj wieczorem, kiedy... – Milknie, jakby wspomnienie nocnej włóczęgi było dla niego zbyt bolesne. – Nawet się nie zająknęłaś.

Patrzy wrogo na Maję. Chyba uważa ją za współwinną. Ma powody do zdenerwowania, ale czemu wyżywa się na mojej przyjaciółce?

– Nie wiń Mai – napadam na niego, oburzona krzyzącą niesprawiedliwością. – Przyznaję, że jestem winna, więc złość się na mnie.

– Lepiej nie wywołuj wilka z lasu – ostrzega, wybuchając urągliwym śmiechem. Chwyta

egzemplarz „Styl i Blasku” i ciska nim o ścianę. – Masz pojęcie, jak ciężko musiałem pracować, aby zasłużyć na szacunek?

Nie zdajesz sobie sprawy, ile wysiłku potrzeba, żeby chłopak z arystokratycznego rodu przestał być postrzegany jako zdolny amator bawiący się w sztukę. Harowałem w pocie czoła, żeby uznano mnie za prawdziwego artystę. Błękitna krew okazała się nie lada przeszkodą, ale się z nią uporałem. Do jasnej cholery, nie mam nic wspólnego z tym dupkiem księciem Karolem malującym śliczne akwarelki! Praca jest dla mnie bardzo ważna. Jestem twórcą, a nie sztukmistrzem z podrzędnego cyrku wynajętym przez wasz brukowiec!

Przyglądam się Gavinowi. Cały drży, oddycha płytko, żyły pulsują mu na skroniach. Lada chwila wybuchnie, ale nie mogę dać za wygraną, bo zbyt wiele zależy od jego dobrej woli. Musi ustąpić.

– Dobra. Rób, co uważasz za stosowne – mówię przyciszonym głosem. – Możesz zamknąć drzwi przed nosem zaproszonym gościom i zerwać wernisaż, bo tak ci się podoba. Twoja kariera na tym nie ucierpi. Wręcz przeciwnie, bo wybitny artysta ma prawo być także ekscentrykiem. Ale ja będę skończona.

Gavin zasłania oczy ręką i długo milczy. Maja obserwuje go, stojąc z ramionami przyciśniętymi do boków. Chciałyby pomóc, ale jest bezradna.

– Cholera jasna! – odzywa się po chwili Gavin. Sprawia wrażenie znużonego. – Vig, to nieuczciwe...

– Wiem – przyznaję, kując żelazo póki gorące, bo widzę, że zrobiło mu się mnie żal. – Zdaję sobie sprawę, że nie mam prawa niczego od ciebie żądać, ale zastanów się przez moment. „Styl i Blask” ci nie zaszkodzi. Kolorowe pisemko z ładnymi zdjęciami w twoim świecie znaczy tyle co nic, ale ty możesz nas zniszczyć, jeśli zechcesz. Proszę tylko, żebyś tego nie robił.

Gavin kapituluje. Podejrzewam, że gdyby wczoraj nie opijał mego sukcesu i nie pocałował mnie w czoło na dobranoc, byłby nieugięty. Ale ustąpił. Nie będzie się mścić.

– Dobra.

Maja bije brawo, a potem rzuca mu się na szyję.

– Dzięki Bogu, doszliśmy do porozumienia. Czy ktoś mógłby zachwycić się moim diademem? Jestem spragniona komplementów. Poszłam w nim dzisiaj do redakcji i nikt się nie zainteresował. Już myślałam, że jestem niewidzialna.

Gavin wybuchając śmiechem i zapewnia Maje, że ślicznie wygląda w diademie, bo ładnemu we wszystkim ładnie.

Katastrofa została zażegnana, więc dokonuję pospiesznej inspekcji, sprawdzając, czy gorliwe stylistki nie narobiły głupstw, pochopnie wkraczając na terytorium zarezerwowane dla sztuki wysokiej.

Wracam do Gavina, żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Spokojnie ubiera roznegliżowane Madonny. Orkiestra stroi instrumenty.

– Kontrolujemy sytuację – zapewnia, wiążąc chustkę na głowie jednej z figur.

Zakłada jej również ciemne okulary. Wypisz wymaluj Jane Carolyn-Ann Whiting McNeill w porze lunchu. Tak się ostatnio każe tytułować.

Tryumf

Krystal Karpfinger, żona właściciela galerii, chce zbudować pod miastem wielkie centrum handlowe. Chętnie o nim opowiada i mnie wybrała na powiernicę. Słucham uprzejmie, ale moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Maja stoi w pobliżu i rozmawia z ubranym na czarno sławnym jazzmanem. Gavin też jest niedaleko i mógłby mnie ocalić, ale robi głupie miny, biorąc subtelny odwet za niedawne upokorzenie.

Krystal podejmuje kolejny wątek: czym się różni mieszkaniec przedmieść od prawdziwego nowojorczyka. Mam dość tej paplaniny, więc chwytam za ramię przechodzącą kelnerkę. Zdziwiona próbuje się wyrwać, ale trzymam mocno, choć opędza się jak od natrętnej muchy.

– Czy dobrze panią zrozumiałam? – mówię. – Orkiestra przestanie grać, jeśli nie usuniemy z przeznaczonej dla nich tacy wszystkich kanapek posypanych koperkiem? – Nie czekając, aż kelnerka zacznie wyzywać mnie od wariatek, zwracam się do Krystal: – Muszę uciekać. Kłopoty z orkiestrą. Artyści są nieprzewidywalni i strasznie kapryśni. Zresztą pani wie o tym lepiej ode mnie. Proszę nie mieć mi tego za złe, ale muszę panią pożegnać. Obowiązki wzywają.

Po minie poznaję, że nic z tego nie rozumie, jakbym błyskawicznie przetasowała jej przed oczyma trzy karty i kazała zgadnąć, gdzie jest ta szczęśliwa. Zamilkła z wrażenia, więc korzystam z okazji i oddalam się pospiesznie w głąb sali. Po drodze zaopatruję się w butelkę wody mineralnej oraz porcję homara w cieście. Przyczajona za figurą Madonny w niebieskiej rubaszce obserwuję gości. Nagle czuję, że ktoś dotyka mojego ramienia. Jane wypatrzyła mnie w tłumie. Można by pomyśleć, że mam gdzieś zamontowany komputerowy chip sygnalizacyjny.

– Vig, miałas pilnować fotoreporterów – napada na mnie, podnosząc głos, żebym mimo szmeru rozmów wyraźnie słyszała jej marudzenie.

Niechący popchnięta przez jakąś kobietę wylewa białe wino na moją sukienkę, ale nie przepasza. To jej nie przystoi. Dlaczego miałaby się przejmować, że czeka mnie wydatek, bo jedwabne ciuchy lepiej oddawać do pralni. Sama jestem sobie winna. Po co stałam obok niej? Wyładowuje na mnie swoją złość, bo fotoreporterzy robią Gavinowi zdjęcia na tle planszy z logo galerii. „Styl i Blask” idzie w odstawkę.

Jane rusza do ataku, pracując łokciami, żeby utorować sobie drogę w gęstym tłumie. Mnie się nie spieszy, dlatego powoli zmierzam w stronę dziennikarzy. Goście dopisali, więc żeby przejść na drugą stronę sali, trzeba zrećznie lawirować wśród bywalców i znanych krytyków sztuki. Do galerii walą tłumy, co dla wszystkich jest zaskoczeniem.

Wiele osób jest tutaj, aby bronić pierwszej poprawki do konstytucji oraz swobody artystycznej wypowiedzi. Chcą być sfotografowani na tle szeregu wrzeszczących demonstrantów. Nie są to rozruchy na wielką skalę i krew się nie poleje, ale galeria sprawia wrażenie obłążonej placówki misyjnej. Na zewnątrz demonstranci wznoszą okrzyki i obrzucają przeciwników obelgami, ale w środku panuje atmosfera pikniku, choć zbiera się na burzę.

Gavin stoi na tle ekranu z nazwą galerii. Spostponował planszę „Styl i Blasku”, znacznie bardziej rzucającą się w oczy, bo wielkie litery tworzące nazwę czasopisma biegną ukośnie i krzyżują się pośrodku. Zgodnie z wcześniejszą umową miejsce Gavina jest między dwiema planszami, ale poczuł się buntownikiem i ani myśli ustąpić. Na mój widok uśmiecha się lekko. A to drań!

Jane stoi z tyłu i popycha mnie ręką.

– Zrób coś. Rusz się – nalega, sądząc, że przywołanie Gavina do porządku jest równie łatwe, jak zmiana przepalanej żarówki. – No idź wreszcie.

Biorę głęboki oddech, zachodzę Gavina od tyłu, potykam się i szukając oparcia, chwytam brzeg planszy. Obie – plansza z większą gracją – padamy na podłogę. Anita Smithers pędzi na pomoc swojemu podopiecznemu, chcąc go uchronić przed upadkiem, i skutecznie zachęca, żeby się przesunął, bo znowu wpadnie na niego jakaś niezdarna redaktorka.

Jane staje u boku ocalonego Gavina, starając się zwrócić na siebie uwagę. Nie tylko chłonie ją niczym gąbka, ale ssie jak pijawka. Każda wessana przez nią chwila jest cudzą własnością. Jane uśmiecha się promiennie, kokietując reporterów i kamerzystów, ale jej wypowiedzi dotyczące sztuki budzą grozę. Według niej, Rodin jest sławnym współczesnym malarzem. Spokojnie obserwuję skrzywionego Gavina.

Jane bezwstydnie, wręcz jawnie pożąda rozgłosu i nie zna uczucia przesyty. Gotowa jest pozostać na scenie, aż technicy ją wyniosą, a ich przełożony zamknie drzwi na klucz. Nie należę do obsługi i trudno byłoby mi wyciągnąć stąd Jane, znalazłam jednak sposób, żeby uwolnić Gavina. Podchodzę bliżej i słyszę jej uczone wywody.

– ... A gdybym miała go porównać do któregoś z artystów tworzących w dwudziestym wieku, niewątpliwie byłby to Seurat. Obu charakteryzuje ta sama czystość linii – plecie trzy po trzy, nieuchronnie popadając w banał jak nasz „Styl i Blask” w każdym numerze.

Zbliżam się do niej, choć jest na mnie wściekła, bo zasłaniam światło. Szepeć jej do ucha, że demonstranci żądają, aby do nich przemówiła. Wcześniej nie brała pod uwagę takiej możliwości, ale pociąga ją ten pomysł, bo na zewnątrz jest pięć razy więcej ludzi niż w środku. Wyobraźnia podsuwa jej pamiętne sceny z lat sześćdziesiątych: Martin Luther King pod pomnikiem Lincolna. Ona też miała sen.

Gavin spogląda z wyrzutem, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że powinnam uratować go wcześniej. Idę za Jane przebijającą się przez tłum gości. Demonstranci zebrani przed galerią są hałaśliwi, ale karni. Setki ludzi stoją za niebieskimi policyjnymi barierkami. Przywódcą jest niski, schludny mężczyzna w zwykłym brązowym garniturze. Gdy stoi na podium z megafonem w dłoni, światło ulicznych lamp na Mercer lśni na jego łysinie, a Ten blask trochę przypomina aureolę.

– Ręce precz od Madonny! – skanduje z protestującymi. – Więcej szacunku dla wierzących!

Milknie na chwilę, żeby nabrać powietrza, ale Jane uważa to za sygnał dla siebie. Po pięciu schodkach wbiega na podium, wyrywa mu wielki megafon i przedstawia się demonstrantom.

– Witam – mówi, a jej głos dudni nad ulicznym brukiem – Nazywam się Jane Carolyn-

Ann Whiting McNeill. – Oczekuje, że natychmiast zorientują się, z kim mają do czynienia. Spodziewa się tego samego także po innych ludziach. Głośny aplauz utwierdza ją w przekonaniu, że ma rację. – Nazywam się Jane Carolyn-Ann Whiting McNeill – powtarza, żeby te słowa raz jeszcze rozległy się echem wśród budynków – i jestem chrześcijanką.

Tłum głośno objawia swą aprobatę. Demonstranci mylnie uznali Jane za swoją przedstawicielkę i sądzą, że pod wpływem nagłego impulsu zapragnęła przemówić, żeby dać się poznać współwyznawcom.

– Będę mówić o sztuce, o prawdziwej sztuce! – woła Jane, powtarzając mowę wygłoszoną niedawno w galerii, gdy witała Gavina Marshalla. – Sztuka wyciska nam z oczu łzy. Sztuka wywołuje radosny śmiech. Sztuka zmusza nas do myślenia. Sztuka powoduje, że krwawią nam serca. Sztuka pozwala nam łudzić się, że możemy być szlachetniejsi i lepsi niż dotąd. – Demonstranci wiwatują coraz głośniej. Jane długo nurza się w aplauzie, w końcu jednak podnosi dłoń, prosząc o ciszę. Doskonale panuje nad tłumem. Nic dziwnego, u niej wszystko jest na pokaz. Szybko wyczuwa potrzeby słuchaczy i wie, jaką kartą ma zagrać. – Prawdziwa sztuka powstaje z bożego natchnienia. Prawdziwa sztuka jest czysta. Prawdziwa sztuka nie stawia sobie *za* cel ustawicznego szokowania i obrażania większości bliźnich. Prawdziwa sztuka nie posługuje się błyskotkami, ponieważ te są dla plebsu nie znającego prawdziwej sztuki. Nazywam się Jane Carolyn-Ann Whiting McNeill i jestem chrześcijanką – powtarza i zawiesza głos, bo docenia wartość pauzy. Niedawno przekonała się, że to nadzwyczaj skuteczne narzędzie.

Okrzyki są niemal ogłuszające. Jane bierze oddech, żeby wspiąć się ku wyższym rejestrom. Teraz powie, że w galerii prezentowana jest sztuka na wskroś chrześcijańska, zaangażowana, szlachetna, bogobojna, wnikliwa, pierwotna, która stanowi wymowne przypomnienie, że nie należy pochopnie ferować wyroków. „Odłot lilii” to sztuka, sztuka prawdziwa.

Nie zdążyła o tym wspomnieć, tłum porywa ją, znosi z podwyższenia, niesie na ramionach jak bezcenne trofeum, wołając, krzycząc, skandując radośnie. Jane jest w swoim żywiole, uśmiecha się i ruchem dłoni pozdrawia manifestantów. Zawsze przeczuwała, że pewnego dnia dostąpi prawdziwego tryumfu i będzie jak Kleopatra, jak Elizabeth Taylor.

Spoglądam na procesję ze zgrozą i poczuciem bezradności. Jane majaczy mi jeszcze, niesiona ponad *morzem głów* swych chrześcijańskich współbraci wąską doliną Mercer ku migotliwym światłom Canal Street.

Mój ostatni dzień w pracy

Gdy przychodzę do redakcji, Allison już mnie wypatruje. Stoi pod gabinetem oparta ramieniem o ścianę. Uważnie czyta „Timesa”. Z pozorną obojętnością podnosi głowę. Mijam ją, wyjmuję klucz i otwieram drzwi. Nie zaprosiłam jej do środka, ale wchodzi za mną.

pów i uśmiecha się szeroko.

Stawiam plecak i podnoszę słuchawkę telefonu, żeby sprawdzić, czy są wiadomości.

– Dotarło do ciebie, co powiedziałam? – upewnia się, kładąc dłonie na biurku. Stoi pochylona do przodu.

– Aha, mam być zwolniona – powtarzam.

Jest dziesięć nowych wiadomości, więc sięgam po długopis, żeby zrobić notatki, ale nim maszyna zaczyna je odtwarzać, Allison kładzie dłoń na aparacie i przerywa połączenie.

Wyprowadziłam ją z równowagi. Spodziewała się gwałtownej reakcji, a nie pogodnej obojętności.

– Nie przejmujesz się?

– Ty nie jesteś władna mnie wyrzucić – mówię, wystukując ponownie numer poczty głosowej.

Rzadko miewam tyle wiadomości i jestem niemal pewna, że wszystkie podają ciekawe szczegóły dotyczące Jane.

– Nie, ale dział kadr ma takie możliwości. – Teatralnym gestem rzuca mi na biurko „Timesa”, który otwiera się na moim artykule. Patrzą na nią, czekając na wyjaśnienia. – Zbierałaś materiały do tego tekstu i pisałaś go w godzinach pracy, a zatem wszelkie prawa do niego ma „Styl i Blask”. Złamałaś paragraf 43, punkt B swojej umowy o pracę – oznajmiła tryumfalnie. – Zaczynaj pakować rzeczy. Dział kadr z wielką surowością odnosi się do takich wykroczeń. Za trzy minuty jestem umówiona ze Stacy Shoemaucher. Do południa już cię tu nie będzie.

– To wszystko? – pytam, wsuwając słuchawkę między ucho i ramię. Patrzą na Allison z umiarkowanym zaciekawieniem.

– Nie interesuje cię, dlaczego się tym zajmuję? – mówi płaczliwie. Chce ukazać publiczności po drugiej stronie rampy wszystkie fajerwerki i tańczące niedźwiedzie, objawić cały swój kunszt.

– Nie zamierzam jej tego ułatwiać. Wzruszam ramionami.

– Ukradłaś mi awans! – krzyczy, wyrywając mi słuchawkę. – Marguerite obiecała, że zrobi mnie starszą redaktorką, jeśli zostanie szefową, ale nic z tego nie będzie, prawda? Wszystko poszło na opak. Jane została bohaterką, więc nigdy jej nie zwolnią i to jest twoja wina, krerynko! Marguerite mnie obiecała awans. Na ciebie nie zwróciła uwagi. Ze mną omawiała swój plan, bo ze wszystkich redaktorów ja tu najwięcej pracuję. W przeciwieństwie do ciebie zasługuję na awans. Idź do cholery!

Wybiega z gabinetu, bełkocąc o Marguerite, o awansie i należnych sobie korzyściach. Ze strzępów informacji staram się wydedukować prawdę, gdy Delia puka do moich drzwi.

– Głowa do góry! – mówi, wchodząc do gabinetu.

– Wszystkie jesteście zdumione, że Jane bez trudu spadła na cztery łapy, ale to nie powód, żeby przez cały dzień udawać pustelniczkę.

Uśmiecham się do niej.

– Nie w tym rzecz, choć muszę przyznać, że w głowie mi się mąci, bo odkryłam osobliwą intrygę. Chodzi o Allison. Właśnie się czegoś dowiedziałam. Pamiętasz jej plan?

Delia siada wygodnie na krześle dla gości i kiwa głową.

– Wymyśliła, jak doprowadzić do upadku Jane Carolyn-Ann Whiting McNeill. Błyskotliwa intryga. Nie znam szczegółów, ale wiem, o co chodzi.

– Marguerite ułożyła ten plan.

Delia przechyla głowę, jakby nie kojarzyła, w czym rzecz.

– Naprawdę?

– Tak. Ona stoi za wszystkimi machinacjami. Jeśli można brać za dobrą monetę wrzaski Allison, a dla mnie ta wersja brzmi przekonująco, Marguerite z jej pomocą chciała zostać naczelną, a potem zrewanżować się jej stanowiskiem starszej redaktorki. To wiele tłumaczy – dodaję.

Pamiętam, jak mnie zaskoczył tamten plan. Nie mogłam uwierzyć, że Allison samodzielnie go wymyśliła. Zawsze koncentrowała się na własnych sprawach i dlatego byłam zaskoczona, że słyszała o kontrowersyjnym brytyjskim artyście plastyku Gavinie Marshallu. Powinnam się wtedy zreflektować.

– To mnie kręci – mówi Delia po chwili zastanowienia. W jej głosie słyszę ton podziwu.

– Załatwić sprawę cudzymi rękami i udawać, że podwładni sami wpadli na ten pomysł... Jakże to podłe! Muszę zapamiętać tę sztuczkę.

Na samą myśl o koalicji związanej przez Delię, szpiega doskonałego, oraz Marguerite, zdolną intrygantkę, ogarnia mnie lęk. Już mam palnąć kazanie i sprowadzić Delię na właściwą drogę, ale dzwoni telefon. Numer na wyświetlaczu nic mi nie mówi, ale jestem pewna, że to z kadr. Allison działa szybko.

– Zostanę zwolniona – informuję spokojnie Delię.

Spotkanie ze Stacy Shoemaucher jest krótkie i rzeczowe. Omawiamy kwestie finansowe, sprawy związane z ubezpieczeniem i obiegówką. Wręcza mi tekturowe pudełko i mówimy sobie do widzenia.

Muszę powiadomić Jane, że odchodzę, ale nadęty i zadufany w sobie Stickly twierdzi, że madame jest zajęta i proponuje mi spotkanie w przyszłym tygodniu. Zadziera nosa, jakby usługiwał koronowanej głowie.

Akceptuję zaproponowany termin i odwracam się, jakbym chciała odejść, ale tekturowym pudełkiem zawadzam o pojemnik z ołówkami. Gdy Stickly je zbiera, wkraczam do gabinetu jego chlebodawczyni. Wbrew temu, co twierdził, nie ma gości, tylko z notesem w ręku ogląda telewizję. Na trzech ekranach widzi siebie.

Spogląda na mnie i znów kieruje wzrok ku telewizorom.

– Popatrz Vig. Kiedy – zastanawiam się nad odpowiedzią, przechylam głowę o sześćdziesiąt stopni. Stickly twierdzi, że wystarczy czterdzieści pięć. – Robi notatkę. – Muszę

nad tym popracować. Stickly mówi, że kąt pochylenia głowy wpływa na to, w jaki sposób jesteśmy postrzegani.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że odchodzę. Jane nieruchomieje z pilotem w dłoni. Włącza stopklatkę.

– Dokąd? – rzuca ostrym tonem.

– Donikąd. Zostałam zwolniona.

Oddycha z ulgą. Byłoby dla niej nie do przyjęcia, gdyby gdzie indziej znalazła ciepłą posadkę, ale zwolnienie z pracy to całkiem inna sprawa.

– Trudno – wzdycha i naciska klawisz. Obraz ożywa.

Gdy wychodzę, Marguerite z całej siły odpycha Stickly'ego i przemyka obok mnie. Dyszy wściekłością i pragnieniem zemsty.

Podchodzi do Jane i policzkuje ją. Osłupiała Jane błyskawicznie dochodzi do siebie i z krzykiem rzuca się na rywalkę. Biorą się za łby i tarzają po podłodze. Lecą wrywane włosy i ohydne przekleństwa. Wychodzę po angielsku. Rozzłoszczone jędze walczą zębami i pazurami jak dzikie koty w gwiazdzistą noc.

Epilog

Zapraszam Aleksa na drinka do baru hotelu Paramount, bo chcę, żeby poznał Maję i Gavina, zupełnie jakbyśmy byli prawdziwą parą w trwałym związku. I przychodzi. Jak prawdziwy narzeczony zjawia się o umówionej godzinie, chociaż ma zajęcia, pilną pracę do skończenia i mnóstwo nauki do sprawdzianu z planowania urbanistycznego.

– Słuchajcie, wymyśliłem nowy tytuł. – Gavin śmieje się do rozpuku. Jeszcze chwila, a spadnie z barowego stołka. – „W sandałach bliżej do nieba”.

– Świetne! – entuzjazmuje się Maja i unosi kieliszek. – Za sandały!

Przez całe przedpołudnie siedzimy w barze, wymyślając bluźniercze tytuły i sącząc drinki. Inni bywalcy spoglądają na nas podejrzliwie. Poza jedną osobą nikt się nie zorientował, co jest grane. Mam na myśli angielską turystkę w średnim wieku, która z nieśmiałym uśmiechem poprosiła Gavina o autograf. Chętnie złożył na kartce zamaszty podpis, tytułując się garderobianym Królowej Aniołów. Złość mu przeszła, zwłaszcza że mieliśmy o czym rozmawiać, bo spiszek osiągnął cel odwrotny od zamierzonego, a wystawa wzbudziła ogromne zainteresowanie. Podczas wernisażu wszystkie prace znalazły nabywców.

Maja odstawia kieliszek i sięga po leżące na blacie menu. Pora zjeść lunch.

– Weźmy deskę serów – proponuję, rozpierając się na krześle.

Wypity alkohol pomaga mi się odprężyć, ale to nie jedyny powód, że czuję się wyluzowana. Utrata pracy osobiście wpłynęła na stan moich mięśni: po raz pierwszy od lat nie czuję napięcia. Tak to jest, że człowiek nagle przestaje się wysilać, gdy jego przyszłość przybiera ściśle określony kształt. Moja skurczyła się ostatnio do kilku prostych czynności.

Zaplanowałam radosną wyprawę do baru z rozbrykanymi przyjaciółmi, odwiedziny u rodziców, krótki odpoczynek i powrót do Nowego Jorku. W moim harmonogramie nie ma miejsca dla Jane. Nie muszę jej teraz uwzględniać. Pojadę na weekend do Bierlyville, a gdy wrócę, zacznę szukać nowego zajęcia. Moja nowa praca będzie lepsza od poprzedniej i wolna od fałszywego splendoru. Warunek numer jeden: żadnych kontaktów z vipami.

– Vig, musisz wrócić – słyszę głos Delii, która niespodziewanie materializuje się obok mnie.

– Skąd wiedziałaś, gdzie jestem? – wypyuję podejrzliwie. Nie życzę sobie, żeby uzupełniała moje akta. Już razem nie pracujemy.

– Aleks zostawił mi wiadomość.

Gdy na niego spoglądam, wzrusza ramionami i odpowiada:

– Przyzwyczajenie.

– Nie chcę wracać – mówię, jednym haustem dopijając dzin z tonikiem.

Maja i Gavin gratulują mi poczucia niezależności i natychmiast stawiają kolejnego drinka.

– Musisz wrócić – upiera się Delia. – Holden był na naszym piętrze i pytał o ciebie.

– Co? – W jednej chwili osłupiałam.

– Po co zjawił się w redakcji? – pyta równie zaskoczony Aleks.

– Wypytywał ludzi, gdzie jesteście.

– Kim jest Holden? – pyta Gavin.

Zna już wszystkie sekrety „Styl i Blasku”, lecz w mojej opowieści ani razu nie padło nazwisko Holdena.

– Odludek i geniusz stojący za naszym pismem i paroma innymi dochodowymi periodykami – tłumaczę. – Uzyskanie audiencji u niego jest równie trudne, jak zdobycie prywatnego posłuchania u papieża. Z nich dwu jego świętobliwość jest zdecydowanie bardziej otwarty na kontakty z ludźmi. Zastanawiam się, czego chciał Holden.

– To mi nie daje spokoju – przyznaje Delia. – Musisz wrócić, bo inaczej nigdy się nie dowiemy.

Jej uwaga brzmi logicznie, więc zsuwam się z barowego stołka i ruszam na spotkanie z Jackiem Holdenem, choć po trzech dzinach z tonikiem jestem mocno wstawiona.

Delia odprowadza mnie do sekretariatu i czeka, aż asystentka o wąskich wargach przekaze szefowi wiadomość. Ku wielkiemu zdziwieniu tej ostatniej Holden każe mnie od razu wprowadzić, co graniczy z cudem.

Jego gabinet jest słoneczny i mocno zagracony. Nie widzę lśniących gadżetów, które z upodobaniem kolekcjonują wysoko postawieni ważniacy.

– Ach, Vig Morgan – mówi, wstając, żeby uścisnąć mi dłoń. – Niełatwo panią wytropić. Powinna pani częściej bywać w swoim gabinecie.

– Zostałam zwolniona – mówię, żeby się wytłumaczyć, lecz Holden nie słucha. Wymianę uprzejmości mamy za sobą. Natychmiast przechodzi do rzeczy.

– Zamierzamy wydawać nowe czasopismo – informuje. – Ma być eleganckie jak „Styl i Blask”, ale bez natrętnego epatowania sprawami wielkiego świata i jego sław. Chciałbym, żeby pani weszła w skład zespołu, a nawet stanęła na jego czele.

Oniemiałam, osłupiałam i gapię się na niego bez słowa, jakbym miała do czynienia z szaleńcem, który uciekł ze szpitala psychiatrycznego.

– Czytałem pani artykuł w „Timesie”. Świetnie pani opisała van Kessela i jego dokonania. Takie teksty chciałbym widzieć w nowym czasopiśmie.

– Dziękuję – odpowiadam, starając się opanować chichot. Po trzech dzinach z tonikiem jestem na lekkim rauszu. – Przepraszam pana, nie wiem, czy się nie przesłyszałam... Wspomniał pan o kierowaniu nową redakcją?

Ledwie raczył podnieść wzrok. Moje niedowierzenie wcale nie wytrąciło go z równowagi.

– Tak. Dam pani notatki, które właśnie przeglądałem. W sekretariacie otrzyma pani komplet materiałów.

– Dlaczego ja? – pytam, drżącymi rękami sięgając po plik kartek.

– Nasza kandydatka numer jeden została przed chwilą wyprowadzona z budynku przez ochronę po nader nieprzyjemnym incydencie. Pani była następna w kolejce. Jak wspomniałem, artykuł w „Timesie” okazał się znakomity, odpowiada też idealnie naszym wymaganiom co do nowego projektu. I co pani na to?

Przeglądam notatki, żeby zorientować się, jaki będzie profil nowego pisma. Czytam listę

proponowanych tematów, które wydają się znajome, ale zamroczony alkoholem umysł dopiero po dłuższej chwili zaczyna kojarzyć fakty. To moja lista. Dałam ją Marguerite, gdy pytała, o czym chcemy pisać. Nic dziwnego, że pasuję Holdenowi do nowej koncepcji, skoro nieświadomie ją współtworzyłam.

Pospiesznie analizuję informacje i wyciągam wnioski, ale jestem zbyt oszołomiona, żeby odczuwać gniew. Skupiam się na jednej kwestii: Co powiedzieć Holdenowi?

Szczerze mówiąc, jestem w kropce. Nie mam doświadczenia. Nie nadaję się na szefową. Sprawdziłam się jako dziennikarka, lecz w roli starszej redaktorki czułam się nieswojo. Nie znam się na technicznej stronie pracy wydawniczej, nie umiem wydawać poleceń ani zaplanować strategii sprzedaży...

Ale to przecież błahostki, dachy japońskiej wioski, a ja będę Godzillą.